

Wszystko
dla pań

M STEVIE MORGAN

SZAFIROWY BLUES

Przekład
Ewa Spirydowicz


AMBER

Rozdział pierwszy

Wiedziałam, że kogoś ma, gdy tylko znalazłam w schowku w samochodzie kasetę „Queen: Greatest Hits”, wśród kolekcji najczarniejszego bluesa Howling Dog Shannona i Stinking Feet Browna. Słucha wyłącznie czarnego bluesa, najlepiej nagranych w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, na werandzie małego domku gdzieś na Południu. Chociaż nie - czasami sięga po, jak to określa, współczesną klasykę; brzmi to jakby ktoś ciskał na betonową podłogę najróżniejsze sprzęty kuchenne w jakimś hangarze w sąsiedztwie lotniska.

Kompakt Michaela Boltona ukrywam w szufladzie z bielizną i puszczam tylko wtedy, kiedy Martina nie ma w domu. Nawet Mozart jest zbyt popularny jak na jego gust. Kiedy się poznaliśmy w college'u, musiałam poświęcić wszystkie płyty Eltona Johna i Steeleye Span, żeby zaciągnąć go do łóżka; został mi jeden jedyny Dylan i Joni Mitchell.

Nie powiedziałam nic o albumie Queen, kiedy go znalazłam. Wyobraziłam sobie tylko, jak puszcza muzykę na cały regulator, wracając do domu deszczowymi londyńskimi ulicami. A na siedzeniu pasażera siedzi ona i śmieje się głośno. Odchyła głowę do tyłu, a światła latarni malują jasną smugę na jej szyi.

Nieprawda, że musiałam wyrzucić albumy Eltona Johna, żeby zaciągnąć go do łóżka. To wcale nie było trudne. Większości studentek w Cambridge udało się dokonać tej sztuki. Nie było dnia, żeby jakaś dziewczyna, otulona jego szlafrokiem, spowita w kłęby dymu ze skrętów, nie podpierała drzwi jego pokoju w akademiku. Od razu było wiadomo, co przed chwilą robili. To znaczy, wiedzieli inni. Ja znałam, oczywiście, rozmaite określenia na tę czynność, ale miałam blade pojęcie, o co w tym chodzi.

Nie byłam dziewicą. Zadbałam o to na imprezie przed wyjazdem na studia. Pewien atletycznie zbudowany chłopak dyszał na mnie ciężko przez dziesięć mi-

nut. Bardzo się zgrzał i spocił i co chwila pytał, czy mi „dobrze”. Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Dobrze? Dobrze mi było, kiedy zdmuchiwałam świece na torcie urodzinowym albo kiedy odbierałam w szkole świadectwo z piątkami od góry do dołu. Z pewnością nie było mi dobrze w cudzej garderobie, na stercie płaszczy, pod ciężarem nieznanego faceta, który się zachowywał, jakby lada chwila miał dostać ataku apopleksji na moim biuście. A swoją drogą ciekawe, czy wtedy w ogóle wiedziałam, co to biust. Z autopsji - na pewno nie.

Kiedy poznałam Martina, on i wszyscy jego przyjaciele nosili kowbojki i brudnawe fryzury à la Jason King. W ich części korytarza oddychanie oznaczało błyskawiczny, ciągły haj. W ich części korytarza żyło się mieszkanką narkotyków i Neila Younga. Byłam wówczas zbyt naiwna, by zrozumieć, że aby wytrzymać muzykę tego ostatniego, trzeba się znieczulić tymi pierwszymi. W ich części korytarza wreszcie mieściła się kuchnia, do której skradałam się na palcach w grzecznych tweedowych spódniczkach i nudnych bluzeczkach, wyprawce od mamy na studia. Jak sardynka, która z własnej woli płynie prosto do fabryki konserw.

Chyba stanowiłam dla Martina wyzwanie. Może nawet założył się ze swoim kupłem Damianem. Doskonale to sobie wyobrażam.

- Ej, Marty, założę się o pół uncji marokańskiego haszu, że to ci się nie da dotknąć.

Damian miał denerwujący zwyczaj wyrażania się o kobietach per „to”. Na przykład: „Widzisz, jakie to ma cycyki?”. Albo: „Jak to się ubrało?”. Tym sposobem buntował się przeciwko mamusi, która kierowała feministycznym kółkiem garncarskim w Balham.

- Podwyższam stawkę, Damian. Cała uncja, że w ciągu tygodnia tak ją przelece, że jej mózg wyjdzie uszami. A dwie uncje, że za dwa tygodnie nie będzie widziała świata poza mną.

Ale może to tylko paranoja, skutek tego, co się stało. Tego, co się dzieje. Martin zawsze twierdził, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Trafił go grom z jasnego nieba, kiedy zobaczył mnie w błękitnej jak niebo sukience, z puszką zupy Campbella w jednej i kartonem mleka w drugiej ręce. Taką przynajmniej wersję przedstawiał przez ostatnie piętnaście lat na wszystkich przyjęciach. Spoglądał przy tym na mnie wzrokiem lekko zmaconym wypitym alkoholem, nad głowami licznych przyjaciół. Dopiero ta kasetka Queen uświadomiła mi, że męski szowinizm Damiana wywarł większy wpływ na nasz związek niż mi się zdawało.

Zresztą Damian i tak przegrał, nieważne o co się założyli. Wystarczyło, by Martin odkrył pretekst, dzięki któremu mógł się co wieczór przemycić do mojego pokoju - pretekstem tym był, notabene, kubek herbaty earl grey, stawiany na moim biurku. Chyba sam był zaskoczony tym, co nastąpiło. Nieoczekiwana reakcja feromonów zmieniła nas w króliki. Nigdy przedtem nie doświadczyłam pożądania od wewnątrz. Wiedziałam, jak to wygląda (spocony chłopak na płaszczech w cudzej garderobie). Ale po pierwszym razie z Martinem ogarnęła mnie namiętność.

Bardzo się z tym kryliśmy, ma się rozumieć. Zakradał się do mojego pokoju w środku nocy, gdy jego kumple już spali albo byli tak naćpani, że nic do nich nie docierało. Poza godzinami seksu nie zauważał mojego istnienia. Bez słowa mijał mnie w korytarzu, na uczelni odwracał głowę w przeciwną stronę.

Wtedy dojrzała we mnie decyzja pozbycia się niepoprawnych ideologicznie płyt. Wiedziałam, że jeśli mam zdobyć to, czego chciałam, czyli spacerować po ulicach, muszę zrezygnować z tweedowych spódniczek i słuchania „Funeral for a Friend” po ciemku.

Udało się. Z czasem dopuszczono mnie do uczestnictwa w czysto męskich nasiadówkach z Neilem Youngiem i haszem. Martin nie wstydził się iść ze mną przez miasto. Ba, nawet umawialiśmy się na randki, do kina, do tanich knajpek, gdzie do każdej potrawy podają i frytki, i ryż. Pozwalał trzymać się za rękę.

Wtedy wierzyłam, że się we mnie zakochał. Teraz uważam, że traktował mnie jak członka swojej świty, o tyle wyjątkowego, że mógł mnie posuwać praktycznie o każdej porze dnia i nocy.

Nie żebym jakoś szczególnie rozpaczała za tweedową spódnicą. Mojej garderobie, kompletowanej przez mamusię, przydała się gruntowna zmiana. Wiedziałam, że udane życie seksualne to jeden z czynników, które pozwolą mi stać się taką jaką siebie widziałam w marzeniach - mieszkanką Debbie Harry, Jane Goodall i Katharine Hepburn. Za to szczerze żałowałam Eltona. Był naprawdę ważnym elementem mojego życia przed studiami. Przez długi, długi czas tak oto wyglądały moje popołudnia: odrobić lekcje, puścić Eltona na gramofonie taty, zgasić światło i poczuć, jaka jestem artystycznie samotna i niezrozumiana przez wszystkich. Rozkosz. Albo taki jej substytut, jaki można osiągnąć mając siedemnaście lat.

Wyrzucenie „Honky Chateau” i „Goodbye Yellow Brick Road” było pierwszym krokiem ku całkowitemu podporządkowaniu się Martinowi Blond Bogu i jego Czarodziejskiej Różdźce. Stopniowo podporządkowywałam się jego zasadom, które, zważywszy że jest lewicowym radykałem, okazały się zadziwiająco sztywne i surowe.

Nadal takie są. Właściwie to nie tyle zasady, co bardzo szczegółowy kodeks postępowania, bardziej pasujący do rosyjskiej arystokracji z połowy dziewiętnastego wieku albo mafii z lat pięćdziesiątych. Czasami mi się wydaje, że Martin ma w głowie długachne listy, jak anioł stróż, który zapisuje każdy nasz postępek. Listę Rzeczy Aprobowanych: levisy, laburzyści. I Listę Rzeczy Pogardzanych: Marks & Spencer, Wrangler, chardonnay, torysi, Francis Bacon. Jeśli lubisz, nośsisz, jadasz, czytasz, popierasz coś z listy rzeczy niedobrych, stajesz się osobą wykleką. I, oczywiście, dołączasz do owej listy.

Z wiekiem zmieniło się jedno: niektóre rzeczy wędrują między listami zależnie od jego humoru i chwilowego stosunku do życia. Weźmy, na przykład, jedwabne bokserki - przez większość czasu są „szczytem złego smaku, przez nie cały czas myśli się o jednym”, jednak czasami okazują się „bardzo wygodne, w gruncie rzeczy superpraktyczne”. Można by powiedzieć, że z upływem czasu złagodniał, gdyby nie to, że rzeczy z listy pogardzanej są potępiane z taką zaja-

dłością jak dawniej, nawet jeśli dzień wcześniej w przyływie dobrego humoru umieścił je na liście do aprobaty.

Dlatego nie powiedziałam mu nic o kasecie Queen. To chwilowe, oszukiwałam się. Pewnie kupił ją na stacji benzynowej, taka zachcianka, „zabawny kicz”. Akceptujemy.

Ale tak naprawdę wiedziałam. Była to muzyka nowego związku. Coś, co łączyło go z kobietą inną niż ja. W końcu nie był to jedyny znak. Truskawkowy płyn do kąpieli, fioletowa koszula i nie działająca Czarodziejska Różdżka. Z perspektywy czasu wiem, że w połączeniu z kasetą Queen były to dowody jego niewierności. I to poważnej niewierności, nie żadnego tam skoku w bok i małego numerku w delegacji. Niewierności w głębi serca. Niewierności z trzymaniem się za ręce w świetle księżycy. Niewierności, która skłoniła go do tego, co zamierza wkrótce zrobić.

Czyli odejść. Odejść ode mnie, swojej żony od piętnastu lat, która bez pytania wie, czy danego dnia ma ochotę na ziemniaki puree czy z wody. Zostawić dzieci, Dana i Frankie, które zawsze śmieją się z jego kawałów. Zostawić dom z zadbanym ogródkiem i odpadającym tynkiem. Zostawić swoje miasteczko, gdzie naczelniczka poczty wita go po imieniu, a gracze w krykieta wiwatują entuzjastycznie, gdy pojawia się raz na sezon.

Zawodząca Czarodziejska Różdżka była pierwszym symptomem. Nic nie mówiłam. To trochę tak jak z nocnym moczeniem się dzieci: najważniejsze - milczeć. Zmień pościel, daj czystą piżamę, utul do snu i wkrótce będzie po kłopotcie. Mężczyzn i ich członki łączy skomplikowany związek, w najlepszym wypadku. Niech no tylko w domu rozlegną się straszne słowa, na przykład „impotencja”, a ściągniesz sobie na głowę koszarne kłopoty. Zmęczony, myślałam. Zestresowany. A jakże, i jedno, i drugie - bez sił po łózkowych szaleństwach z tamtą, a na dodatek gryzło go sumienie. A nie ma to jak poczucie winy, by zepsuć harmonię między mężczyzną a jego członkiem.

Do tego fioletowa koszula. Właściwie fioletowo-zielona, z jedwabiu, zwinięta w kłębek na samym dnie torby ze służbowej podróży do Stanów. Znalazłam ją przypadkiem, zbierając brudną bieliznę do prania.

- O! Nowa koszula.

- A, to. Nie, mam ją od dawna.

- Nigdy nie nosiłeś...

- Owszem, w mieście. Wiesz, jak to jest na przyjęciach u wydawców. Nudno jak cholera.

Tak, wiem. Przyjęcia u wydawców. Zawsze zakłada na nie luźną koszulę z białego lnu, gwiazdkowy prezent ode mnie. Podobno lubi rzeczy proste i niekrzykliwe, a nie fioletowo-zielone i obcisłe.

I jeszcze, zaledwie dwa tygodnie temu, truskawkowy płyn do kąpieli. Prezent na moje urodziny. Gigantyczna butla truskawkowego płynu do kąpieli. Wie przecież, że moim zdaniem co najmniej dziwne jest używanie zapachów spożywczych do pielęgnacji ciała. Co prawda przepadam za pieczoną jagnięciną, ale nie pokropiłabym się

tym za uszami, na Boga! Zazwyczaj dostają porządny prezent, coś, co mi się naprawdę podoba. Coś, co zostało kupione specjalnie dla mnie, dla Jess, nie pierwszy lepszy przedmiot ze sklepu na stacji, kupowany pięć minut przed odjazdem pociągu.

A zatem dzisiaj. Nie, już wczoraj. Kiedy odezwał się: „Muszę ci coś powiedzieć”, usłyszałam nagle szum w uszach i wiedziałam, że moje życie osuwa się w przeszłość. Znika w otchłani, która nieoczekiwanie otworzyła się pode mną. Zmierza na samo dno, gdzie roztrzaska się na miliony kawałeczków, do których sklejenia nie starczyłoby całej Niagary superkleju.

Jedno muszę mu przyznać. Doskonale się spisał, tłumacząc mi, że jego odejście jest spowodowane w największym stopniu koniecznością Indywidualnego Rozwoju i Dojrzewania, a jedynie w minimalnym ma cokolwiek wspólnego z Dolores. Z kolorem jej włosów, długością nóg czyjej wiekiem. Wytłumaczył mi, że jego odejście okaże się błogosławieństwem dla mnie i dla dzieci. Dzięki temu rozwinę się intelektualnie i dojrzeję, a dzieci poczują się wolne. Nawet Suka, czyli nasz pies, skorzysta na jego odejściu.

Wszystko będzie tak samo jak dotąd, tylko jeszcze lepiej, bo jego tu nie będzie. On zostanie w Londynie, z Dolores.

W pamięci utkwiły mi tylko dwie rzeczy ze wszystkiego, co powiedział. Najpierw to, jak mówił, że mnie kiedyś kochał. Kiedyś. Czas przeszedł. A potem to, jak wypowiada imię Dolores; pieśń zamknięta w trzech sylabach.

Koniec końców, jakby wskutek wyrzutów sumienia, zasnął płacząc, z twarzą wtuloną w poduszkę, skulony na łóżku jak szmaciana lalka, którą ktoś niedbale cisnął na posłanie. A ja wyszłam na dwór, żeby w ogrodzie oddać się Dojrzewaniu i Rozwojowi Intelektualnemu. Zabrałam się za to, na leżącym wpatrując się w rabatki. Potem wsiadłam do samochodu i pojechałam. Pochylona, żeby cokolwiek dostrzec przez lzy, zaciskając dłonie na kierownicy z nadzieją, że przestaną dygotać. Jeździłam tak po wąskich, krętych uliczkach, a w głowie mi szumiało potężnie, jakby sam pan Bóg włączył gigantyczną suszarkę do włosów, dopóki prosto pod koła nie wybiegł mi biało-czarny kot. Zachowywał się, jakby chciał popełnić samobójstwo. Kto wie, może to była kotka, a ojciec jej kociąt uciekł z rasową syjamką.

Zupełnie jak w dziecięcej piosence o umierającym kotku listonosza Pata.

Z tą tylko różnicą, że ten nie umierał, on już nie żył. Wiedziałam od razu, domyśliłam się po takim mokrym odgłosie, jakie wydały opony mojego samochodu, przejeżdżając po najgrubszej części jego ciała. Zatrzymałam się, ale nie wysiadłam od razu. Wszystko, dosłownie wszystko wydawało się nierzeczywiste. Świat dokoła mnie rozplątał się w szarości, rozjaśnionej jedynie mdłym blaskiem księżycy. Połysk szosy. Moje uczucia. Fakt, że Martin po raz ostami śpi w naszym łóżku. A poza tym, jeszcze nigdy niczego nie przejechałam, nawet ptaka.

Od razu wiedziałam, czyj to kot. Należał do małżeństwa, które ochrzciłmy niezbyt miłym mianem Morderców z Siekierami. Mieszkają w jedynym domu przy

tej ulicy - domu, przed którym walają się niezliczone butelki po piwie, a anteny radiowe sterczą jak niesamowite czułki ze zniszczonego ogrodzenia. On ma twarz jak pognieciona papierowa torba i nosi taką śmieszoną czapeczkę. Ona wygląda jak piłka z oczami. Trzymają w domu koty. I trupy, tak przynajmniej podejrzewamy.

W pierwszej chwili, zaraz po tym, jak przejechałam kota, pomyślałam, że powinienam iść i im o tym powiedzieć. Potem jednak usiłowałam sobie wyobrazić, jak Mordercy z Siekierami zareagowałyby, gdyby o trzeciej nad ranem obudziła ich waleniem do drzwi niezrównoważona psychicznie kobieta z zaciekami od tuszu na policzkach i zwłokami ukochanego zwierzątka w ramionach. Postanowiłam więc zostawić szczątki z krótką notatką na progu. Kiedy wysiadłam z samochodu, okazało się, że kot nie zginął ładnie. Wcale nie wyglądał tak, jak się tego spodziewałam: cztery łapki w górze, błogi spokój na pyszczku. O nie, raczej przypominał ofiarę walca drogowego.

Nawet nie macie pojęcia, ile rzeczy mieści się w kocie, widać je dopiero, kiedy wypłyną. Nie mogłam wyjść z podziwu. W każdym kocie kryje się tajemniczy świat różu i czerwieni.

Postanowiłam zebrać go na coś, na czym dam radę zanieść go do domu właścicieli. Właściwie nie był w stanie pozwalającym na podnoszenie i transport, ale myślałam, że jakoś go zeskrobię. W bagażniku znalazłam kartonowe pudełko, z którego zrobiłam coś w rodzaju noszy. Wepchnęłam je pod kocie szczątki. Starałam się robić to bardzo delikatnie i udało mi się umieścić na tekturze większość zwłok, dopóki nie odpadła głowa. No, teraz jeszcze udało mi się upozorować jakiś dziwaczny, okrutny rytuał. Jeśli przyznam się Mordercom z Siekierami, że to moja zasługa, jest więcej niż pewne, że dołączę do ich kolekcji zwłok.

Świta. Ptaki zaczynają ćwierkać, nieśmiało i niepewnie, jakby pytały: „Ojej, czy już czas wstawać?”. Dopiero potem na serio zabiorą się do roboty. Kiedy wszędzie słońce, wszystko wyda się bardziej realne, taką mam nadzieję. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Damian, fioletowa koszula, „Greatest Hits” Queen... oto, do czego mnie doprowadziły: wiejska szosa o czwartej nad ranem, kocie zwłoki na tekturowym pudełku. Jess, tak teraz wygląda twoje życie.

Rozdział drugi

Światło dnia nie pomogło, nie sprawiło, że sytuacja wydała mi się bardziej normalna. Nie traciłam całkowicie kontaktu z rzeczywistością o tym upewniało mnie uczucie, że moje wnętrze przepuszczono przez gigantyczną maszynkę do mięsa; mimo to dryfowałam dobrych kilka centymetrów nad ziemią.

Dzieci wstały wcześniej. Chyba słyszały nasze krzyki poprzedniego wieczoru. O nic jednak nie pytały, kiedy zeszły do kuchni i zastały mnie leżącą na podłodze

koło kominka. Po akcji ukrywania szczątków kota Morderców z Siekierą w żywo-płocie wydało mi się to bardzo kuszącym miejscem. Dzieci przeczuwały, że w powietrzu wiszą złe wieści, ale nie chciały przyjąć do wiadomości, jak złe. Nie są głupie, o nie. W gruncie rzeczy w wieku lat ośmiu i dziesięciu są prawdopodobnie mądrzejsze niż będą kiedykolwiek w późniejszym życiu.

Przysiadły na taboretach przy kuchence, jak co rano; w ten sposób zaczynają dzień. W wytartych szlafroczkach, ciągle zaspane, wyglądają jak przedszkolaki. To zminiaturyzowane wersje ojca, dwa małe płowe lwiątko; delikatne włoski Frankie rozsypują się jak aureola, wiosenne słońce zdążyło już rozjaśnić króciutką czuprynkę Danny'ego. W ogóle nie są do mnie podobni, ale może odziedziczyli po mnie narządy wewnętrzne; chirurgowi wystarczyłby jeden rzut oka na nasze wątroby, by dostrzec rodzinne podobieństwo.

Byli nienormalnie spokojni, po zwykłym porannym warczeniu na siebie nie było śladu. Podałam im tosty i sok. Nie skomentowali drżenia moich rąk, pominięli również milczeniem fakt, że miałam żdźbła trawy we włosach i błoto na twarzy. Może na co dzień jestem mniej schludna niż mi się zdaje i zawsze miałam objawy *delirium tremens*?

Rozpad rodziny jako pierwsza wiadomość w piątkowy rano to twardy orzech do zgryzienia, zwłaszcza jeśli największą tragedią jaka dotychczas spotkała się w życiu, był pogrzeb chomika. W myślach zaklinałam Martina, żeby spał jak najdłużej; chciałam, by ostatnie chwile błogiego spokoju i beztrioski potrwały jeszcze trochę.

Ale Martin w końcu się obudził. Słyszałam, jak wstaje. Nie powoli, jak zwykle, z lekko głupawym i obrażonym wyrazem twarzy, jakby zdziwiony, że kolejny dzień się zaczął nie pytając go o pozwolenie, lecz energicznie, jednym ruchem. Może nie spał od dawna, może trwał w półśnie, dopóki nie dotarła do niego prawda. Jedno głośnie skrzypnięcie łóżka i zaraz podłoga trzeszczała pod jego stopami.

Kiedy wszedł do kuchni, zobaczył nas chyba jak nieszczęsne ofiary zdjęć robionych z zaskoczenia. Wiecie, o jakie zdjęcia mi chodzi - pijackie fotografie z imprez, zdjęcia groteskowo powykrzywianych, nierzeczywistych twarzy, jak portrety przybyszów z ostatniego statku kosmicznego z Jowisza.

Może w przyszłym roku przypomnę sobie ze szczegółami, co się stało potem. Cały czas usiłuję ułożyć kawałki łamigłówki w jedną całość, ale na razie oddalają się od siebie jak magnesy o takim samym ładunku.

Pamiętam, że Martin wcisnął się między dzieci, tak że ich podwinęte na krzesła **stópki** znalazły się na wysokości jego ud. Stary okazały lew i dwa lwiątko. Powiedział im, że odchodzi. Że spotkał wspaniałą kobietę i chce z nią być. Że ona ma na imię Dolores. Nie przypuszczam, żeby wciskał im ten sam kit co mnie - o Rozwoju i Dojrzewanu.

Czułam się, jakby na moich oczach samochód przejechał moje maleństwo. Właściwie nic nie słyszałam, tylko widziałam ich buzie. Dan pobladł jak ściana. Wyglądał jak negatyw samego siebie w pierwszych chwilach na tym świecie, gdy wrzeszczał co sił w płucach i z każdym okrzykiem krew oddalała się od serca.

Teraz z trudem łapał oddech i z każdą chwilą bladł coraz bardziej. Najpierw tylko dokoła oczu. Potem policzki, szyja, uszy. W końcu w jego twarzy tylko usta zachowały odrobinę koloru. Buzia Frankie zmarszczyła się i opadła jak przekłuty balonik. Rozchyliła usta, jęknęła, zamknęła oczy. Wargi ułożyły się w idealnie okrągłe „o”, ciało osunęło się bezwładnie. Przywarli do niego, do jego szerokiej piersi, żałośnie drobni i delikatni. Zastanawiałam się, jak może sprawiać im taki ból. Czy nie widzi, jak cierpią?

I akurat w tej chwili, w sam środek tej wielce wzruszającej i bolesnej sceny, wpadły kury drąc się wniebogłose, wymachując skrzydłami jak wiktoriańskie damy rękami na widok myszy, a za nimi gnała Suka (czego nie robiła od zamierzchłych szczenięcych lat, a zaprzestała tego niebezpiecznego sportu po półgodzinnym sam na sam w kurniku z młodym kogutem sąsiadów, ptasim Mike'em Tysonem na kokainie). Kury zachowywały się bardzo dramatycznie, wydawały odgłosy spanikowanych aktorek, coś w stylu: „O mój Boże, ona ma broń!”. Podskakiwały bezładnie i gdakały bez cienia godności. Suce najwyraźniej udzielił się obłęd mieszkańców domu i odbiło jej totalnie. Czułam się w obowiązku interweniować, bo w przyptywie szaleństwa mogłaby zamordować któreś durne ptaszysko, czego później, po odzyskaniu zdrowego rozsądku, nigdy by sobie nie wybaczyła. Wrzasnęłam na nią i wypędziłam kury na grzędę. Towarzystwo dalej obrzucało się obelgami, gdy wracałam do domu.

No tak... pewnie dlatego odchodzi... jego żona przerywa najważniejsze wydarzenia we wspólnym życiu, żeby nie dopuścić do tragedii w kurzej telenoweli.

W kuchni tymczasem Martin rozmawiał przez telefon ze swoimi rodzicami. Frankie siedziała na kanapie, skulona w kłębek, z głową w ramionach. Dan szalał zniszczenia.

- To jeszcze nie jest najgorsze. Nie jest najgorsze - powtarzał. - Najgorzej byłoby, gdybyście chcieli się rozwieść. - A jakże, pomyślałam. Lada dzień dojdzie i do tego.

W końcu zawiozłam dzieci do szkoły, po to jedynie, żeby chociaż przez kilka godzin żyły w namiastce normalnego świata, zanim ponownie trafią w sam środek koszmaru. Przez całą drogę mydliłam im oczy radosną paplaniną, plotłam trzy po trzy o piknikach w weekendy, wyprawach na basen, do kina, o safari w Tanzanii, wypadach na Marsa... Bóg jeden wie, co jeszcze bajdurzyłam o wspaniałym Nowym Świecie przygód, który nas czeka. Cokolwiek, byle zagłuszyć chęć zjechania na pobocze i wpuszczenia spalin do wnętrza samochodu.

Świat wyglądał tak pięknie, gdy jechaliśmy wśród pól, co tylko pogarszało sytuację. Właśnie ten zakątek, tę wiejską idyllę wybraliśmy jako dom naszych dzieci. Kręte drogi wśród pagórkowatych pól i łąk, na których pasą się krowy koloru sieni i tłusciutkie, sympatyczne owce. Żywopłaty oplatają się gąszczem gałęzi i korzeni. Panuje tu atmosfera błęgiego bezpieczeństwa. Dan i Frankie spokojnie udawali się w nieznaną z paczką herbatników w kieszeni i poleceniem, by wrócić na herbatę. A Martin zniszczy to wszystko, skala ich dzieciństwo świadomością rozstania i cierpienia.

Miasteczko też ma w tym swój udział: wszystkie domki schludne i wypucowane, przygotowane na powitanie wiosny, przystrojone pierwszymi kwiatami,

z mieszkańcami na progu. Proszę bardzo, oto pani Adams w oknie swojego domku, cichego i złowieszczonego, gdzie półki uginają się pod dorobkiem jej życia, czyli dziesiątkami krwawych, podstępnych kryminałów. Beatrice Tubb wyprowadza na spacer sfórę psów podobnych do szczurów, kolorowe smycze płaczą się, tworząc wielobarwny warkocz, jak na święto. W oknie jej miniaturowego domku, jak zwykle, wisi sprzęt do oporządzania pasieki. Dzieciaki państwa Arnie idą do szkoły; robią wszystko, by zapracować na opinię czarnych owiec miasteczka i jedyną rodzinę dysfunkcyjną żeby nie powiedzieć z marginesu. Są głośni, brudni i liczni; w każdej klasie jest co najmniej jeden Arnie. Przed szkołą stoi kilkanaście samochodów, zabloconych land roverów i półciągarówek. Każdego dziecka, który z nich wysiada, Martin i ja znamy po imieniu. Nie sztuka poznać imiona wszystkich uczniów szkoły, która liczy zaledwie czterdzieści dziewięć duszytek.

Uwielbiałam te poranki z wielu powodów, do których nie przyznałabym się moim przyjaciółkom z wielkiego świata kariery, powodów, które przekreślają moją przeszłość kobiety niezależnej, odważnej i wyemancypowanej, co nie będzie prasowała niczyich koszul. Pokochałam świadomość, że osiągnęłam pewien status społeczny; żona, która poświęca się opiece nad dziećmi i mężem, stanowi rodzaj fundamentu, spoiwa, dzięki któremu tworzą szczęśliwą, zwartą rodzinę.

Teraz oczywiście wszystko legło w gruzach.

Poszłam do budynku szkoły przez plac zabaw, trzymając Dana i Frankie z całej siły za ręce. Uśmiechałam się jak gdyby nigdy nic i starałam się nikomu nie patrzeć w oczy. Zaprowadziłam pociechy do klasy i udałam się na poszukiwanie dyrektorki. Chciałam ją poprosić, żeby była wobec nich szczególnie wyrozumiała do końca tego semestru. A jeszcze lepiej do końca ich kariery w szkole podstawowej.

Wtedy po raz pierwszy miałam przedsmak tego, co mnie czeka, gdy będę informowała innych o mojej nowej sytuacji.

Jaka szkoda, że telepatia to wielki pic na wodę i nie działa dłużej niż pierwsze trzy tygodnie szaleńczego zakochania, kiedy nie sposób porozumieć się słowami. Kilkakrotnie otwierałam usta i zamykałam je ponownie, wierząc się niespokojnie na niewygodnym krześle i kurczowo zaciskając dłonie.

Kiedy wypowiem to na głos, stanie się prawdą. Kiedy dowie się ktoś obcy, nie uda mi się tego uznać za zły sen, za wybrzyk wyobraźni.

- Martin i ja... - Może nie ma sensu nic mówić, rozważałam przez chwilę. Może Martin wkrótce wróci, najdalej za kilka tygodni. - Pomyślałam, że powinna pani wiedzieć, że... dzisiaj dzieci są bardzo zdenerwowane, bo...

Z drugiej strony, o ileż łatwiej i przyjemniej będzie później powiedzieć jej, że wrócił.

Koniec końców pomogła mi wykrztusić to z siebie.

- Czy chodzi o ich babcię?

- Nie, nie. Tylko że...

- Czy pan Martin miał wypadek? Wypadek? Ha! Chciałabym, żeby tak było. Podobnie jak my znamy wszystkie dzieci, dyrektorka zna po imieniu rodziców, zwłaszcza takich jak my, którzy pieką ciasta na szkolne zabawy, uczestniczą

we wszystkich konkursach i tańczą do płyty z lat siedemdziesiątych pospołu z pięciolatkami na każdej zabawie na zakończenie semestru.

- Nie, nie. Odchodzi ode mnie.
- Co?! - No proszę, jednak przeszło mi to przez gardło.
- Odchodzi od nas. - W przypływie odwagi pozwoliłam sobie nawet na dowcip. - Znalazł lepszy, młodszy egzemplarz, więc pozbywa się starego.
- Dyrektorka załała się łzami.
- Biedne dzieciaczki! - chlipnęła.
- Będzie do nich przyjeżdżał w weekendy - zapewniłam, wręczając jej chusteczki, które przyniosłam dla siebie.

Muszę się do tego przyzwyczaić. Wielu osobom będzie przykro z powodu naszego rozstania. Jess i Martin, małżeństwo, które po dziś dzień całowało się publicznie na przyjęciach. Martin, gruba ryba z Londynu, który wcale nie zadziarał nosa, bawił się z dziećmi i jeszcze znajdował czas, by pisać zabawne kałki do parafialnej gazетки.

Szok postarza, prawda? Tego dnia spojrzałam w lustro i po raz pierwszy od szesnastu lat zobaczyłam twarz mojej matki; wyglądała równie źle i smutno jak ona tuż przed śmiercią. Było to jednak nic w porównaniu z rodzicami Martina, gdy tego samego dnia po południu wysiedli z samochodu. Wydawało się, że posunęli się o kilka pokoleń. Wyglądali jak para zagubionych dzieci.

Rozczarowało mnie to bardzo, jako że oczekiwałam raczej aniołów zemsty nadludzkiej wielkości, które wymachując płonącymi mieczami zabronią synowi odchodzić. Ciągle się łudziłam, że dojdzie do częściowej chociaż metamorfozy w świeckiego archanioła Gabriela, kiedy zamknęli się z nim w salonie. Czekałam na wrzaski cierpienia, gdy egzorcyzmami wypędzą z Martina demona imieniem Dolores, ale nie usłyszałam nawet cichego jęku.

Nie wytrzymałam nerwowo oczekiwania, aż skruszony, złamany Martin wypełźnie szparą pod drzwiami, więc uciekłam do ogrodu, jak najdalej od domu, usiadłam na trawniku i wpatrywałam się w kwiaty. Akurat teraz kwitną moje ulubione: alchemie, dzwoneczki, dzbaneczki i oczywiście bławatki, chociaż te ledwie kiełkują. Wszystkie są niebieskie, nawet ostróżki rosną ze względu na swoją niebieskość, chociaż na razie są jasnozielone. Na takim tle błękit jest jeszcze bardziej błękitny. A bławatki to kwintesencja błękitu.

Właściwie nie nadaję się na ogrodnika. Nie wierzę w naturalną kolejność pór roku, nie jestem przekonana, że po zimie nadejdzie wiosna, nie uważam, że proces rośnięcia jest zbyt powolny, by dać się obserwować. Wymagam zbyt wielu dowodów. Muszę się cały czas powstrzymywać, żeby nie wyrywać biednych roślinek w celu sprawdzenia, czy rosną im korzenie. Za to nękają mnie marzenia i obsesje wszystkich ogrodników: uchwycić ten ułamek sekundy, gdy słońce wyjątkowo pięknie załamuje się na płatkach, kiedy świt zabarwia trawnik na niesamowity kolor. Ogrodnicy to ostatni prawdziwi romantycy, gotowi cierpieć i harować w imię jednej jedynej ulotnej chwili przemijającego piękna, w imię bezsensownej obsesji. Ja na przykład cały rok czekam, aż przy tylnym ogrodzeniu pojawią się pierwsze szafirki. Zaciągam wtedy Martina za dom i każę mu je podziwiać, w końcu

niebieski to jego ulubiony kolor. Martin jednak lubi niebieskie koszule, niebieskie filizanki, niebieskie zasłony, niebieskie meble, ale nie niebieskie kwiatki.

Kiedy tak siedziałam na wilgotnej ziemi, w promieniach słońca, wśród pszczoł niezdarne uwijających się nad ledwo rozkwitłymi pączkami, zaczęłam powoli rozumieć decyzję Martina. Nie rozumieć w sensie dosłownym, ale z jego punktu widzenia. Chodzi o styl, o modę. Zawód Martina jest nierozzerwalnie związany z modą. Jest fotografem; robi zdjęcia portretowe, reportaże z dalekich podróży, co prostsze fotoreportaże – żadnych głodujących dzieci, o nie. Jeśli akurat nie wyjeżdża służbowo w jakieś eleganckie albo ekscentryczne, a już obowiązkowo dalekie miejsce, pracuje w Londynie. Ma tam mieszkanie w samym centrum, takie, jakie normalnie widuje się w filmach z Michaeliem Douglasem. Nosi lniane marynarki i drogie koszule. Jada w restauracjach, rozmawia o zdjęciach, lokalizacjach, ujęciach, image'u i pomysłach. Jego przyjaciele wykazują równie niewielkie zainteresowanie transcendentálnymi przeżyciami na widok kwitnących bławatków jak oszczędzaniem na dom starców i pieluchy dla dorosłych.

Mnie także dane było zajrzeć za kulisy tego świata, świata kontraktów, wielkich szans, błahych rozmówek i kuszących propozycji. Ja jednak pracowałam na najniższym poziomie, przy produkcji programów telewizyjnych dla najmłodszej widowni; żaden scenariusz nie miał prawa zawierać słów dłuższych niż dwusylabowe, na planie przeważały wyraźne, ostre kolory. Martin szybko wybił się na najwyższe piętro, do najlepszych restauracji i przyjęć. Czterostronicowe rozkładowki w niedzielnych dodatkach, a na nich jego charakterystyczne, jasne, rozmazane zdjęcia. Okładki najlepszych magazynów i fotografie dalekich egzotycznych zakątków. Nie wydawało się rozsądne, bym nadal użerała się z pacynkami i gadającymi pluszakami, równie dobrze mogłam to robić w domu, na użytek własnych dzieci.

Tak więc nabyliśmy kawaleczek wiejskiego raj. Cały etat dla mnie i dorywczo w weekendy dla Martina. Wreszcie mogłam przestać się martwić, czy moja koszula dobrze wypadnie w oku kamery albo którą nogą szef nagrania wstał z łóżka. Jeśli miałam ochotę, wycierałam ręce w spodnie i nikomu to nie przeszkadzało.

Martin jednak żył podwójnym życiem i stopniowo dwa tory jego egzystencji coraz bardziej oddalały się od siebie. Żona, w której rozumieniu wyjściowy strój oznaczał czystą parę dzinsów, która w lecie ma nogi opalone tylko do linii kalszki, nie pasowała do tej większej, ważniejszej części jego życia. Do przyjaciół ze świata rozrywki. Po prostu nie mógł dłużej tego wytrzymać. No tak, mając do wyboru mnie w moich najlepszych lewisach i Dolores w czymś zwiernym od Janet Raeger...

Na dodatek w londyńskim świątku prasowym każdy, kto jest kimś, ma za sobą co najmniej jeden rozwód, o którym może rozprawiać w sobotnią noc, przy opróżnionej do połowy butelce najlepszej whisky. Tak więc wciągnął go ten świat blichtru i pozorów, targowisko próżności, kariery i osiągnięć. Dolores to tylko kwintesencja.

Słyszałam, jak trzasnęły drzwiczki samochodu. **Rodzice** Martina odjechali. A zatem nici z nadziei na niebiańską interwencję. Pewnie opowiedziałam o dzwo-

neczkach i kurach, i usłyszał w odpowiedzi: „Masz rację, synu, podjąłeś jedyną słuszną decyzję”. Tyle, jeśli chodzi o mściwych archaniołów.

Martin powiedział, że wyjedzie do Londynu wieczorem, kiedy dzieci pójną spać. Po szkole zabierze je na basen. Ja nie powiedziałam nic, głównie dlatego, że za bardzo płakałam, żeby cokolwiek wykrztusić. Do tej pory nie przypuszczałam, że można tyle płakać, i to bez przerwy. Martin zachował spokój. Kiedy jechał po dzieci, rzucił mi na odchodnym, że powinnam postarać się opanować i „wziąć w garść”.

Próbowałam. Poszłam za dom i znowu zadumałam się nad bławatkami. Niestety, to tylko pogorszyło mój nastrój. Taka sielskość i łagodność, a w moim wnętrzu szaleje huragan. Położyłam się na brzuchu i wrzeszczałam z twarzą wtuloną w trawę, żeby ziemia stłumiła krzyk i by pani E., nasza sąsiadka, nie denerwowała się, że ktoś zakłóca spokój jej krowom (ma obsesję na punkcie spokoju swoich krów).

To nie wystarczyło. Kiedy przestałam, nic się nie zmieniło. A ja lubię namacalne dowody. Porządne materialne ślady. Poszłam więc do domu, prosto do starego walijskiego kredensu, gdzie trzymamy serwis z porcelany. A raczej trzymaliśmy. Wszystkiego po osiem sztuk: talerzy płytkich i głębokich, filiżanek do kawy, do tego dzbanek, imbryk i sosjerka, i jeszcze osiem kieliszków do jajek. Wszystko białe z delikatnym szlaczkiem niebiesko-czerwonym. Nie cierpię tego serwisu. Chyba obojgu nam się nie podobał. Kiedy jednak ludziom przyjdzie do głowy pomysł na bezpieczny prezent gwiazdkowy, już po tobie. Pewna moja znajoma ma dom pełen prosiaków. Są na kubkach, kocach, ręcznikach, termoforach... czyli prezentach od krewnych i przyjaciół, wszystko wskutek jednego brzemiennego w skutki zartu sprzed lat, czyli bluzy ze świnką niefortunnego podarunku od nieaktownego chłopaka.

Wyniosłam cały ten kram do garażu. Musiałam obrócić sześć razy. Następnie rozpostarłam dwa stare prześcieradła, tak żeby na siebie zachodziły, na wypadek odprysków. A zaraz potem zaczęłam tłuc cały serwis, talerz po talerzu. Każdy ciskałam z całej siły, tak że się nie tłukły, lecz wybuchały. W tym stadium przestałam zwracać sobie głowę spokojem krów pani E.

Koncentrowałam się na każdym poszczególnym naczyniu. Na każdym talerzu, na każdej miseczce umieszczałam coś ulotnego. Na wielkim półmisku znalazła się wizja Martina z dłonią w długich rudych włosach Dolores, na drugim - świadomość moich samotnych nocy, na ostatnim umieściłam wspomnienie twarzy dzieci, gdy usłyszały, że odchodzi. Nawet kieliszki do jajek zawierały okruchy wspomnień i żalów... w jednym znalazły się usta Martina, delikatne i ruchliwe, w drugim przepis na jego ulubiony deser, w jeszcze innym piętnaście lat prania jego skarpetek... serwis był pełen po brzegi. Chyba jednocześnie ciskałam, wrzeszczałam i płakałam, bo miałam mokre policzki i sucho w gardle, kiedy już nie zostało nic do stłuczenia.

Może jeszcze na dodatek się śliniłam. Bardzo ładnie, nie ma co.

Ciągle jeszcze było mi mało. Podniosłam z ziemi porcelanowa skorupę i przejechałam zamasyście po przedramionach. Chciałam, żeby moje ciało na zewnątrz cierpiało równie mocno jak od środka, ale skończyło się na płytkich zacięciach. Doskonale sobie wyobrażałam, w jaką złość wpadnie Martin, gdy zobaczy krwa-

wie ślady; wszystko oprócz udanego samobójstwa określał mianem „dziecinnego zwracania na siebie uwagi”. Zresztą podcinanie sobie żył na własnym podjeździe, kiedy dzieciaki lada chwila wrócą ze szkoły, to nie najlepszy pomysł.

Wtedy wpadłam w panikę. Może są i płytkie te nacięcia, ale i tak krew leje się raczej niż sączy. No, pysznie, Martin i dzieci są już pewnie kilka mil od domu, a ja płamię krwią nasz podjazd wyłożony bardzo drogą kostką brukową z Bath. Cisnęłam na ziemię skorupę, wskoczyłam do samochodu i pojechałam do Sarah i Alexa.

Mają ładny, drogi dom przy głównej ulicy. A dzisiaj po szkole i tak wszyscy się dowiedzą. Niemożliwe, żeby nie zauważono mojego nagłego przybycia na próg ich domu z krwią lejącą się z rąk. Nigdy jednak nie przejmowałam się plotkami. Dobrze, że kogoś interesuje moje życie.

Sarah była w domu, szykowała się do wykładów. Mądra z niej dziewczyna i twarda jak kamień. W ułamku sekundy zarejestrowała wszystko: krew, łyż, złapała mnie pod ramiona i zaciągnęła do środka, pod kran z zimną wodą. Wątpię, czy sąsiedzi z przeciwka zdążyli cokolwiek zauważyć. Zadziałała jak w *Oстрыm dyżurze*.

Nie pytała o nic, tylko mnie zabandażowała i posadziła na stołku z kubkiem czegoś gorącego w ręku. Napiłam się, ale nie czułam smaku.

- Co to?

- Herbata z cukrem.

- Och.

- Oprócz tego od rana nie miałas nic w ustach, prawda?

- T a k .

- Kiepska sprawa. Sarah wie, że jestem z natury łakoma.

- T a k .

- Więc powiesz mi, czy mam zgadywać, dlaczego podcięłaś sobie żyły i stanęłaś mi pod drzwiami?

- Martin odchodzi.

Nielatwo sprawić, żeby Sarah zatkało. Tym razem milczała na tyle długo, że pod jej oknami zdążyły przedefilować dwie osoby, przeczytała plakat o szkolnym pikniku i pójść swoją drogą.

- Jezu. A ja uważałam go za jednego z nielicznych mężczyzn, których mózg jest zbyt duży, by się zmieścić w penisie. Cóż, nikt nie jest nieomylny. Przykro mi, Jess. Wyprowadził się już?

- Dzisiaj. Wieczorem, kiedy dzieci pójdą spać. Jedzie do Londynu. Muszę wracać, nakarmić dzieciaki.

- Możesz prowadzić?

- Jasne, bardzo, bardzo szybko, prosto w mur.

- Jess!

- Nie, nie, w porządku, nie sprawię mu satysfakcji i nie pozwolę, by dostał moje ubezpieczenie na życie.

Wpadniemy do ciebie później. Powiem Kath i Gerry'emu. Wszyscy zajrzymy.

- Zamknij się - poleciła Kath.

Właśnie, Gerry, chyba nie trzymasz jego strony, co? - Sarah nie jest obiektywna, jeśli chodzi o najbliższych, zawsze opowiada się po którejś stronie. Na dodatek jej pierwszy mąż uciekł do Rio ze studentką, więc z własnego doświadczenia wie o długich włosach i aktach urodzenia. Odkąd zjawiłam się na jej progę krwawiąc jak zarzynany prosiak, wydała na Martina wyrok.

- Nie, właściwie nie, tylko że... Ojejku, nie wiem.

- No, co? Kath bardzo wzburzyło zachowanie Martina. Są podobni. Karierowicze. Prowadzą podwójne życie.

- No... zrobił to, o czym marzy każdy facet, nie? - Po mniej więcej półtorej butelki akcent Gerry'ego pogarsza się w zastraszającym tempie. - Miał szczęśliwą rodzinę, tak? A teraz posuwa jakąś laskę z nogami do nieba i o połowę od niego młodszą.

- Doprawdy, Gerry. - Nieskazitelnym akcentem Alexa staje się tym wyraźniejszy i staranniejszy, im bardziej Gerry zaczyna bełkotać. - Nie każdy facet marzy o tym, by, jak to taktownie ująłeś, posuwać laskę o połowę młodszą. - W każdym razie nie chce tego Alex. Sarah to jego drugie podejście. Pierwsza żona rzuciła go dla kierowcy ciężarówki.

Podniosłam głowę, żeby się włączyć do rozmowy.

Wcale nie jest od niego o połowę młodszą. Ma dwadzieścia dziewięć lat. Powinna mieć więcej rozumu. Opuściłam głowę ponownie. I właśnie w tej chwili zadzwonił telefon.

Martin. Wysłałam z telefonem w ciemność. Wytrzeźwiałam w mgnieniu oka.

- Przez ostatnie dwa dni za bardzo kierowaliśmy się emocjami - oznajmił mój mąż, kosmita. Kosmici prawdopodobnie zdobyli pierwszy wzorzec głosu ludzkiego z nagranych taśm w telefonach *Anno Domini* tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt cztery, mniej więcej. Pewnie kierowaliśmy się emocjami. Rzeczywiście dziwne, dwadzieścia lat kochania kogoś nie ma tu nic do rzeczy.

- Tak - odparłam. Poczekaj. Mówiłam jak zegarynka. Bardzo to wszystko dziwne. Odsunęłam słuchawkę od ucha i oddychałam powoli. - Dobrze, mów.

- Chciałem tylko wyjaśnić wszelkie niejasności. Nie traktuję tej sytuacji przejściowo. Nawet gdybym jutro zerwał z Dolores, nie wrócę do ciebie.

Chwileczkę. - Z jego głosem w uszach nie byłam w stanie oddychać. Odsunęłam słuchawkę i głęboko zaczerpnęłam tchu, usiłując sobie przypomnieć, jak to się robi.

Zerwał. Co za zabawne określenie, nic słyszałam go od szkolnych lat. „Wczoraj zerwałam z Kevinem. Powiedziałam mu w stołówce”. „Ej, słyszałaś? Gary dzisiaj zerwie z Penny, na dużej przerwie”. Zerwać z kimś? To dobre dla czternastolatków.

- Więc twoim zdaniem z Dolores to nie przetrwa?

- Nie. W. Tym. Rzecz. Na pewno nam się uda. Ale nawet jeśli nic, nie wrócę. Nigdy nie czułem się przy tobie swobodnie. Uważam, że...

W tym miejscu musiałam zaczerpnąć tchu, ale przecież nie powiem mu znowu, żeby poczekał. Rozkręcał się coraz bardziej, słyszałam to. Po kilku wdechach ponownie podniosłam słuchawkę do ucha...

- ... i zero odwagi. Gdzieś zginęła twoja żądza przygód.
- Wiesz, niełatwo o szalone przygody między dziewiątą a piętnastą. O ile wiem, z Arktyki nie da się wrócić na czas, żeby odebrać dzieciaki ze szkoły.
- Tego właśnie nie chcę. Takiego życia.
- No cóż, ja również skłamałabym twierdząc, że od dziecka marzyłam o mężu, który mnie rzuci dla jakiejś małolatki. Mój głos stracił wprawdzie bezosobowość zegarynki, ale nabierałam strasznych podejrzeń, że teraz mówię jak kura domowa z Monty Pythona. Nowa seria wdechów i wydechów. Ku memu zdumieniu Martin ciągle nie odkładał słuchawki.
- Jess... jesteś tam jeszcze?
- Zależy o co ci chodzi, Martin. Dlaczego to robisz?
- Ze względu na ciebie. I odłożył słuchawkę.

Przedtem stałam, a teraz leżałam, wpatrzona w niebo, z milczącym telefonem w dłoni. Była piękna, aksamitna ciepła noc, pachniała latem. Martin osiągnął swój cel. Jasno wyraził swoją opinię, nie tyle poprzez to, co powiedział, ale w jaki sposób to zrobił: głosem jak przemysłowy diament, gęstym jak lód w samym sercu lodowca. Pewnie tak samo czuł się Franklin, kiedy zrozumiał, że zamiast drogą powrotną do Hongkongu odkrył wyspę Baffina. Pewnie tak samo czują się wędrownie ptaki, kiedy to, co uważały za Zorzę Polarną, okazuje się Krzyżem Południa. Mapa mojego życia została odwrócona do góry nogami, tyłem do przodu, na lewą stronę.

Usłyszałam szum powietrza w uszach, a potem dwadzieścia lat mojego życia uleciało w ciemność, hen, nad płot, nad warzywnik pani E...

- O, kurwa! Alex, Kath, Sarah... chodźcie tu i pomóżcie mi. Znowu to zrobiła.

To było całkiem niedawno. Nie wiem dokładnie, pewnie kilka godzin temu. Chłopcy poszli do domu, żeby się zająć dziećmi, ale Sarah i Kath zostały ze mną. Kath śpi w łóżku obok mnie i chrapie w najlepsze, a Sarah leży na podłodze. Zastanawiam się, czy w ogóle oddycha. Sarah jest wątła i słaba w najlepszych nawet okolicznościach, a po dzisiejszej libacji musi być wyczerpana.

Tego rodzaju bliskość nieczęsto się zdarza dorosłym. Dzieci często śpią z przyjaciółmi, gadają o niczym, chichoczą i plotkują, dopóki nie zasną. Potem dorastasz i spiasz z mężem, i dla większości ludzi kończą się chichoty i pogaduszki. My trzy już raz spałyśmy razem. Zeszłego roku wybrałyśmy się z dziećmi na dwudniową wyprawę pod namiot, tylko kobiety i dzieci. Upchnęłyśmy dzieciaki w jednym namiocie, gdzie chichotały i plotkowały. My, matki, w drugim robiłyśmy dokładnie to samo. Leżałyśmy w ciemności i rozprawiały, a na dworzce pohukiwały sowy.

- Tak samo będzie, kiedy umrą nasi mężowie i wylądujemy w domu starców stwierdziła Kath.

Będziemy sobie leżały w naszych ślicznych małych łóżeczkach z rurką w każdym otworze. Jedzenie wchodzi jednym końcem, wychodzi drugim... nawet nie będziemy musiały się ruszać stwierdziłam.

Boże, co za ulga, koniec z seksem, tylko kąpiele. - W głosie Sarah brzmiała autentyczna radość.

Chyba coś ze mną nie tak, pomyślałam. Miałam zamiar posługiwać się ramą łóżka jako pomocą przy kochaniu się. Nie chcę zapomnieć, jak to jest - pieprzyć mojego męża.

Chyba bali się tamtej nocy zostawić mnie samą. Głupota, przecież nie zabiłabym się mając dzieciaki w domu. Mieć martwą mamusię to jedno, ale znaleźć trupa mamusi, to coś zupełnie innego - po takim przeżyciu nie wystarczy wizyta u psychoterapeuty i domowe leczenie.

To moja druga noc bez snu. Czuję się dziwnie, jakby przeniesiono mnie do nowego ciała, którego nie znam, które zachowuje się zupełnie inaczej niż poprzednie. Nigdy się nic pocę, a to ciało wręcz ocieka potem. Moje serce zaczyna bić nieco szybciej dopiero po dwudziestu minutach biegu; to nowe szaleje jak tam-tam w rękach niezrównoważonego szamana. No i jeszcze w tym ciele coś jest nie tak z mięśniami, bo trzęsie się nieustannie.

Nie mogę spać, nie umiem sterować tym, zdawałoby się, cudzym ciałem, więc nie zostaje mi nic innego do roboty jak siedzieć i rozmyślać. Wspominać. Wyobraźnia płata czasami okrutne figle; przed oczyma stają mi jednocześnie wydarzenia bardzo dalekie i bardzo bliskie. A może w rzeczywistości ostatnie, dwadzieścia lat służy za podściółkę krowom pani E.? Nie wiem, w każdym razie jakimś cudem cały ten okres między najdawniejszym początkiem i dniem dzisiejszym jakoś się rozplynął, zatarł, a mnie przed oczami stają najróżniejsze pierwsze i ostatnie razy z Martinem. Pierwszy pocałunek - ostatni pocałunek. Pierwszy wspólny posiłek - ostatni wspólny posiłek. Pierwsza randka, ostatnia randka. Pierwsze spotkanie, ostatnie spotkanie.

Zaledwie czterdzieści osiem godzin temu leżeliśmy w tym łóżku razem, jak zawsze. Rozebraliśmy się, śmialiśmy, zartowali. Powiedział nawet, że mnie kocha. Co się stało? Gdzie się to wszystko podziało?

UFO. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

Rozdział trzeci

Dom tonie w kwiatach, a ja godzinami wiszę na telefonie. Wszelkie domowe prace - pranie, gotowanie dla dzieciaków - wykonuję z telefonem bezprzewodowym między barkiem a uchem. Skończy się to poważnym skrzywieniem kręgosłupa.

Gdyby nie to, że wyprawdziliśmy się na prowincję, wszyscy ci, z którymi konferuję przez telefon, zjawiliby się u mnie osobiście, żądając jedzenia i wyjaśnień. Zważywszy, że ostatnimi czasy nie jestem w stanie ugotować nic bardziej

wymyślnego niż paluszki rybne, mogłyby to mieć opłakane skutki. Po prostu mam za dużo na głowie, żeby się skupić na właściwej kolejności prac potrzebnych do przygotowania posiłku z prawdziwego zdarzenia. Z trudem radzę sobie z rozzerwaniem pudełka i umieszczeniem mrożonki w piecyku. Wczoraj wyjęłam z zamrażarki torebkę zielonego groszku. Zapomniałam o niej na śmierć aż do dzisiejszego ranka, kiedy to ku memu wielkiemu zdumieniu znalazłam ją w bielizniarce. Pojęcia nie mam, skąd się tam wzięła. No i w mieście nie byłoby kwiatów. Kwiaty dostaje się w zamian, jako substytut osoby, nie jako dodatek. Tak więc skolioza to nieduża cena.

Nie przypominam sobie, bym przez ostatnie pięć dni robiła cokolwiek innego poza powtarzaniem w kółko historii Martina i Dolores. Opowiadam ją wszystkim, krewnym, przyjaciółom, znajomym z pracy. O tym, jak się poznali, ile czasu minęło, zanim się w sobie zakochali, jak bardzo się starał o niej zapomnieć i nie mógł, i wreszcie że od nas odszedł - do niej. Właściwie robię to już automatycznie, udaje mi się wszystko opowiadać nie angażując się za bardzo. Przedstawiam to jak wielki romans, miłosna historia końca dwudziestego wieku. I oby tak było; skoro i dzieci, i ja tak bardzo cierpimy, niech przynajmniej wiemy, że jest za co.

Oczywiście nie kończy się na opowiedzeniu historii stulecia. Potem jest czas na Komentarze i Analizy. Komentarze są autorstwa danej osoby, do której zadzwoniłam, by się z nią podzielić radosną nowiną. Analizy natomiast dokonują osobiście, albo na głos, podczas rozmowy, albo w milczeniu. Analiza nie ma niestety większej wartości naukowej, z czego zdaję sobie sprawę w rzadkich chwilach klinicznego obiektywizmu. W głównej mierze polega na tym, że wmawiam sobie, iż to wszystko nie może dziać się naprawdę i że Martin wróci. Czy raczej, że to się w ogóle dzieje, za chwilę przestanę płakać i chować zielony groszek do bielizniarki.

Próbuję zrozumieć, dlaczego do tego doszło, i dochodzę do wniosku, że to głównie moja wina. To tak, jakbym w wyobraźni jechała nieskończenie długimi ruchomymi schodami, a przed oczami przesuwały mi się gigantyczne plakaty z opisaniami moich grzechów. Gdybym nosiła bardziej seksowną bieliznę, nie narzekała tyle na jego pracę, gdybym zapytała go o zdanie, zanim pomalowałam kuchnię na niebiesko, gdybym nie sprawiła nam psa, gdybym nie flirtowała z jego przyjaciółmi, nie obgadywała jego krewnych... I jeszcze do tego ten pamiętny skok w bok, tamtej nocy, po hucznej imprezie. Wiem, można by pomyśleć, że to jego wina, że postąpił jak co najmniej połowa facetów koło czterdziestki. Ja jednak znam wszystkie moje grzechy.

Z drugiej strony, pewnie tak myślę, bo przez całe moje dorosłe życie trwałam w przekonaniu, że on ma rację, a ja się mylę. Jestem głupia. Niezrównoważona. Stuknięta. Uczuciowa i wymagająca. Jak on mi kiedyś powiedział? „Żądasz nie-normalnie dużo miłości”. Może i tak, jak orchidea albo inna trudna w hodowli roślina. Porzucił mnie dla żywotnego, silnego kwiatka, który kwitnie bez względu na to, czy go podlewasz czy nie, wypuszcza świeże listki nawet w jałowej glebie.

W mojej głowie cały czas debatują różne głosy, dyskusja nie milknie ani na chwilę. Odczuwam jednak coś na kształt ulgi, gdy słyszę również komentarze innych. Komentarze z głębi serca, prosto ze słuchawki.

Moja... nasza stara przyjaciółka, Flic, była pierwsza. Zadzwoiła zaraz po weekendzie, dwie doby temu.

- Jak to, rzucił cię dla największej miłości swojego życia? A ja?

Od mniej więcej roku była asystentką Martina. Flirtowali bezustannie. Nie-wykluczone, że posunęli się dalej, w każdym razie mieli ku temu sposobność: dwukrotnie razem wyjeżdżali na zdjęcia do Moskwy.

- Co to za jedna? Jak wygląda? Ile ma lat? - Flic nie owijała w bawełnę.

- Dzięki, Flic, mam się doskonale, zważywszy na okoliczności; ostatnio płakałam aż półtorej godziny temu.

Spali ze sobą, to więcej niż pewne. Nie wierzę, że Dolores była pierwsza.

- Jess, nie histeryzuj. Słyszę po głosie, że jesteś w okropnej formie.

Chociaż Flic leci na Martina, nigdy nie chciałaby go na stałe. Zwykła o nim mawiać: „Równie słodki jak głupi”.

- Dobra, po kolei: Dolores pracuje w telewizji. Z opisu Martina wynika, że to skrzyżowanie Katharine Hepburn z Claudią Schiffer.

- Miło z jego strony, że opowiedział ci ze szczegółami, jaka jest piękna. Z pewnością nie oszczędził ci nawet dokładnej długości jej nóg?

- Co do ciała. Nosi levisy rozmiar osiem, długość trzydzieści jeden.

- Ile ma lat?

- Naprawdę muszę?

Nie chciałam jej tego mówić. Nie wiadomo dlaczego najbardziej poczuwam się do odpowiedzialności za mój wiek, bardziej niż za cokolwiek innego. Jakby to była moja wina, że mam trzydzieści dziewięć lat z okładem.

- Cholerne dwadzieścia dziewięć.

- Dobra, więc wiem, co ci powiedzieć. Martin to głupi fiut. Mówiłam to już wcześniej i nie zmieniam zdania. Głupi fiut.

Bez względu na aktualny wynik autoanalizy w mojej głowie, z przyjemnością wysłuchuję takich stwierdzeń. Bardzo wszystko upraszczają. Tamta strona postąpiła źle, ta słusznie. A pośrodku biegnie wyraźna, gruba kreska. Chociaż właściwie dlaczego zwracam sobie tym głowę, nie mam pojęcia. Czemu niby świadomość, że to Martin zawinił, ma sprawić, że będę cierpieła mniej? Co z tego, że bezinteresowna, obiektywna ława przysięgłych, w której zasiadają jego znajomi i rówieśnicy, uznała go winnym? Bez względu na to, jak bardzo niesłusznie postąpił, bez względu na to, że racja jest po mojej stronie. Koniec końców i tak jego dłoń spoczywa na cudownie jedwabistym udzie Dolores, a nie na sflaczałej poduszce, w jaką zamieniły się moje uda.

Nie zebym naprawdę miała fatalne nogi; po prostu tak mi się wydaje, gdy wyobrażam sobie, jakie wspaniałe ciało musi mieć Dolores. Nie wiem sama, czy jej uroda jeszcze pogarsza sprawę, czy odwrotnie. To znaczy, jakbym się czuła, gdyby się okazało, że Martin porzucił mnie dla starej baby jeszcze brzydszej ode mnie? Właśnie dlatego zawsze współczułam biednej księżnej Dianie. No bo jak to tak - przez pół życia męczysz się u fryzjerów, kosmetyczek i w siłowniach, dajesz sobie naciągać skórę na udach i na brzuchu, żeby wyglądać lepiej niż kiedy miałaś dwadzieścia lat, a twój mąż, głupi sukinsyn, posuwa inną i to na dodatek taką która wygląda jak worek obroku.

Chris to kolejna osoba, której uczucia na wiadomość o romansie stulecia mogą się okazać co najmniej mieszane. Chris oddałby wszystko, by się dostać do moich majteczek. Na początek wystarczyłoby gdziekolwiek w pobliżu mojej bielizny. Nawet palec w rękawie koszulki uszczęśliwiłby go na chwilę. Może trochę przesadzam, ale nie mieści mi się w głowie, że ktoś mógłby do tego stopnia mnie pragnąć. I do tego teraz. Cały czas rozważam, czy Martin był ze mną tak długo tylko dlatego, że wiedział, że mi na nim zależy... i jeszcze dlatego, że praktycznie zawsze miałam ochotę na seks. No, ale dziękuję losowi za chuć Chrisa, nawet jeśli nie jestem jedynym jej obiektem. Chris po prostu chce się pieprzyć. Niewykluczone, że za pół roku ciepłej przyjmę jego zaloty.

Zadzwoił wczoraj po południu. Akurat byłam w ogrodzie, rozbijałam dzieciakom namiot. Cztery razy obszłam płachtę brezentu, zanim sobie przypomniałam, że trzeba wbić śledzie.

Nie wierzył własnym uszom, ale nie był zbytnio pomocny.

- Jak on to robi? Dwie kobiety szaleją na jego punkcie, a mnie nie udaje się nawet dotrzeć do pierwszej bazy. Jezu, to niesprawiedliwe.

Chris jest przystojny, śniady, ciemnowłosy, silnie zbudowany. Trochę niski, ale czy to w czymkolwiek przeszkodziło Tomowi Cruise?

- Co on takiego w sobie ma? Bóg mi świadkiem, większość facetów zadowoliliby się tobą. - Nie bardzo wiedziałam, czy to miał być komplement. - Jess, to okropne. Wiesz, kiedy ostatnio się kochałem? Trzy lata temu. Nie pieprzyłem się, odkąd stuknęła mi czterdziestka. A on ma dwie kobiety. Dwie kobiety.

Chris ma tylko jedną wadę (poza niewyobrażalnym egoizmem); jest cholernie zmanierowany. Sprawia wrażenie egzaltowanego rozkapryszonego pedała.

- Jess, moje biedactwo. Musisz być silna.

Nie zdobyłam się, by mu na to zwrócić uwagę, a on niczego nie zauważa. Inni w kółko mu mówią że „myśleli, że jest gejem”, a jemu nie mieści się to w głowie.

- Jestem na niego wściekły. Nie wiem, czy będę w stanie zachować się jak człowiek cywilizowany, jeśli go spotkam w Londynie.

A ja w kółko powtarzam, że nie wiem, jak komukolwiek mogłoby przejść przez myśl, że nie jest hetero. Biorąc pod uwagę to i gorliwość, z jaką stara się dostać do mojej bielizny, czuję się w pewnym sensie za niego odpowiedzialna.

- Nawet nie chcę myśleć o twoich biednych dzieciaczkach. Jak on mógł je zostawić dla ciepłej babeczki do łóżka?

Fakt, że zajmuje się fotografowaniem mody, tylko pogarsza sprawę. Zdaniem Martina każdy facet w tej branży to gej.

Oczywiście każdy, komu referuję Romans Stulecia, zakłada, że chodzi o seks. Że Martin, jak to wdzięcznie ujęła Sarah, ma mózg w penisie. I może rzeczywiście wszystko sprowadza się do seksu, ale nie tak, jak oni to rozumieją. Co chwila słyszę mniej więcej takie stwierdzenia:

- W końcu w łóżku nikomu nie jest równie dobrze po piętnastu latach małżeństwa jak na początku, prawda?

Albo:

- Sam seks mu się znudzi. Wróci do domu na porządny posiłek.

Albo:

- Nawet najwspanialszy seks to nie wszystko.

Wszystko po to, żeby poprawić mi samopoczucie. A w rzeczywistości sugerują że najbliższy odpowiednik jednoczesnego orgazmu, jaki zdarzył się Martinowi ze mną to wspólne popijanie gorącej czekolady w tym samym rytmie. Ja zaś nie mogę im powiedzieć, jak dalece się myślą bo prawda jest zupełnie inna. Czy też raczej: była.

Od czasu hipotetycznego zakładu Martina z Damianem seks był naszym sposobem na wszystko. Pieprzyliśmy się w każdej sytuacji, rozwiązywaliśmy w łóżku wszelkie problemy: kłopoty w pracy, długi, rozpacz, radość, strach, poparzenie słoneczne, ból zęba, poranne mdłości. Pieprzyliśmy się w łazience moich rodziców w dniu śmierci mojej matki; pieprzyliśmy się w szpitalu w noc przed narodzinami Dana; w całym domu nie ma powierzchni, na, pod lub w oparciu o którą byśmy tego nie robili. Widzę nas wszędzie, gdziekolwiek spojrzę, jak nieustanny pornograficzny hologram.

Po dwudziestu latach ćwiczeń człowiek staje się dobry w tym, co robi, a w seksie nie mieliśmy sobie równych. Mogliśmy to zrobić w dowolnym miejscu, o każdej porze dnia i nocy, w każdym tempie i z różnym nagłościeniem. Praktycznie robiliśmy właśnie to, ilekroć zostaliśmy sami na dłużej niż kwadrans. Uważałam seks z Martinem za moje hobby.

Tak więc kiedy dzisiaj rano Sarah pocieszała mnie przez telefon:

- Z czasem seks mu się znudzi, wiesz, jak to jest w stałym związku - odpowiedziałam:

Ale u nas tak nie było. Nie rzucił mnie przez seks.

- No nie, ale wiesz, o co mi chodzi... przecież mając czterdzieści lat nie zwieszacie się już z zyrandola, prawda?

- Słuchaj, Sarah, mogę ci coś powiedzieć? Pamiętasz przyjęcie u was w ogrodzie, kiedy wszyscy w ciemności podziwialiśmy fajerwerki oparci o ścianę?

No... tak.

- Martin otulił mnie wtedy peleryną.

- T a k .

- No właśnie. Twojej wyobraźni pozostawiam, ile rzeczy można zrobić pod taką peleryną.

- Ależ stałam tuż obok!

- A pamiętasz gwiazdkowe przyjęcie u nas, kiedy Martin wyszedł po drwa do kominka? Dotarł zaledwie do kuchni. Oparł mnie o drzwi do spiżarki i posuwał aż miło. Dlatego przypiekłam chleb. A kiedy ty i Alex sączyliście herbatkę na promocji tamtej książki w lecie, pamiętasz, w ogrodzie, zeszłego lata, ja kłęczałam wśród karczochów i robiłam Martinowi minetę jego życia. Na promie do Cherbourga w połowie semestruńczytowałam dwukrotnie, zanim jeszcze wypłynęliśmy z Poole Harbour. Więc nie wmawiaj mi, że Martin rzucił mnie dla bardziej podniecającego seksu. Raczej dla lepszych nóg, dłuższych włosów, jędrniejszych cycków, dla urody, dla image'u... W porządku?

Głupio mi, że rzuciłam słuchawkę. Chciała tylko mnie pocieszyć, dodać mi otuchy. To się jednak nie udało, bo Sarah ma rację. Chodzi o seks. Seks jako kwintesencję życia, bo tak pojmował go Martin. Ja jednak także mam rację, bo wiem nic rzucił mnie dla Dolores z powodów czysto technicznych. Od tego, co z nią robi, ważniejsza jest świadomość, że będąc z nią w łóżku, posuwa młodość i wolność, światła wielkiego miasta i świetlaną przyszłość. Seks ze mną o przeszłość, to długie lata ze mną spędzone; antyteza blichtru, za to troska o dzieci, które rzygają o drugiej nad ranem, wspólne kolacyjki przed telewizorem, skarpetki na kaloryferze. Ciało Dolores nie jest mapą ich związku. Moje przypomina krajobraz aborygenów: każda dolina, każdy wzgórek ma swoją historię. Moje śmiesznie małe dłonie, pulchne, pokryte odciskami od pracy w ogrodzie. Zawsze bawiły Martina. „Masz ręce małej dziewczynki, takiego łobuziaka”, zwykł mawiać. Obwisła skóra pod zębami, która nigdy nie odzyskała dawnej sprężystości po tym, jak najpierw Dan, potem Frankie kopaliję energicznie, niecierpliwiąc się na świat.

Na ciele Dolores nie ma takich znamion, jest idealnie czyste, jak nie zapisana kartka papieru.

Najważniejsze jednak w Dolores to, że nie jest mną. Nie ginie pod stertami zabawek, tornistrów, doniczek z kwiatami i niezrównoważonych psychicznie kur.

Jeśli akurat nie wiszę na telefonie rozprawiając o mojej koszarnej sytuacji, żyję w czymś w rodzaju transu. Pamiętam, że wykonuję codzienne czynności, w rodzaju gotowania wody na herbatę czy ścielenia łóżek, ale nie jestem do końca tego świadoma.

Właściwie nie wiem, czym całymi dniami zajmują się dzieci. Wiem tylko, że jest połowa semestru, na dworze świeci słońce, więc rozbiłam im namiot w ogrodzie, niedaleko kur, i tam spędzają lwią część czasu, tam też przyjmują odwiedziny przyjaciół. Ich rodzice podwożą swoje pociechy i wymykają się chyłkiem, żeby nie patrzeć mi w oczy. Dana i Frankie całkowicie pochłonęła ucieczka od rzeczywistości; gromadzą w namiocie zapasy batonów czekoladowych, na które nie zgodziłabym się za żadne skarby świata w innych okolicznościach, i wynoszą na zewnątrz rzeczy, których dawniej za nic nie dałabym wytaszczyć do ogrodu. Na kanapie nie ostała się ani jedna poduszka, w bielizniarce po zapasowych kocach zostało jedynie wspomnienie.

Dzisiaj zająłabym ukradkiem do namiotu. Przypomina miniaturową palarnię opium; sterty miękkich poduch i kołder, gdzie wspaniale można się ukryć. Siedzą tam całymi dniami, sznurują starannie wejście i pieką się w środku, a biedna Suka odchodzi od zmysłów na zewnątrz.

Zjawiają się koło mnie, ilekroć zaczynam płakać na serio. Przez większość czasu bowiem łzy płyną mi ciurkiem przy zwykłych czynnościach, jakbym miała nieszczęsne oczy. Jednak kilka razy dziennie szlochanie staje się moim głównym zajęciem. Pochłania mnie do tego stopnia, że nawet wtedy nie rozmawiam przez telefon. Dzieciaki przeczuwają to jakimś szóstym zmysłem. Opuszczają bezpieczne

schronienie z brezentu i pluszu i tułą się do mnie, jakby w obawie, że rozpadnę się na kawałki w dosłownym tego słowa znaczeniu. Same nie płaczą nie starczą im czasu. Tułąc się do mnie, walczą o przetrwanie, o pewność, że został im ktoś, kto ucałuje ich na dobranoc i przyrządzi sos do spaghetti dokładnie tak, jak lubią. Tak więc koncentrują się na mnie z całych sił. Ich pieszczoty mają wyższy cel.

Jeszcze nie płaczą bo nadal są w szoku. Widziałam to podczas tych nielicznych wieczorów, gdy spali w domu, zamiast w namiocie, w towarzystwie ciasteczek i przyjaciół. W obecności Frankie nie da się wypowiedzieć słów „Martin” czy „tata”, bo natychmiast nurkuje pod kołdrę i na całe gardło intonuje piosenki zespołu Boyzone, żeby mnie zagłuszyć. Dan przechodzi, jak to nazywają Kalifornijczycy, „fazę negacji”. Podobnie jak jego matka, tak mi się wydaje. W kółko powtarza, że Martin nadal mnie kocha. Że wszystko jeszcze będzie po starym. Ochrypli szept synka, który mówi mi do ucha wszystko to, w co chcę uwierzyć, urasta do rangi mistycznego obrzędu. Wychodząc z jego pokoju odnoszę wrażenie, że muszę zostawić w kuchni zapalone światło, na wypadek gdyby Martin wrócił w środku nocy.

Oczywiście, gdyby nawet wrócił do domu w środku nocy, nie spałabym, bo wiem sen należy do rzeczy, które robiłam. Przeszedł do królestwa czasu przeszłego dokonanego, zjawiska, którego nigdy nie rozumiałam na lekcjach francuskiego. W ciągu zaledwie tygodnia sen i wszystko inne, związane we mnie z Martinem, osunęło się w czas przeszły dokonany. Mówię: „W soboty zapraszaliśmy gości na kolację. Odbierałam Martina z dworca”. Chyba upodabnam się do podręcznika do gramatyki francuskiej z lat pięćdziesiątych. Konstrukcja „zrobiłam...” wyraża czynność dokonaną w przeszłości i nie mającą związku z teraźniejszością. No właśnie, miałam męża, uprawiałam seks...

Jeśli sen pozostanie na dłużej w *passe simple*, Martin będzie musiał wrócić i zająć się dziećmi, bo mnie przed oczami będą latać różowe słonie i zacznę nawiązywać towarzyskie rozmowy z tosterem.

I tak cały czas czuję się dziwnie. A pomyśleć, że kiedyś zasypiałam w każdym miejscu i o każdej porze. Doprowadzało to Martina do szału w kinach. Nie wiele filmów obejrzałam do samego końca.

Bezsenność zmienia perspektywę. Nic nie oddziela poszczególnych dni od siebie. Nic nie pozwala ci choćby na chwilę o wszystkim zapomnieć.

Za to mam nieskazitelnie czysty dom i ogród praktycznie bez chwastów, bo wiem dzięki bezsenności zyskuje się bardzo dużo czasu. O północy mój umysł szaleje jak królik po kofeinie. Pucuję framugi drzwi i ściągam książki z półek, żeby dokładnie odkurzyć. Ten dom nigdy dotąd nie zaznał prawdziwej higieny, więc okna i meble przyglądają się podejrzliwie moim zabiegom. Jeszcze tydzień i na linoleum w kuchni będzie można dokonywać przeszczepów serca.

Trudno jednak pozbyć się starych nawyków związanych ze snem. Koło pierwszej wydaje mi się, że mam ochotę się zdrzemnąć. Rozbieram się starannie, powoli, składam każdą sztukę odzieży. Zakładam coś, co szumnie określam mianem piżamy, a co w rzeczywistości jest powyciąganym podkoszulkiem i legginsami pranymi tyle razy, że cała zawarta w nich lycra udała się na spotkanie stwórcy.

Ten nieodparcie seksowny strój nocny jest prawdopodobnie jednym z powodów, dla których Martin mnie porzucił. Twierdził co prawda, że nie przemawiają do niego koronkowe skrawki, dające mniej więcej tyle ciepła, ile plaster samoprzylepny. Ale idę o zakład, że zmienił zdanie. Przecież niemożliwe, żeby kobieta imieniem Dolores nie posiadała co najmniej trzech koronkowych koszulek. I ze dwóch lizesek, idę o zakład.

W każdym razie szoruję zęby. Zbliżam się do łóżka. Kładę się i leżę, wyobrażając sobie wrzody na zgrabnym tyłeczku Dolores, grzybicze narośla na jej udach, opryszczkę na genitaliach, brodawki na brzuchu, nieświeży oddech. Zsyłam na nią wszystkie wstydlive, żenujące choróbska. Potężne wzdęcia są niezłe, hemoroidy doskonałe, a wyłysienie nie ma sobie równych. Nie życzę jej niczego, co zagrażałoby życiu. Jeśli ma umrzeć, chcę się osobiście do tego przyczynić za pomocą dobrego starego kawałka stali.

Czasami te fantazje ukoją mnie na tyle, że przysypiam. Niestety, nigdy na długo, bowiem w moich snach Martin jest bohaterem filmu Quentina Tarantino: goni mnie w czarnym garniturze, ze sporym nożem do mięsa w garści. Budzę się mokra od potu, jakby ktoś wylał na mnie kubel wody.

Wtedy dociera do mnie moje położenie. Przez kilka upiornych sekund każda komórka mojego ciała za nim tęskni, a skóra jeży się w panice, jakby położył się na mnie potwór rodem z powieści Stephena Kinga.

Wstaję zatem. Niestety, o czwartej rano nie posiadam odpowiedniej koordynacji ruchów, by kontynuować pucowanie framug. Mogę jedynie chodzić. Maszeruję więc po całej kuchni, dokoła stołu, trzymam się za żebra i ze zdziwieniem wsłuchuję w dziwaczne odgłosy, które sama wydaję.

A potem jest szósta. Jeszcze tylko godzina, zanim będę mogła do kogoś zadzwonić i znowu rozprawiać na wiadomy temat.

Rozdział czwarty

Rozpacz to równoległy wszechświat, gdzie wszystko jest możliwe. Siła grawitacji może zastrajkować, dżdżownice przemówić bezbłędną chińszczyzną, ja mogę rzucić się na szyję zatwardziałej torysce, która poluje na lisy. Jako że jedna z wyżej wymienionych rzeczy naprawdę miała miejsce, jestem gotowa uwierzyć w sześciodniowy tydzień pracy dla teorii Newtona i osiągnięcia lingwistyczne pod powierzchnią ziemi.

Kiedy mówię „rzucić się na szyję”, nie mam na myśli nic choćby odrobinę romantycznego. Nie, chodzi mi raczej o wypłakiwanie się na piersi. To właśnie zrobiłam dzisiaj rano, na środku drogi, wracając ze szkoły. Całkiem jawnie, jak bóbr, szlochałam na toryskiej piersi.

Kiedyś bardzo lubiłam ten kawałek dnia... był jak droga Syzyfa w dół, przy akompaniamencie tyleż głośniejszej, co tandetnej muzyki rockowej. Ostatnimi czasy nie jeżdżę

już tak szybko. Przede wszystkim po to, żeby jak najbardziej opóźnić nieuchronną chwilę, gdy wejdę do domu i każdy przedmiot zacznie mi przypominać o Martinie.

Tak więc, kiedy dogonił mnie range rover sąsiadów i okno uchyliło się pośpiesznie, byłam wdzięczna losowi.

Tak naprawdę nie są to „moi sąsiedzi”. Moją sąsiadką jest pani E. Niestety, jedyne istoty, które zaszczyca rozmową, mają po cztery nogi i wymiona, więc niewiele z niej pożytku. Tak więc moi najbliżsi przydatni sąsiedzi mieszkają o pole dalej. James i Mary. Zamieszkują kupę kamieni, własność rodziny Jamesa od niepamiętnych czasów, chyba jeszcze zanim wynaleziono bieliznę. Prawdopodobnie początkowo była to wyjątkowo elegancka i korzystnie usytuowana chałupka, i od tego czasu każde pokolenie dobudowuje kawałek, z charakterystyczną nonszalancją. James i Mary mieszkają w centralnej części domostwa, wśród starych obrazów, przedstawiających rozmaite dobra rodzinne: posiadłości na wsi, statki, byki z rodowodem... W pozostałych skrzydłach domu zgromadzili najróżniejsze skarby: komódki chippendale, niewprawnie wypchane lisie łby, nieprzebrane stopy perskich dywanów i fantastycznie wiekowego ojca Jamesa wraz z jego kolekcją wiatrówek, z którymi nie rozstaje się od urodzenia.

James jest adwokatem, a Mary fanatyczką ogrodnictwa. Mają dorosłe dzieci, które dokonują ważnych rzeczy w różnych zakamarkach imperium. Nie przypominam sobie, by Mary kiedykolwiek miała na sobie cokolwiek innego niż tweedową spódnicę do pół łydki i wygodne, praktyczne buciki. W zimie nosi wełniane zakieity, w lecie koszule a la księżna Diana. W weekendy James zakłada sztuczkowe spodnie i swetry, które Mary robi mu na drutach. Koło łowieckie spotyka się na ich terenie cztery razy w sezonie.

Chodzimy, przepraszam, chodziliśmy do nich na coroczne przyjęcia gwiazdkowe; na co dzień widuję Mary, jak spaceruje z psami. Machamy sobie z daleka, a czasami ucinamy krótką pogawędkę na temat nowości w naszym życiu:

Ja: - Martin wyjechał do Rosji/Stanów/Izraela/Francji na dwa/trzy/pięć tygodni.

Mary: - Pip/Roger/Bruno (psy) ma zwichniętą łapę/zapalenie ucha/rozwolnienie.

Następnie wymieniamy kilka nudnych uwag o pogodzie, rzucamy parę wątpliwej jakości dowcipów i żegnamy się aż do następnego spotkania.

Na Boga, oni czytają „The Telegraph”, a słowo „pedał” kojarzy im się wyłącznie z kolarstwem. Nie wyobrażałam sobie, bym mogła w nich dostrzec pokrewne dusze.

Tak przynajmniej było do wczoraj, w Starym Wszechświecie. Teraz zaczął się Nowy.

- Dawno się nie widziałyśmy - oznajmiła Mary, ledwie okienko się opuściło. Jowialna i serdeczna, jak zawsze. Na pewno była zastępową. Ja nie zdobyłam nawet najprostszej sprawności. - Co słyhać u twojego wiecznie nieobecnego męża?

Nie ma szans, by na to spokojnie odpowiedzieć. Nie ma sensu bawić się w łagodnie wstępny. W takiej sytuacji maksimum tego, na co mnie stać, to wybuch, ze łzami lub bez. Tego ranka akurat było z.

- Nieobecny na dobre, Mary. Odszedł ode mnie.

- Cholerny idiota! - Powiedziała to z takim przejęciem, że aż otworzyłam usta ze zdumienia, jakim dostała w twarz. - Skręć tutaj, w bramę - poleciała mi takim samym tonem, jakim zwracała się do swoich psów. Widziałam, jak kulify ogon pod siebie, kiedy tak do nich mówiła, więc uznałam, że najrozsądniej będzie posłuchać. Zjechałam na bok. Nie zdążyłam przekręcić kluczyka w stacyjce, a już wyciągała mnie z samochodu.

- Straszny z niego głupek, skoro zostawił ciebie i wasze śliczne dzieci.

Nigdy nie przypuszczałam, że znajdę się w tak bezpośredniej bliskości ciała Mary. Wciśnięta w nią, czułam dokładnie jej gorset pod lekkim sweterkiem i pudrowy zapach talku. Mary jest Normanką słusznego wzrostu, a ja to karłowaty potomek Celtów; obawiałam się poważnie, że złamię mi kręgosłup.

Dlatego ryknęłam płaczem. Chwilowo poczułam się bezpieczna w ramionach osoby o wiele ode mnie większej. Czegoś takiego doświadcza się zazwyczaj w dzieciństwie. Od dziesięciu dni płakałam i opowiadałam o wszystkim moim liberalno-lewicowym przyjaciołom. Są kochani i troskliwi, ale mają swoje życie, swoje problemy. W ciągu dnia jestem sama. A kiedy już spotykam się z przyjaciółmi, to jak wszyscy Anglicy z klasy średniej, są bardzo powściągliwi w kontaktach fizycznych. Dłoń na ramieniu to już poważna sprawa.

Spoczywać w czyichś ramionach i szlochać, oto czego było mi trzeba. Zwróciłabym się do rodziców, gdyby dało się ich złapać inaczej niż za pomocą talerzyka do wywoływania duchów. A tu, proszę: okazało się, że ze wszystkich znanych mi ludzi otuchy doda mi akurat Mary Walton - Naseby. Z domu Hornchurch.

Kiedy już szlochałaś komuś w ramię i zasmarkałaś mu rękaw, takie drobiazgi, jak przekonania polityczne i akcent, tracą znaczenie. Niezbyt rozsądne wydało mi się również wracanie do starej rutyny na temat pogody i kłopotów z psim trawieniem. Tak więc kiedy wyplątałam się z objęć Mary, uśmiechnęłyśmy się do siebie serdecznie.

- Dziękuję - bąknęłam.

- Nie ma za co, moja droga. Taki płacz czasami dobrze robi. Wieczorem wpadniemy do ciebie z Jamesem. Tylko na chwileczkę, nie będziemy przeszkadzać.

Z tymi słowami wsiadła do range rovera i już jej nie było. Kolejny dobry uczynek dla Imperium.

A zatem okazało się, że dzisiaj jest jeden z Lepszych Dni. Po spotkaniu z Mary nawet nie wszłam do domu. Wolałam nie patrzeć na hologramy Jess i Martina w każdym pomieszczeniu. Zostanę w ogrodzie, który zawsze stanowił wyłącznie moją własność. Gdybym była sławna i poproszono mnie, jak to niedzielne wydania dzienników mają w zwyczaju, o zaprezentowanie jednego pomieszczenia z mojego domu, wybrałabym właśnie ogród. Byłabym w stanie rozprawić o każdej roślince tyle samo czasu, co gwiazdki i gwiazdeczki o swoich oryginalnych etruskich wykałaczkach czy zabawnie kiczowatych automatach z gumą do żucia.

Postanowiłam coś zrobić na dowód, że dam sobie radę bez Martina. Ha! Jeśli o mnie chodzi, może sobie do końca życia majstrować przy koronkowym body

Dolores. Skoszę trawnik, zdecydowałam. Posłużę się odwiecznym fallicznym symbolem męskości, kosiarką spalinową.

Mamy... mam spory trawnik. Najchętniej zasadziłabym na jego miejscu kwiaty, niestety, nie jest to najlepszy pomysł, gdy posiada się dzieci, które odtwarzają finały piłkarskich mistrzostw świata z dziewięćdziesiątego szóstego roku, uprawiają akrobacje rowerowe i odgrywają wyprawę Scotta na Antarktydę na tymże trawniku.

Mimo dużej powierzchni trawnika i faktu, że z własnego nadania piastuję stanowisko głównej ogrodniczki, nigdy dotąd nie kosiłam. Martin się tym zajmował, bo Martin to Mężczyzna, a pchanie to jest to, co Mężczyźni lubią najbardziej... Podobnie w domu. Jedyna praca, do której się dawał zapędzić, to odkurzanie.

Jego wyjazdy przypadają zawsze w zimie, kiedy koszenie sprawiałoby tylko niepotrzebny hałas dżdżownicom, albo były na tyle krótkie, że trawnik nie zdążył przekształcić się w dziewiczą dżunglę.

Więc po dziś dzień nigdy nie włączałam kosiarki.

Kiedy wyciągałam ją z komórki, wydawała znajomy zgrzytliwy odgłos. Okazała się ciężka i nieporęczna, ale co tam, jestem dużą, samodzielną dziewczynką dam sobie radę nawet z ciężkim żelastwem, nie potrzebuję męża. Następnie sprawdziłam poziom benzyny. Nawet pamiętałam, gdzie jest bak.

Potem musiałam to włączyć.

Dociśnij dźwignię A do rączki B.

W porządku.

Trzykrotnie wciśnij przycisk C.

Ojej... nie sięgam przycisku C, jednocześnie trzymając dźwignię A. Pochyliłam się nad rączką B... to ta, która przesuwana się do przodu samoczynnie, a ty się jej kurczowo trzymasz. Niestety, co najmniej sześć cali dzieli moje palce od przycisku C. Najwyraźniej kosiarkę zaprojektowano z myślą o kimś o dłuższych nogach i tułowiu.

Spróbujmy w odwrotnej kolejności. Wśliznąć się pod drążek B, przegiąć się do tyłu w stronę przycisku C.

Bolesny upadek na co wypuklejsze części silnika.

Myślenie kreatywne. Najpierw wcisnąć przycisk C.

Udało się!

Teraz przycisnąć dźwignię A do drążka B. Bomba.

Kolejny krok. Energicznie pociągnij linkę D, żeby uruchomić silnik. Puść dźwignię A i naciśnij drążek E.

Energicznie... pociągnij... linkę... D.

Muszę to zrobić szybciej i energiczniej: EnergiczniePociągnijLinkęD.. EPLD.

Niestety, mnie wychodzi jedynie: energicznie... pociągnij... Nawet nie sięgam do linki, mam za krótkie ręce.

Myślenie jeszcze bardziej kreatywne. Nie mogę EPLD, bo jestem za słaba, a linka jest za wysoko.

Gdybym była wyższa...

Włóż na kabeł, ściskam linkę D i przechylam się do tyłu.

Wiadro się wywala, puszczam dźwignię A.

Sznurkiem przywiązuję dźwignię A do drążka B.

Ponownie włączę na kubel i desperacko rzucam się w powietrze, nie puszcza-
jąc linki D.

Potłukłam się boleśnie, ale warto było; uruchomiłam silnik.

Wstaję. Odwiązać dźwignię A, wcisnąć drążek E.

Hurra.

Ruszam na trawnik. Kobieta i maszyna w idealnej harmonii. W tę i z powrotem.
A potem skrzynia na ściętą trawę jest pełna.

Jeśli wyłączę silnik, będę musiała od początku odbyć całą komedię z włącze-
niem na kubel, a kolejna próba może się skończyć na połamanych zebrach.

Przywiązuję dźwignię A, ponownie stosując opracowaną uprzednio technikę
płatania węzłów jedną ręką.

Z pewnym wahaniem wyjmuję skrzynię z trawą, zbliżając się przy tym nie-
bezpiecznie do ciągle wirujących ostrzy. Przed oczami natychmiast staje mi wizja
krwawych szczątków mojego ciała wśród ściętej trawy. Martin miałby okropne
wyrzuty sumienia. (Gdybym się nie wyprowadził, nie musiałyby sama zabierać
się za koszenie. Jakie to straszne.) Zaniósłam pachnące ścinki do kurnika, czym
wprawiłam sześć istot w ekstazę.

Wsadzić pojemnik na miejsce. Odwiązać dźwignię A i od nowa.

Mogłabym napisać broszurę: *Uruchamianie Kosciarek dla Niskich Kobiet.
Koszenie dla Karłów.*

Tym sposobem złamałam odwieczne tabu kosiarek; że obsługują je wyłącz-
nie osobnicy płci męskiej. Przez całe dzieciństwo ojciec szedł Skosić Trawnik,
jakby był to jakiś imperatyw moralny, ofiara mająca na celu przekonać Boga, że
nie zgrzeszyliśmy lenistwem i niechlujstwem. Nic nie było w stanie przeszkodzić
mu w wykonaniu tego obowiązku, podobnie jak za skarby świata nie dałby się
pozbawić zasłużonego wypoczynku po pracy.

Teraz, maszerując w przyjemnie monotonnym hałasie i wdychając lekko nar-
kotyczne spaliny, rozumiałam, jaki ojciec był przebiegły, zakładając olbrzymi
trawnik i obiecując sobie, że utrzyma go w nieskazitelny stan. Koszenie to
wielka frajda. Nikt się do ciebie nie odzywa, bo nie ma sensu przekrzykiwać
silnika, nikt niczego od ciebie nie chce, bo przecież kosisz. Nic dziwnego, że
Martin tak to lubił.

W południe skończyłam. Ogród wygląda fantastycznie, a ja nie płakałam od
spotkania z Mary kwadrans po dziewiątej.

O wiele lepszy dzień.

Czekanie na dzieci przed szkołą należało do najmilszych chwil dnia. Zwłasz-
cza teraz, w czerwcu, gdy żywopłoty się zieleńią, a trawniki mają kolor młodego
groszku, chętnie zatrzymywałam się i paplałam o chorobie wściekłych krów i ce-
nach wołowiny, o stetryczalnych krewnych, o ślubach i pogrzebach, lekarstwach
na migrenę, o beznadziejnych mężach i nudnych żonach. Czasami gawędziłam

z prawdziwymi przyjaciółmi, jak Sarah, Katherine, Gerry czy Alex, najczęściej jednak byli to tylko znajomi. Kolejny element wiejskiej sielanki.

Teraz nie zostało nic sielskiego. Kryzysy i dramaty to rodzaj niewidzialnego trądu. Ludzie nie zbliżają się na wszelki wypadek; a nuż kawałek ciebie, chory i zakażony, upadnie wprost na nich? Tego dnia przed szkołą nie było żadnych przyjaciół, sami znajomi. Prześlizgiwali się po mnie wzrokiem, podobnie jak wczoraj i dzień wcześniej, jak olej ślizga się po patelni teflonowej.

Nie, nie całkiem tak samo. Przyglądają mi się ukradkiem, szukają wad i usterek. Przecież musi być jakiś powód, dla którego Martin odszedł.

- Wiesz, przedtem nie zwróciłam na to uwagi, ale ona ma jedną łopatkę niżej niż drugą. Przecież żaden facet z kimś takim nie wytrzyma!

- Wystarczy na nią spojrzeć, by wiedzieć, że nie ma pojęcia o gotowaniu. Przez piętnaście lat małżeństwa ani razu nie jadł porządnego obiadu. Wyobrażasz to sobie?

- Byłam kiedyś u niej w domu. Podłoga w kuchni była brudna. Wiesz, faceci nie lubią flejtułów.

- Podobno spała z malarzem pokojowym. Pójdzie do łóżka z pierwszym lepszym, to widać.

Gdyby nie dostrzegali we mnie żadnych wad, okazałoby się, że podobna rzecz może spotkać ich. Pewnego ranka obudzą się i odkryją że druga połowa łóżka jest pusta i zimna.

Jutro poczekam w samochodzie.

No, nareszcie. Dzieci wylewają się strumieniem toreb i nie dokończonych rysunków. Dan i Frankie są zawsze na końcu. Do tej pory, ale nie dzisiaj. Coś mi się zdaje, że i oni padli w ramiona torysów. Wyszli pogrążeni w rozmowie z innym rodzeństwem, Andrew i Angellą Riley.

Mamo, mogę zaprosić Angellę na herbatę?

- Mamo, czy Andrew może pojechać do nas i pograć ze mną w piłkę?

- Jeśli mama im pozwoli, proszę bardzo. - Starłam się nie okazać niesmaku. Muszę się nauczyć nad sobą panować. Niezbyt rozsądnie byłoby powiedzieć: „Dzieciaki Rileyów? Zwariowaliście? Przecież ich nie cierpicie z całego serca. Frankie, rok temu, kiedy zaczęłaś chodzić do szkoły, Angella przywiązała ci włosy do ogrodzenia. A ty, Dan, nie pamiętasz, co Andrew mówił o Supermanie?”.

Nagle wszystko zrozumiałam. Nowe przyjaźnie to część Nowego Porządku Wszechświata. Panią Riley, Jo, też rzucił mąż. Wyprowadził się jednak tylko na drugi koniec wioski, gdzie mieszka z dwudziestoletnią instruktorką jazdy konnej imieniem Melanie. Przez dobre sześć miesięcy w zeszłym roku nikt nie rozmawiał o niczym innym. W ciągu miesiąca Jo z atrakcyjnej trzydziestoparolatki stała się jędzowatą staruchą, a dzieci przypominały spłoszone sarny. Jasne, niech wpadną.

Dopiero teraz domyśliłam się, gdzie znaleźć Jo. Siedzi w samochodzie, przed szkołą. Pierwsza mieszkanka kolonii trędowatych.

Frankie i Angella bawiły się w Barbie Samobójczynię. Biedne lalki cierpiały w dziesiątkach krwawych wypadków, spadały z rowerów, wypadły z dziesiąte-

go piętra, tonęły w stawie. Dziewczynki bawiły się tak dobrze, że wkrótce dołączyli do nich Dan i Andrew. Wspólnie reżyserowali sceny mrozące krew w żyłach, na widok których Attyla zdradzałby ze strachu. Frankie i Angela zajęły się animacją i efektami dźwiękowymi cierpiących, konających Barbie, a Dan i Andrew relacjonowali zdarzenia na żywo.

Gdyby nie fakt, że wymyślili tę zabawę przed kilku tygodniami, gdy jeszcze w najlepsze odgrywaliśmy szczęśliwą rodzinę, uznałabym, że w ten dziwny sposób odreagowują stres.

Niedługo jednak się bawili. Kiedy następnym razem wyjrzałam przez okno, żeby sprawdzić, co robią, siedzieli pod jabłonią. Wyglądali jak grupa terapeutyczna. Każde mówiło po kolei, nikt nikomu nie przerywał, nie było przepychanek i chichotów. Usiłowałam usłyszeć, co mówią ale po chwili domyśliłam się tego sama. Wyobrażałam to sobie doskonale:

- Czy wasza mama też płakała bez przerwy, kiedy wasz tata odszedł?
- Tak, ale teraz już przestała, tylko w nocy.
- Myślicie, że wasz tata wróci?
- Nie. A wasz?
- Może. Tak. Och, nie wiem.

To okropne. Zdawali się tacy obcy, dorośli, przygnębieni. Jakby przedwcześnie zwolnili do tempa dorosłych. Czworo małych ludzi usiłuje przetrzymać burzę i zaprowadzić porządek w życiu. Złote rybki w *tsunami*.

Przyszły mi na myśl reportaże o głodujących dzieciach, które nagle przestają się bawić. I po raz pierwszy naprawdę wpadłam w złość. Byłam wściekła, że doświadczają cierpienia dorosłych i że to cierpienie je niszczy. Są jak płód wystawiony na działanie narkotyków w łonie matki. Rozpacz ostatnich dni stanie się nierozzerwalną częścią ich osobowości, utkwi w nich jak kryształ Królowej Śniegu w sercu Kaja.

Wpadłam w taką wściekłość, że zadzwoniłam do Martina po raz pierwszy, odkąd odszedł. Dawniej dzwoniłam do niego codziennie, czasami dwa, trzy, cztery razy.

Nie dzwoniłam do Dolores. Nie chcę wiedzieć, jaki ma wspaniały głos. Mówił, że jest jedwabisty i miękki. Zadzwoniłam na telefon komórkowy. Numer mam chyba zakodowany w palcach. Włączyła się poczta głosowa. Martin mówił bardzo zwięźle i profesjonalnie:

- Dzień dobry. Tu poczta głosowa Martina Harveya. Proszę zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału.

Słyszałam to tysiące razy. Czasami tylko tyle.

Dzisiaj zabrzmiało to tak samo jak wtedy. Nikt by się nie domyślił, że życie właściciela tego głosu zmieniło się całkowicie. A może nie? Może dla niego prawdziwe życie to od dawna Londyn i Dolores? A teraz tylko dokonał amputacji martwego organu, czyli mnie.

Sygnal.

- Uznałam, że powinienesz wiedzieć, w jakim stanie są twoje dzieci.

W takim stanie, że grzecznie siedzą pod jabłonią i debatują z przyjacielami. Nie brzmi to zbyt dramatycznie, prawda? Odłożyłam słuchawkę.

Jo nie przyjechała po dzieci, zrobiła to jej mama. Ucieszyłam się, bo nie miałam ochoty na rozmowę z Jo. Nie chcę nawet o niej myśleć. Mam okropne przecucie, że za rok będę wyglądała tak jak ona; wiecznie czujna, wychudzona, jakby coś ją bezustannie gryzło w dosłownym tego słowa znaczeniu. Wygląda, jakby robiła doktorat ze szlochania. Ja na razie zaczęłam szkołę średnią i nie planuję wyższego wykształcenia w tej dziedzinie.

Przyjaźń z Jo byłaby równoznaczna z przyznaniem, że jedziemy na tym samym wózku, na tym samym rozklekotanym rupieciu, z którego zeskoczyli nasi mężowie. Wołę się ludzić, że wszystko się skończy, zanim się do niej upodobnię. Chcę wierzyć, że Martin do mnie wróci. Że może już jutro będzie czekał na mnie w domu.

Po wyjściu Andrew i Angeli zaczęło padać, monotonnie i beznamiętnie, chyba zanoszi się na mokry tydzień. Tak więc Dan i Frankie wpadli do domu na zwykły nudny podwieczorek, a potem zwykłą kolację. Przeraza mnie, jak wiele szczegółów dnia codziennego umyka mojej uwagi. Podałam im kolację zaledwie godzinę temu a już nie pamiętam, co jedli. Wiem, że siedziałam z nimi przy stole i czytałam im bajkę, ale nie pamiętam już, co to było. Dotrzymywałam im towarzysza, gdy się po kolei kąpali, siedziałam na brzegu wanny z nogami w wodzie. Pamiętam ich ciała, gładkie, solidne, doskonałe. Nie pamiętam jednak, co mówili, domyślam się tylko, że paplali o szkole i dzieciakach Rileyów. Nie wiem na pewno, to tylko moje przypuszczenia. Usiłuję się skupić, skoncentrować, ale to jak chwywanie wody w dłonie.

To wprawia mnie w panikę. A jeśli z rozpacy stracę rozum?

Kiedy siedziałam na łóżku Dana i otulałam kołdrą jego i Dino (pluszowa wersja potwora z filmu Park Jurajski, który w oryginale pluł jadłem w oczy i zjadał ofiary. Osobiście nie wzięłabym czegoś takiego do łóżka), uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie pamiętam ani podwieczorku, ani innych części dnia; że wsiąkły jak woda w piasek.

Nie chcę obudzić się pewnego dnia z przekonaniem, że jestem wieszakiem na ubrania albo że byłam na herbacie u Beethovena. Nie chcę, żeby mnie zamknęli, rozdzielili z dziećmi. I nie chcę, żeby Martin z satysfakcją oznajmiał wszystkim, że zawsze powtarzał, iż mam rozchwianą psychikę.

Zatem dzisiaj płakałam więcej niż zwykle o tej porze. A Dan wyklepał swój stary tekst pod tytułem: „Tatuś nadal cię kocha”, a Frankie wygłosiła formułkę: „Nie wstydz się, że płaczesz, mamusiu”. Koniec końców otoczyli mnie chudymi ramionkami i okazali się dla mnie tym, czym ja powinnam być dla nich.

Dlatego właśnie Mary i James, gdy przyszli, zastali mnie skuloną w kłębek w kuchni, pochłoniętą kontemplowaniem własnej nieprzydatności jako matki. Wyglądałam chyba jak Arafat na kacu. Nie słyszałam, jak wchodzili, pierwszym sygnałem ich obecności była przemowa Mary do Suki, która tańczyła na tylnych łapach i skomlała głośno. W ten sposób zachowuje się jedynie w obecności mężczyzn. Testosteron rzuca jej się na mózg.

James ostrożnie podniósł mnie z podłogi i odwinął ręcznik.

- Dobry Boże - zażartował dzielnie - a już się obawiałem, że kryje się tu jakiś potwór.

Ciągle miał na sobie przymały garnitur. Mary pewnie zaciągnęła go tutaj, gdy tylko wrócił z biura.

- Zobacz, co przynieśliśmy. - Mary postawiła na stole gigantyczną butlę szampana.

- I zaraz to we trójkę wypijemy - dodał James. Energicznie rozluźnił węzeł krawata. - Masz kieliszki do szampana?

Nie odezwałam się. Widok Mary, Jamesa i największej na świecie flaszki szampana w zagraconej kuchni sprawił mnie w stan niebotycznego zdumienia. Moi przyjaciele zdawali się zagubieni i niepewni i po raz pierwszy dotarło do mnie, że mimo całej brawury są to przemili, odrobinę nieśmiali ludzie. Przekroczyli próg Antychrysta, znaleźli się na terytorium cholernych lewaków, czytających „The Guardian”, głosujących na Partię Pracy, przeciwnych polowaniom. Na pewno nie czuli się dobrze w tej sytuacji, ale przywiodła ich tutaj szczerą chęć niesienia pomocy. Wyjęłam kieliszki z kredensu i w myślach zaczerwieniłam się na wspomnienie wszystkich okropności, które mówiłam o torysach: że zjadają własne potomstwo, używają banknotów dwudziestofuntowych zamiast papieru toaletowego i czytają wyłącznie Dickensa i Jeffreya Archera.

James otworzył szampana i opróżniliśmy kieliszki do dna, stojąc sztywno przy stole.

Postanowiłam także być dzielna. Otarłam resztkę łez i głęboko zaczerpnęłam tchu.

- Jedliście kolację? - Zauważyłam, jak oboje pobledli lekko wyobrażając sobie, jaki posiłek może ich czekać w mojej kuchni, pełnej słoików z włoskim makaronem, oliwą z oliwek i... dobry Boże! Nawet kiełki! W kuchni z brudną podłogą i półkami uginającymi się od rozmaitych dziwnych lektur, od *Asterixa w Algierii* poczynając, a *na Erotyzmie w poezji brytyjskiej w latach 1966-84* kończąc, a między nimi poniewierają się nie zapłacone rachunki i ulotki reklamujące fluorescencyjne sztuczne kwiaty i pęsety do włosów w nosie.

- Nie, ale... nie chcemy zawracać ci głowy

- Nie ma sprawy. To coś nowego. Odkąd Martin odszedł ograniczałam się do wrzucania mrożonek na patelnię, ale wypijemy jeszcze po kieliszku, a poradzę sobie lewą ręką. Siadajcie i mówcie do mnie, a ja zajmę się kolacją. Mam w lodówce bekon i świeże jaja prosto od kury, co wy na to?

James i Mary rozpromienili się.

- Super.

- Wspaniale. Nie jadłem jajecznicy od lat. W domu mi nie pozwalają. - James szturchnął Mary w bok w sposób, którego nie sposób nazwać inaczej niż kokieterijny. A trudno mówić o kokieterii, gdy się ma lat sześćdziesiąt pięć i sto centymetrów w talii.

- Przynajmniej się najemy.

Usmażyłam stertę bekonu, dodałam produkcję kur z ostatnich trzech dni i postawiłam im przed nosem. Wytlumaczyłam, dlaczego jako talerze służą nam ostat-

nie strony „Elle”, a oni przyklasnęli mi entuzjastycznie. Mary przytaszczyła z range rovera drugą butkę szampana (możliwe, że w bagażniku mają całą skrzynkę). Pytali o Martina, więc opowiedziałam im o największym romansie dwudziestego wieku. Tym razem udało mi się nie płakać, a to nowy rekord. Potem opowiadali mi o sobie. O tym, jak Jamesa o mały włos nie wyrzucono ze szkoły za rozprowadzanie piwa. Mary wspominała, jak otarła sobie uda o siodełko motocykla, kiedy ze swoim chłopakiem przemierzyła całą Kenię. Z tego wniosek, że nie zawsze jednak nosiła nieśmiertelne tweedowe spódnice do pół łydki. Dowiedziałam się także, jak się poznali - na balu po udanym polowaniu. Gwałtowny podmuch wiatru przewrócił namiot, w którym odbywała się impreza, i musieli wyczołgiwać się na zewnątrz.

Na trzy godziny uciekłam na cudownie beztroską planetę Jamesa i Mary. Słuchałam opowieści o dzieciach, które odsyłano ze szkoły do domu za umieszczenie pająka w majtkach instruktorki tenisa, o ojcu Jamesa, który usiłował zastrzelić mleczarza po wyjątkowo długiej i intensywnej sesji z butelką whisky, o urodzinach Jamesa które Mary chciała uczcić setką czerwonych róż i stu pięćdziesięcioma świeczkami, i w rezultacie musiała wzywać straż pożarną gdy wszystko wymknęło się spod kontroli.

Dopiero dźwięk telefonu ściągnął mnie ponownie na ziemię, do mojego ponurego życia. Zadzwonił Martin. Bynajmniej nie był rozkosznie przymilnym pluszowym misiem, jakiego można by się spodziewać; jakkolwiek by było, mieszka teraz z kobietą swego życia. Na szczęście druga butelka szampana dodała mi siłę, w innym wypadku rozsypałabym się na kawałki ze słuchawką w rękę.

- Co ci, do cholery, chodzi po głowie? Stosujesz szantaż emocjonalny zostawiając takie łzawe wiadomości w poczcie głosowej?

- Wiesz, nie znalazłam się w zbyt optymistycznej sytuacji. Uznałam, że powinienś wiedzieć, że dzieci są bardzo nieszczęśliwe.

- Mówisz to jedynie po to, żeby wzbudzić we mnie poczucie winy.

- A czujesz się winny? Biedaczek. Wiesz co? Mam pomysł, jak rozwiązać twoje problemy. Wracaj do domu, a przestaną cię gryźć wyrzuty sumienia.

- Nie pleć bzdur. Podjąłem decyzję i nie zmienię zdania.

- Ojej! Czyżbym słyszała gniewne tupnięcie?

- Jess, daj spokój. Posłuchaj. Nie możesz bez przerwy do mnie dzwonić i zostawiać wiadomości. Zaczęłam nowe życie, bez ciebie. Powiedz dzieciom, że rano do nich zadzwonię. Do widzenia. - O proszę, znowu to słyszę: tysiącletni lód z serca alaskańskiego lodowca. Szampańska brawura nie wystarczy, by mu się oprzeć. Nie mogę się nadziwić, jakim cudem udało mu się na tyle wytrenować głos w ciągu zaledwie kilku tygodni.

Chwilę po tym, jak w uszach rozległ się ciągły dźwięk, Mary i James zbirali mnie z podłogi. Co się ze mną dzieje? Permanentna amnezja i omdlenia z częstotliwością wiktoriańskiej dziewczycy. Coraz bardziej upodabnam się do szmacianej lalki, którą kiedyś dostałam na urodziny. Otóż w krótkim czasie nabawiła się ona dziury za uchem, której żadnym sposobem nie dało się załatać na stałe. Tak więc stopniowo zawartość jej głowy i ciała wysypała się na zewnątrz, i szmaciana lalka zmieniała się w kupkę gałganków.

Usadzili mnie na krześle w kuchni i Mary tak długo poila mnie słodką herbatą, aż przestałam odpowiadać monosylabami i można było się ze mną porozumieć. Wtedy James zaatakował mnie „rzeczowymi pytaniami”. Pytał, kiedy Martin odszedł, gdzie zamieszkał, skąd mam zamiar brać pieniądze na życie.

- Mamy wspólne konto. Nie jest aż takim draniem. Nie zostawi nas bez groza przy duszy.

- Jess, moja droga - James przybrał najbardziej oficjalną pozę prawnika z wieletnim stażem. - Z mojego doświadczenia wynika, że w takich okolicznościach mężczyźni są równie lojalni i troskliwi jak boa dusiciel. Musisz skonsultować się z prawnikiem. Twój mąż może uciec do Timbaktu, zostawiając ci jedynie długi do spłacenia i zawartość lodówki, i nic mu za to nie grozi. Na dłuższą metę zobowiązany jest jedynie do płacenia alimentów na dzieci, więc musisz walczyć.

- Tak, jeśli nie wróci. A on wróci. Zatęskni za rodziną. Wiem, że tak będzie.

- Jess. - Moja dłoń zniknęła w pulchnej łapie Mary. - James i ja widzieliśmy to nieraz, wśród naszych przyjaciół, krewnych, znajomych z klubu łowieckiego i z wioski. Są dwie wersje wydarzeń; mężczyźni albo po prostu nie wracają albo wracają tam, gdzie nikt ich już nie chce.

- Zawsze będę go chciała. I wróci do mnie. Przecież często się słyszy o parach, które się ponownie schodzą po rozwodzie. Jeśli przestanę w to wierzyć, zwariuję!

Mary nie musiała mówić „porozmawiamy za rok”, miała to wypisane na twarzy. Pewnie dla niej brzmi to zbyt melodramatycznie. I ma rację, to jest kiepski melodramat, ale najbardziej przeraża mnie fakt, że to takie rzeczywiste. Nie zabiję się, przynajmniej nie ostentacyjnie, nie w stylu wanna i podcięte żyły, ale złałam się na tym, że kiedy jestem w samochodzie sama, nie koncentruje się. Jadę bardzo szybko, bo niby czemu nie? Kiedy przejeżdżam most, myślę sobie: „Jeden ruch kierownicą i będzie po wszystkim. Nie będę więcej cierpieć”. I to jest wizja kusząca, a zarazem szara, zwykła, codzienna, jak poniedziałkowy ranek. Jeśli moje serce przestanie wierzyć w powrót Martina, jak przestał wierzyć rozum, to nie wiem, do czego będę zdolna.

Nie wiadomo, co sobie pomyśleli, ale byli anielsko cierpliwi. Nie zadawali więcej praktycznych pytań. Czekali, aż przestanę chlipać, a potem pomogli mi okrzepnąć rozprawiając na zwykłe codzienne tematy: psy, ogród, wiejskie ploteczki, wydarzenia towarzyskie. Mary była w swoim żywiole.

- Czy znajdziesz kogoś do pilnowania dzieci w piątek wieczorem? - zainteresowała się.

- Nie muszę. To będzie mój pierwszy weekend bez nich. Martin przyjedzie po nie koło siódmej.

- Doskonale się składa. Chodź z nami na przyjęcie do Francisa Weatona. Kończy pięćdziesiąt lat i zaprosił chyba pół Anglii. - Do Francisa Weatona, dobre sobie. Dzięki odejściu Martina trafiam do nowej warstwy społecznej. Francis to jeden ze starej gwardii w naszej wiosce, nie jest jednak tak liberalny w nawiązywaniu stosunków towarzyskich jak Mary i James. Zadaje się z rodzinami ziemiańskimi z dziada pradiada, znajomymi z klubu strzeleckiego, współnikami w interesach,

a nie z napływowym elementem o lewicowych przekonaniach. O ile akurat nie przepuszcza rodzinnego majątku w St. Moritz, Florencji czy Nowym Jorku. Podobno bajecznie bogaty i ciągle samotny. Pewnie aktywny członek mniejszości seksualnej, skoro do pięćdziesiątki dotarł bez ani jednej żony.

- Będzie muzyka i tańce, zaprosił ze sto pięćdziesiąt osób. - Cóż, jako pierwsze wyjście solo będzie przynajmniej ciekawie. Kto wie, może znajdzie się tam wolny milioner, zwolennik niskich kobiet i zapalony ogrodnik? Przemawia do mnie ta wizja mojej osoby: kobiety rozpieszczanej i psutej, bez zmartwień i trosk o pieniądze. Nie, żeby Martin był biedakiem. Zarabia sporo, ale bez gwarancji ciągłości. Nigdy nie sadzę niczego, co potrzebuje więcej niż dwóch lat do kwitnienia. Może ostatnio do tego stopnia pochłonęło go posuwanie Dolores, że nie zarobił ani grosza. Może wyczyścił konto do ostatniego centa, a towarzystwo budowlane w tej chwili szykuje się do zaanektowania moich grządek. Tak, milioner bardzo mi się przyda.

- Dobrze, zobaczę, w jakiej będę formie.

- Przyjedziemy po ciebie i już. Koło ósmej.

Uśmiechnęłam się do Jamesa.

- W porządku. Może się okazać, że będziecie musieli przeczekać kilka historycznych zmian kreacji, ale przyjedźcie koło ósmej.

Po bardzo serdecznym pożegnaniu poszli do domu, do swoich psów. Jak na brytyjskich konserwatystów są zdumiewający. A obejmują człowieka jak południowcy.

Znowu chodzę w tę i z powrotem, za to nie wydaję żadnych odgłosów. Chodzę odrobinę bardziej konstruktywnie. Usiłuje myśleć o przyszłości, zamiast w kółko analizować moją sytuację.

James ma rację. Powinnam zacząć planować. Potrzebna mi praca. Muszę zarabiać. W najlepszym wypadku wprawię Martina w stan najwyższego osłupienia, gdy wróci i przekona się, że sobie poradziłam, w najgorszym będę miała za co utrzymać dzieci i siebie, gdyby jednak wybrał się do Timbaktu kręcić filmy z Tuaregami w tle i Dolores w roli głównej.

Niestety, w rubryce „doświadczenie zawodowe” w moim życiorysie widnieją jedynie programy o liczeniu od jednego do trzech i wymianianiu dwóch słów na „a”. A zatem powrót do pracy oznacza powrót do królestwa słów jednosylabowych i pluszowych zabawek. Nieważne, w jak ponury nastrój mnie to wprawia, ale jest przynajmniej możliwe. Mój były szef awansował, jest teraz szefem stacji regionalnej tutaj, na południu. W jednej z branżowych gazetek Martina wyczytałam, że kręcą bardzo dużo audycji dziecięcych dla innych stacji. Napiszę błagalny list. Może pięć lat pieczenia tortów z lukrem i suszenia skarpetek to wystarczające kwalifikacje.

Staram się nie myśleć o weekendzie. Zobaczą Martina, a potem zostaną tu sama. Nic nie wydaje mi się zbyt nieprawdopodobne, by mogło się wydarzyć. Może Martin padnie mi do nóg i będzie błagał o wybaczenie. A może w sobotę

zadzwoni z Nowego Jorku i powie, że porwał dzieci. Może stanie w progę z bronią i mnie zastrzeli, a może ucieknę z domu z nieprzyzwoicie bogatym, konserwatywnym milionerem-homoseksualistą. Wszystko jest możliwe. W imię zachowania resztek rozumu muszę czymś zapłacić ten pusty weekend. Pomaluję na nowo sypialnię. Zmienię wystrój, żeby w niczym nie przypominała pokoju, w którym kochałam się z Martinem, spałam u jego boku, leżałam w ciemności i słuchałam, jak nerwowo bełkocze przez sen.

Rozdział piąty

Czuję twoje kości, mamusiu - stwierdziła dzisiaj rano Frankie. Leżała po mojej prawej stronie, Dan po lewej. Pasują do mnie jak kawałki układanki. W miarę jak rosną zmienia się tylko jedno - coraz dalej sięgają ich stopy. Kiedy Dan leży z głową na moim ramieniu, dotyka palcami u nóg moich stóp. Frankie zaczynała na wysokości moich żeber, teraz łaskocze mnie w łydki. Nie rosną szybko. To powolny, delikatny proces. Nietrudno być rodzicem. To trochę jak starzenie się. Nic brutalnego, ot, co roku o kilka zmarszczek więcej.

Znowu pada. Leje jak z cebra, cała okolica wydaje się rozczarowana taką pogodą. Liście rozchylają się ku słońcu, a tymczasem dostają deszcz. Leje bez przerwy od poniedziałku, i bardzo mnie to cieszy. Nie zniosłabym radosnej, słonecznej pogody. Deszcz jest jak współczucie. A nawet jeśli nie, wydaje się bardziej na miejscu.

- Tak, mamusiu. Mogę policzyć ci żebra i wszystkie kości w brzuchu.
- Nikt nie ma kości w brzuchu.
- Ty masz.

Spałam. Naprawdę spałam co najmniej pięć godzin. Obudzili mnie gramoląc się do łóżka, więc nie byłam sama w tym najgorszym momencie, kiedy wszystko wraca. Wpakowali się do łóżka, jak zawsze podczas nieobecności Martina, kiedy było dla nich miejsce.

Im chyba nadal się wydaje, że Martin wyjechał służbowo, jak zwykle. Liczą dni do jego powrotu. Dawniej pisał nam informacje na kalendarzu: „Jeszcze tylko dwa tygodnie”, „jedne zajęcia na pływalni i trzy dni szkoły do powrotu tatusia”, i w końcu: „Hurra! Tata jutro wraca”. I naprawdę było „hurra”: dom przepięknie wysprzątnany, dzieci wyszorowane i grzeczne, specjalne potrawy na stole, specjalne świece w świecznikach, specjalna bielizna na żonie.

Pewne pory roku to specjalny czas powrotów Martina, bo wtedy najczęściej wracał z długich wyjazdów; tak samo jak na widok kwitnących kasztanów żołądek mi się ścisną ze strachu przed egzaminami, a zapach palonych liści nieodwołalnie kojarzy się z dziadkiem, który ostatnie dziesięć lat życia poświęcił na palenie ognisk. Przenikliwie zimno pierwszych dni marca oznacza dla mnie czekanie na podjeżdżie, nasłuchiwanie, czy Martin nie jedzie, niepoważne pragnienie, by

usłyszeć go jako pierwsza, przed dziećmi. Jeżynobranie w połowie września, kolczaste gałęzie czepiające się spodni, to też czas jego powrotów. „Martin wraca”. Te słowa były moim zaklęciem, lekiem na najgorszy ból, rozwiązaniem każdego kłopotu.

Z jego powrotem wiązał się cały rytuał: przyjeżdżał brudny i zmęczony, opalony i roześmiany. Pokryty warstewką blichtru wielkiego świata, pachnący sobą bardziej niż kiedykolwiek. Patrzyłam, jak rozpakowuje bagaże, na których jeszcze trwa nalot dalekich, egzotycznych miejsc: kurz afrykańskiego buszu, papierosowy dym z nowojorskich barów, podobne do hieroglifów znaczki z tokijskich pralni. Prezenty dla dzieci pod brudnymi koszulami. Zawsze mnie bawił mały płócienny przybornik z masą przegródek. Miał tam scyzoryk, turystyczne sztucce, mały ręczniczek - wszystko w ściśle określonym miejscu, wszystko z jasno określoną rolą w jego życiu gdzieś tam, z dala od nas. Malutki prom kosmiczny z macierzystego statku. Oczywiście, w świetle ostatnich wydarzeń jasno widać, że była to raczej kapsuła ratownicza, a w jednej z przegródek prawdopodobnie miał zawsze zapas przeterminowanych.

Dzieciaki miał rację co do kości, o czym się przekonałam, kiedy po powrocie ze szkoły zastanawiałam się, co założyć na dzisiejsze przyjęcie, to u Francisca Weatona. Zamaszystym ruchem otworzyłam drzwi mojej szafy, licząc jak zawsze, że dobra wróżka zajrzała tam pod moją nieobecność i posypała magicznym księżycowym pyłkiem stare łachy. Odkąd tu zamieszkaliśmy, nie kupiłam sobie nic eleganckiego. Po co? Nie ma sensu ubierać się elegancko tam, gdzie chodzę, bo albo jakiś pies uśliczni moja sukienkę odciskami brudnych łap, albo niefortunnie usiądę w kanapkę z dżemem truskawkowym, którą jakieś dziecko akurat położyło na krześle, albo czeka mnie dwieście metrów przez błoto.

Dwie kolorowe koszule, czarne błyszczące legginsy, kostium kupiony na rozmowę kwalifikacyjną piętnaście lat temu, aksamitna bluzka z małą dziurką i tyle. Mierzyłam wszystko po kolei. Koszule co prawda mają być luźne, ale jest zasadnicza różnica między nonszalancką swobodą a bezkształtną wielką szatą Beduina. Nawet legginsy okazały się za duże, nieestetycznie zwisały w kroku. Aksamitna koszula, kupiona w celu zamaskowania śladów, jakie na moim ciele poczyniły dwie ciąży i upływ czasu, nadawała mi wygląd małej dziewczynki w szlafroku mamy. Czyje to ciuchy? Czy to możliwe, że dwa tygodnie temu ja je wypełniałam? Wydawało mi się, że się skurczyłam, wyschłam jak groszek na słońcu.

Cisnęłam wszystko na łóżko i przyjrzałam się swemu odbiciu. Nawet bieliżna jest za luźna, i proszę bardzo, oto żebra, a tutaj mamy „kości w brzuchu”, sterczące na biodrach. Wallis Simpson nie miała racji mówiąc, że nie można być za chudą. Zwłaszcza jeśli twoje ciuchy nie są równie chude jak ty. Przerazała mnie nie tyle perspektywa udania się na przyjęcie w charakterze stracha na wróble, ile myśl o prawdziwym gwoździu programu, czyli spotkaniu z Martinem - przecież przyjedzie po dzieci! Dlatego muszę wyglądać zabójczo. Krótkie spotkanie przy drzwiach kuchennych, które, kto wie, być może zmieni sytuację o sto

osiemdziesiąt stopni. Zobaczmy mnie olśniewającą, odmienioną i w ułamku sekundy zda sobie sprawę ze swego błędu. Niestety, nie mam na co liczyć w legginsach obcisłych jak stare dresy i zielonej koszuli tak obszernej, że mogłabym w niej biwakować przez tydzień.

Pał sześć stan konta, jedyne wyjście to zakupy.

Pięć i pół godziny, zanim odbiorę dzieci ze szkoły. Aż nadto czasu, by przeszukać wszystkie pięć domów towarowych w miasteczku i znaleźć kreację, dzięki której wrócę na należne mi miejsce w sercu Martina.

Być może będą to najważniejsze zakupy w moim życiu. Przynajmniej tym razem nie wolno mi niczego zepsuć. Zazwyczaj popełniam ten sam błąd - wyglądam okropnie. Nie umawiam się z nikim, więc nawet mi się nie chce zakładać czystych dzinsów. Spójrzmy prawdzie w oczy, tylko wtedy zadaję sobie minimum wysiłku. Niestety, w sklepie jestem zmuszona sama na siebie patrzeć, więc po mniej więcej dziesięciu minutach wpadam w tak głęboką depresję, że kupuję pierwszy lepszy ciuch, co mniej więcej na mnie pasuje, byle dłużej nie patrzeć na siebie w lustrze.

Dzisiaj natomiast muszę spróbować polubić moje odbicie. Włożyłam ukochane dzinsy. Na szczęście czyste, podobnie jak ulubiona koszulka. I jedno, i drugie za luźne, ale trudno. I jeszcze makijaż. Intensywnie czerwona szminka i podkład, żebym nie wyglądała jak wyjęta z formaliny. Najlepsze czarne półbuty, jeszcze błyszczące, o dziwo, i czarny skórzany pasek, żeby dzinsy mi nie spadły. Rezultat okazał się do znieśnienia, przynajmniej na jakiś czas.

Siedziałam już w samochodzie, gotowa do drogi, kiedy spojrzałam na moje ręce na kierownicy. Trzy pierścionki na jednym palcu. Zaręczynowy, z pojedynczym brylantem, skromna złota obrączka ślubna i prezent na ostatnie Święta: osiem małych błękitnych brylancików w prostym złocie, najpiękniejsza sztuka biżuterii, jaką kiedykolwiek posiadałam. Postrzegłam go teraz z nowej perspektywy, poprzez wszystkie Symptomy: kasetę Queen, truskawkowy płyn do kąpieli, i pomyślałam: „Nie, to nic nie szkodzi, nadal mnie kocha”. A pierścionek, zupełnie nie na miejscu na mojej czerwonej, zaniedbanej dłoni, zdawał się mówić: „Nabrałaś się! A kuku!”.

Kiedy wydaje ci się, że biżuteria do ciebie przemawia, najwyższy czas przystąpić do działania. Ściągnęłam wszystkie trzy pierścionki z palca i wrzuciłam na samo dno torebki. Nikt mi już nie kupi złota? Trudno, sama sprawię sobie srebro.

Gdy przyszło co do czego, okazało się, że nie jestem w stanie zapłacić naszym wspólnym czekiem za coś tak rozpustnego i frywolnego jak sukienka. Tyle pieniędzy za coś tak małego, ot, kilka metrów cieniutkiego błękitnego jedwabiu, tak zwiewnego, że można to wcisnąć do torebki, i nadal zmieściłaby się w niej apteczka, pielucha i zapasowe rajstopy. Ciuch, który nadaje się tylko na jedną okazję, podczas gdy reszta mojej garderoby jest wielofunkcyjna: mogę w niej wystąpić na zabawie w parafii, na przyjęciu świątecznym i równie dobrze sadzić kwiatki, zależnie od stopnia czystości.

W przebieralni oglądałam się przez pół godziny z każdej strony, zdejmowałam tę szmatkę i zakładałam i obliczałam, ile par kaloszy, ogrodniczek i torebek nasion mogłabym za to kupić.

Wyobraziłam sobie Martina, jak z dezaprobatą kręci głową i cmoka ustami, kiedy dostaje wyciąg z banku; niemal słyszałam, jak opowiada wszystkim dokoła jak jestem rozrzućna. W ostatniej chwili, przy kasie, zostawiłam moją sukienkę pięknie zapakowaną i gotową i pędem pobiegłam na druga stronę ulicy, do towarzystwa budowlanego. Podjęłam lwią część marnych resztek „moich” pieniędzy, czyli tego, co zarobiłam. Również pędem wróciłam do sklepu, ściskając w garści świeżutkie banknoty pięć- i dziesięciofuntowe, i zapłaciłam gotówką. Kiedy szłam z powrotem do samochodu, z sukienką owiniętą w bibułkę, spoczywającą na dnie bardzo dużej i bardzo sztywnej papierowej torby, miałam wrażenie, że niosę rzadkie, tajemnicze zwierzątko, które, być może, spełni moje trzy życzenia, o ile okaże mu dobre serce.

Kiedy zrobiłam pierwszy krok, dalsze zakupy nie były już takie straszne. Tuż obok znalazłam sklep indyjski, pełen dzwoneczków, aromatycznych świec, kryształów. I pierścionków. Za zaledwie dziesiątą część tego, co kosztował jeden tylko brylant w moim pierścionku, nabyłam okazałą kolekcję srebrnej biżuterii. Martin nie będzie mógł wyjść z podziwu.

Jechałam po dzieciaki z opuszczonym oknem i radiem nastawionym na cały regulator. Słońce rozpędziło ostatnie chmury.

Dan i Frankie byli bardzo podekscytowani perspektywą spotkania z Martinem. Cieszyłam się na spotkanie z nimi przy bramie, chciałam opowiedzieć o zakupach. Po raz pierwszy od dwóch tygodni byłam w stanie się uśmiechać, gotowa zrobić wszystko w zamian za odrobinę pogodnej normalności z dziećmi. Niestety, wsiadły do samochodu bez słowa, z brwiami ściągniętymi w jedną linię. Uznałam, że to nie najlepszy moment, by je informować, że przepuściłam połowę ich obiadów w przyszłym semestrze na nową sukienkę.

Widziałam w lusterku ich twarze, wykrzywione złością. Ile setek metrów uda nam się przejechać, zanim wybuchną?

- Przestań się na mnie gapić, palancie. - Nie mam pojęcia, czemu to niewinne słówko wybrano na tegoroczną Obelgę Roku, ale tak jest i już. Zadziwiające, ile jadu może w to włożyć ośmiolatka.

- Wcale się na ciebie nie gapię, męto. - Męto? Skąd oni to biorą? Czasami posiadanie dzieci przypomina oglądanie programów telewizyjnych o tajemniczych plemionach, u których kciuk skierowany w górę oznacza: „Posuwałam twoją siostrę, a twoja matka to prostyćutka”.

- A właśnie że tak. Świnia. - Dobra, przynajmniej coś rozumiem.

- Sam jesteś świnia.

- Wieprz. - O Boże. To najgorsza z możliwych obelg. Dan nie odpowiadał. Widziałam, że poczerwieniał jak burak. W tej samej chwili jego but wyśladował na łydce Frankie.

Odkąd Martin odszedł, eskalacja przemocy okazała się nie do opanowania. Mój autorytet szlag trafił, podobnie jak wszystko inne. Nie boją się niczego - groźba zakazu oglądania ulubionego programu to nic porównaniu z najgorszym, które już się przecież zdarzyło.

Zahamowałam gwałtownie z nadzieją że dzięki temu chociaż na moment przestanę.

- Spokój, bo będziemy tu siedzieć do wieczora. - Nastąpiło chwilowe zawieszenie broni. Ruszyliśmy. Po upływie trzydziestu sekund tłukli się w najlepsze. Frankie kopała Dana, a on robił okropną minę: wypychał językiem dolną wargę, co, zdaje się, oznacza coś obrzydliwego, bodajże we Włoszech. Frankie zacisnęła pięści i kopała go z całej siły. Zazwyczaj ma w takich sytuacjach przewagę dzięki dłuższemu nogom. Wbija się wtedy w kącik przy drzwiach i wierzga co sił. Zazwyczaj, bo dzisiaj Dan po prostu odpiął pas i się na nią rzucił. Tłukł ją pięściami gdzie popadło. Jest niski, ale masywny, więc w takim starciu mała nie ma szans. Jeśli nie będzie uważał, wyśle ją do szpitala.

Znowu zahamowałam. Wrzasnęłam. Nawet nie spojrzeli w moją stronę. To była wojna światowa z użyciem broni jądrowej, Armageddon, totalna destrukcja.

Wysiadłam, otworzyłam tylne drzwiczki i spróbowałam ściągnąć Dana z Frankie. Nie było to łatwe. Waży mniej więcej tyle, co owczarek alzacki, a zapierał się jak pies, kiedy poczuje krew. Ciągnęłam go i wrzeszczałam. Usiłowałam powstrzymać ciosy jego pięści i nóg Frankie. Koniec końców, jedynym skutecznym sposobem okazało się złapanie go za ucho. Jako matka nie przywykłam do zadawania własnemu dziecku takiego bólu, ale przynajmniej zadziałało. Ma się rozumieć, usiłował mnie uderzyć, ale nie puszczałam jego ucha i w końcu przestał się miotać.

Frankie leżała na tylnym siedzeniu i szlochała. Posadziłam ją i obejrzałam: podbite oko, kilka siniaków, ale nic poza tym. Dan natychmiast zalał się łzami: bo go boli ucho, bo jestem okrutna, bo chciałam go skrzywdzić, bo go nie kocham. Słyszając to, Frankie rozszlochała się na nowo.

- Mamusiu, nie musiałaś go karać. Nie musiałaś go szarpać - wyła, jakby chciała powiedzieć: „Nie musiałaś okaleczać go na całe życie, ty sadystko”. Tak mniej więcej czują się negocjatorzy NATO między Serbami a Chorwatami, pomyślałam; po niedługim czasie ma się ochotę wygarnąć do obu z kałasznikowa.

Usiłowałam zwabić Dana do samochodu. Jeśli już mamy się pozabijać, zróbmy to w zaciszu własnego domu. Nie chciał wsiąść, a ilekroć wyciągałam do niego rękę, cofał się w panice. Jakby mój dotyk parzył. „Nie wierzę ci, chcesz mnie skrzywdzić” - dramatycznie przewracał oczami. Stary, tylko tak dalej, a dostaniesz Oscara, pomyślałam.

Po dziesięciu minutach spokojnego przedstawiania mojej wersji wydarzeń, czyli:

1. Mało brakowało, a zabiłbyś siostrę.
2. Więc musiałam cię z niej ściągnąć.
3. A że jesteś taki duży, złapanie za ucho było jedynym sposobem.
4. Nie chciałam sprawić ci bólu.
5. Gdybym cię nie kochała, pozwoliłabym ci ją zabić i iść do więzienia na resztę życia -

- nic się nie zmieniło, czyli Dan nadal zarzucał mi, że chciałam go skrzywdzić, a Frankie ryczała, że „szarpałam” jej brata. W końcu straciłam panowanie nad sobą. Było to wręcz fizyczne doznanie - czułam, jak wewnątrz mnie opada ciężka żelazna sztaba i coś dzikiego, nieopanowanego wydostaje się na zewnątrz.

- Pewnie, oboje macie świętą rację. Chodzi mi tylko o to, żeby was skrzywdzić. Właśnie dlatego daję wam rano śniadanie i dlatego pozwalam wam spać

w moim łóżku. Dlatego prasuję wam ubrania i piekę ciasta w kształcie dinozaurów. - W tym momencie złapałam torebkę i teraz wymachiwałam nią wściekle, tak że waliła o drzwiczki, podkreślając moje słowa.

- Właśnie dlatego jestem tutaj, w przeciwieństwie do (łup) waszego cholernego (łup) ojca. Wszystko dlatego, że was tak (łup) bardzo (łup) nienawidzę (łup).

Teraz już wszyscy szlochaliśmy, ale Dan przynajmniej wsiadł do samochodu.

Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu, jeśli nie liczyć chlupania. Byłam jak rozpalona lawa, łzy zdawały się parować, ledwie dotknęły mojej skóry.

No, ładnie, doskonale na tym wyszłam. Martin jest Bóg wie gdzie, uprawia Rozwój Intelktualny i Posuwanie dla Zaawansowanych, ma do prania tylko swoje skarpetki, tylko swoje śniadanie do zrobienia, tylko swoje życie do zorganizowania, a ja w najlepsze tłukę torebką w samochód. Czemu zawracam sobie głowę mrzonkami o nowym życiu w kreacjach z błękitnego jedwabiu, skoro rzeczywistość wygląda tak, a nie inaczej?

Zanim dotarliśmy do domu, rozkleiłam się kompletnie. Dzieci szlochały bez przerwy.

- Dobra, wysiadka i jazda na górę się przebrać. Jeśli będziecie znowu się bić, nie rękę za siebie. Mogę kogoś zabić.

- Niewykluczone - burknął Dan na odchodnym.

- Wyżywasz się na nas, że tata cię rzucił. To nie nasza wina! - Frankie z całej siły zatrzaskała drzwiczki.

Pamiętaj, ona ma tylko osiem lat. Niestety, nie pamiętałam. Złapałam ją za przegub ręki.

- Tak? A jak myślisz, dlaczego Dan i ty chcecie się wzajemnie pozabijać? Jeśli jesteście wściekli, może będziecie łaskawie wyładowali się na właściwej osobie. - Odepchnęłam ją gwałtownie, aż się zatoczyła na samochód i uderzyła głową w szybę. Do końca życia nie zapomnę autentycznego strachu na jej twarzy. Nawet nie krzyknęła, odwróciła się tylko i pobieгла do domu.

Osunęłam się na wilgotny podjazd z głową ukrytą w dłoniach. Popołudniowe słońce nadrabiało stracony czas, chciwie piło wilgoć skąd tylko się dało - z ziemi, kamieni, liści. Przez brudny smród spalin czułam aromat wzrostu, zapach lata. Dzieci miały rację. Ja też. Wszyscy wyładowujemy się na sobie nawzajem. Zamiast trzymać się razem, oddalaliśmy się od siebie. A Jess - Mama, Dorosła - okazała się najgorsza. Teraz już wiem, jak dochodzi do straszliwych tragedii, dlaczego matki rozbijają niemowlętom główki o kaloryfery, czemu ludzie faszerują dzieci narkotykami i skaczą wraz z nimi z mostów wśród ciemnej nocy.

Suka skakała radośnie i gaworzyła w swoim dziwnym języku, zabawnej mieszance skomlenia i szczekania. Do tego wiła się na grzbiecie, zebrząc o chwilę uwagi. Niezłe wyczucie czasu, stara, minutę wcześniej wysłałabym cię kopniakiem na orbitę okołoziemską. Czas wstawać i naprawić, co narozrabiałam.

Nie mogłam znaleźć dzieci. Zdążyłam się już uspokoić, lecz one chyba nie. Już-już miałam iść do ogrodu, kiedy zadzwonił telefon. Zadzwonił tylko raz, więc pomyślałam, że sekretarka automatyczna włączyła się za wcześniej i podniosłam słuchawkę. Ku memu zdumieniu przekonałam się, że rozmowa toczy się w naj-

lepiej. Dzieciaki skombinowały skądś telefon bezprzewodowy i rozmawiały z Martinem.

- W porządku, teraz możemy pogadać. O co chodzi? - Głos Martina był suchy i profesjonalny, lekko zirytowany.

- Chodzi o mamę. - Głos Dana, drżący, nabrzmiały łzami. - Zwariowała. Grozi, że nas pozabija.

- Co???

- Ukryliśmy się w ogrodzie.

- Dan, powiedz mi wszystko po kolei.

- Biliśmy się z Frankie w samochodzie. Wiesz, tak na żarty, a ona nagle zatrzymała samochód, wyciągnęła nas na zewnątrz i zaczęła wrzeszczeć. Szarpała mnie za ucho - w tle gorączkowy szept Frankie - i popchnęła Frankie.

- A teraz gdzie jest?

- Leży koło samochodu.

- Dobra. Będę w domu za, powiedzmy, dwie i pół godziny, w porządku? Nie zabije was, nie bójcie się. Zadzwońcie do Gerry'ego i Kath albo Sarah i Alexa. Macie numer?

- Chyba tak.

- Powiedźcie, co się stało i poproście, żeby do was wpadli.

- Dobrze, tatusiu.

- A na razie trzymajcie się z daleka od mamy.

- Przepraszam, że się wtrącam - musiałam jakoś zażegnać totalny kryzys. Nie wiadomo przecież, co Martinowi strzeli do głowy, mógłby nawet zadzwonić na policję.

- Na Boga, Jess, co ty wyprawiasz? Co się tam dzieje? - Martin pluł jadem.

- Nic, wszystko w porządku. Pokłóciliśmy się, bo jest nam bardzo smutno.

- Uważasz, że podsłuchiwanie naszej rozmowy jest w porządku?

- Nie chciałam, ja tylko odebrałam telefon. Nie wiedziałam, że rozmawiają z tobą.

- Potem o tym porozmawiamy. Czy możesz mi zagwarantować, że moim dzieciom nic nie grozi? Wiesz, że są dla mnie najważniejsze na świecie.

- Tak, Martin.

- W porządku, dzieciaki? Dan?

- Tak, tatusiu.

- Jeśli nadal się boicie, zadzwońcie po policję, dobrze?

- Jessica, zobaczymy się o siódmej. - Jestem pełna podziwu, jad i kwas razem.

- Dobrze.

Odłożyłam słuchawkę. Nie wiem, czy jeszcze rozmawiali. Poszłam do sypialni i otworzyłam okno na oścież, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Krzyknęłam na cały głos, że mogą już wyjść z kryjówek. Upadłam na łóżko i pozwoliłam, by przywalił mnie ciężar ostatnich wydarzeń.

Oto jak do tego doszło: „Od tamtego dnia nie rozmawiałem z matką”, „ojciec przyjechał i zabrał nas bez słowa. Tydzień później matka poderżnęła sobie gardło”, i jeszcze „od dziesiątego roku życia mieszkam na ulicy”.

Zakradli się, umiejętnie omijając wszystkie skrzypiące deski w podłodze, bo nie słyszałam ich, dopóki nie usiedli na moim łóżku.

- Mamusiu? - Frankie odezwała się jako pierwsza.

- Tak, kochanie?

- Przepraszamy. Tatusz cię zabije. - Zalała się łzami i rzuciła mi się na szyję. Dan poszedł w jej ślady.

- To ja was przepraszam. Przykro mi, że do tego wszystkiego doszło. Że tatusz od nas odszedł i że wszyscy jesteśmy wściekli.

Po chwili leżeliśmy we trójkę i szlochaliśmy, aż zabrakło nam łez. Chyba długo to trwało.

W końcu Dan spojrzął mi w oczy i oznajmił:

- To tak jak z minami, mamusiu. Kiedy jedna wybuchnie, trzeba sprawdzić, czy w okolicy nie ma ich więcej. - Cóż, przynajmniej zrobi karierę jako psycholog.

Kiedy zakończyliśmy naszą sesję terapeutyczną, była za dwadzieścia siódma. Miałam dwadzieścia minut do przyjazdu Martina. Prawdopodobnie zjawi się z kaftanem bezpieczeństwa dla mnie i z prawem opieki nad dziećmi w kieszeni, ale i tak muszę zrobić co w mojej mocy. Jadąc tu będzie miał dość czasu, by wszystko przemyśleć, by sobie uświadomić, jak wielką krzywdę nam wyrządził, jak wszyscy cierpimy. Jak bardzo go kocham. Może do tego, by do nas wrócił, skruszony i nieszczęśliwy, wystarczy jedno spojrzenie na mnie taką jakiej nie znał.

A ja, proszę, siedzę w sypialni w ukochanych dżinsach i koszulce, w których widywał mnie niemal za każdym razem, gdy wracał, przez ostatnie pięć lat. Dzieci jeszcze niejadły. Ich ubrania spoczywały w bajecznie kolorowej stercie czystej bielizny w pokoju gościnnym. Trzeba jednak mieć pewne priorytety.

Wyczerpane, ale grzeczne i skruszone, dzieciaki były gotowe współpracować w stopniu niemal nieograniczonym. Cisnęłam na stół dwie miseczki, pudełko płatków kukurydzianych i karton mleka i zabrali się do jedzenia bez słowa sprzeciwu. Pognałam na górę i upchnęłam do torby turystycznej znaczną część sterty z pokoju gościnnego w nadziei, że znajdzie się tam coś dla każdego.

Piętnaście minut. Wzięłam rekordowo krótki prysznic, dwie i pół minuty, ale przy okazji trzy razy zacięłam się w nogę przy goleniu, o czym przekonałam się dopiero zobaczywszy krwawe ślady na wykładzinie w przedpokoju. Podarłam rajstopy, które chciałam włożyć, więc musiałam usiąść na łóżku i oddychać głęboko, zanim udało mi się naciągnąć drugą parę. Osiem minut. Wysuszyłam włosy, ponieważ jednak moje włosy układają się tylko wtedy, gdy same tego chcą, musiałam ponownie zmoczyć głowę, zanim wyglądały znośnie. Pięć minut. Pogo-

dziłam się ze stratami na froncie urody. Zadowolę się szminką. Przy tak intensywnych dreszczach całego ciała tusz do rzęs stanowi zbyt duże ryzyko. Prawdopodobnie wylądowałabym w szpitalu na bloku operacyjnym ze spiralą w oku, gdybym odważyła się eksperymentować z tą morderczą bronią. Siódma. Co tam, Martin wiecznie się spóźnia. Ale nie dzisiaj. Po raz pierwszy w ciągu naszej znajomości Martin stawiał się punktualnie. Słyszałam, jak wchodzi tylnymi drzwiami, wita się z dziećmi i sprawdza, czy aby na pewno nie odrąbałam im rąk i nóg tudzież nie wylupiłam oczu.

Głęboki wdech. Zapiąć sukienkę, włożyć buty i na dół.

Wyjęłam sukienkę z warstw bibułki i włożyłam ostrożnie. Szkoda, że nie mam czasu, by się nią rozkoszować. Czułam się wspaniale, całkowicie odmieniona.

Dobra, teraz buty. Jakie buty? Czy mam jakieś buty pasujące do tego cudownego kawałka jedwabiu? Proszę bardzo, do wyboru, do koloru: tenisówki, czarne sznurowane półbuty i martensy do pół łydki.

Byłam w każdym sklepie w mieście, znalazłam idealną sukienkę, niepodobną do niczego, co dotychczas posiadałam, i jednocześnie udało mi się zapomnieć, że nie mam żadnych odpowiednich butów. Nie mam stukających szpilek ani małych sandałków, niczego zalotnego i kobiecego. Moje buty są takie jak ja: niechlujne, płaskie, do pracy.

- Jess! - Martin przechylił się przez poręcz. - Gdzie ich ubrania?

- Już idę.

Nie ma wyjścia, pozostaje mi pseudopunkowa nonszalancja i udawanie, że to działanie celowe. Wciągnęłam martensy, związałam włosy jasnoniebieską wstążką która od dwóch lat wisiała u mnie na gałce od szuflady, odkąd Frankie wyrosła z fazy słodkiego dziewczątka, i zesłam do kuchni. Przedtem głęboko zaczerpnąwszy tchu, ma się rozumieć.

To głupota liczyć na cud, ale z drugiej strony, nigdy nic nie wiadomo.

Tyle razy wyobrażałam sobie, jak to będzie, kiedy znowu zobaczę Martina. W mętnych fantazjach do moich stóp padał Martin, którego dobrze znałam, mój Martin. Ale w kuchni stał ktoś inny, obcy.

Podobnie jak ja, miał na sobie nowe ciuchy. Spodnie z kremowej bawełny i czarna lniana koszula. Oboje przechodzimy metamorfozę, przekształcamy się w coś nowego, jak dwa egzemplarze tego samego gatunku ewoluujące inaczej na odległych wyspach. Darwin byłby zachwycony. Tylko że to ja, niestety, jestem błędem natury i czeka mnie szybkie wyginiecie.

Wyglądał doskonale, dziesięć punktów w skali od jednego do dziesięciu. Przy mnie nigdy tak nie było, przy Dolores - owszem. Pamiętam, jak podczas świąt Bożego Narodzenia, zanim pojawiły się Symptomy, Kath zapytała mnie żartobliwie:

- Z kim on sypia, że tak dobrze wygląda?

- Ze mną - odparłam dumnie - Z nikim nowym, tylko ze mną.

Idiotka. Naprawdę wierzyłam, że to dzięki mnie tak lśni? Ja to za mało, nawet w ślicznej sukience, z nogami jak patyki i palcami w srebrze. W dodatku w martensach do pół łydki i z głupim kucykiem.

Dzieci oploty go jak bluszcz. Dan wisiał na jego ramieniu, jakby to była najświętsza relikwia, Frankie obejmowała go w pasie. Myślałam, że serce mi pęknie.

- Wasze rzeczy są na górze, dzieciaki - odezwałam się - w plastikowej torbie. Sprawdźcie, czy zapakowałam wszystko, co chcecie zabrać.

Odsunęli się od Martina bez słowa.

- Wszystko w porządku, mam? - Dan zatrzymał się na chwilę.

- Tak, skarbie.

- To chyba chwilę potrwa - oznajmiłam tonem, jakim zazwyczaj podwładni zwracają się do przełożonych. - Chyba nie najlepiej ich spakowałam.

- Nie szkodzi, nie ma pośpiechu - odparł tonem, jakim zazwyczaj zwierzchnicy zwracają się do podwładnych.

Stałam za stołem, żeby ukryć martensy. Ledwie weszłam do kuchni, pożegnałam się z nadzieją że Martin padnie mi do stóp, ale nie chciałam narażać się na upokorzenie. Słyszeliśmy, jak dzieci krzątają się na górze, pakując to, co chciały zabrać, a nie bezładny kłęb rzeczy, które wcisnęłam do torby.

Napięcie bez prądu. Nie planowałam tego, nie chciałam, żeby minuty tak się ciągnęły, ciągnęły jak kisiel w szkolnej stołówce, gdy chciało mi się wymiotować po każdej wmuszonej w siebie łyżce.

Wstawiłam miski do zlewu, zamknęłam karton z płatkami.

- Nie sądzę, by płatki kukurydziane stanowiły wystarczającą kolację dla dwójki szybko rosnących dzieci - poinformował mnie Martin. Proszę bardzo, znowu to samo, czyli lodowiec w najzimniejszej postaci. A zatem Martin także miał własną wizję tego spotkania: wyobrażał sobie, jak będzie mnie pouczał, w jaki sposób mam dbać o jego dzieci, i ochrzaniał za histeryzowanie. Wystarczyło na niego spojrzeć, by to zobaczyć. Aż pękał, tak bardzo chciał mi powiedzieć to wszystko, co sobie ułożył podczas jazdy. A stać go jedynie na głupią uwagę na temat jakości żywienia.

Sukienka co prawda nie wzbudziła w nim szaleńczego pożądania, ale przynajmniej zmieniła mnie w kogoś obcego. Osobę, co odpowie atakiem na atak, nie zwykłą starą Jess, która potulnie spuści głowę. A zatem skrawek błękitnego jedwabiu stanowił moją ochronę, dodawał odwagi.

A ja nie sądzę, by jeden rodzic stanowił pełnowartościową namiastkę rodziny, więc jesteśmy kwita.

Po chwili nieprzyjemnej ciszy dzieciaki zbiegły po schodach, czym uwolniły Martina od konieczności odezwania się do mnie. Oboje uginali się pod ciężarem siatek z ciuchami, zabawkami i książkami, jakby wybierali się na dwutygodniowe wakacje, a nie na weekend. Martin zaprowadził je do samochodu.

W domu zapanowała cisza. Za godzinę przyjadą po mnie James i Mary. Pierwsza godzina bez dzieci, bez odpowiedzialności, bez celu. Co mam robić? Trzeba przyszyć tasemki z nazwiskiem do nowego stroju sportowego Dana. A może ugotować zupę i zamrozić? Powinnam również uporządkować rachunki do zapłacenia. Jeśli jednak zabiorę się za którąś z tych rzeczy, będzie tak jak zawsze, kiedy dzieci wychodzą a ja czekam na ich powrót.

Zdjęłam sukienkę. Nalałam sobie sporą porcję dżinu. Nie miałam toniku, ale oranżada dzieciaków też może być.

Przygotowałam sobie kąpiel. Moczenie się w wannie to trudna sprawa. Przez lata ćwiczeń doszłam do dwunastu minut w łazience, od zmycia maseczki do tuszowania rzęs, więc niełatwo mi teraz przyszło leżeć w wannie i się relaksować. Wytrzymałam osiem minut. Następnym razem spróbuję dojść do całego kwadransa.

Powoli, starannie poddałam się wszystkim zabiegom upiększającym, które planowałam, żeby odświeżyć Martina. Skorzysta na nich ktoś inny. Ja.

Rozdział szósty

Francis Weaton kończył pięćdziesiątkę w wielkim stylu; w południowej części ogrodu stał nie jeden namiot, lecz całe beduińskie obozowisko. Od tarasu po stodołę ciągnęły się kryte płótnem korytarze i namioty. Najwyraźniej przejął się prognozą pogody; nawet najgorszy deszcz nie zepsuje mu zabawy. Oświetlenie również miał wodoodporne, bo lampiony witały nas już z daleka, gdy jechaliśmy w dół wzgórza samochodem Jamesa i Mary. Nawet w deszczu wszystko wyglądało bajkowo, nierealnie, radośnie. Mary nie zamykała się usta. Powoli dawałam się przekonać, że mimo wszystko Martin nie był królem świata.

Zostawiliśmy samochód na błotnistym parkingu (dzięki ci Panie za marten-sy) i podążyliśmy w stronę domu. James kroczył między nami i osłaniał nas przed deszczem parasolką rozmiarami przypominającą jeden z namiotów. Wchodziło się na przyjęcie przez markizę nad tarasem. Wejście stanowiła brama z wierzbowych gałęzi, mieniąca się milionem niebieskich światełek. Poczuliśmy się, jakbyśmy wkraczali do krainy baśni.

- No, no, no - skomentował James. - Francis przeszedł samego siebie.

Wewnątrz stała całkiem abstrakcyjna figura z wierzbiny. Pulsujące niebieskie światełka zdawały się tańczyć na suficie. Natychmiast podszedł do nas śliczny jak marzenie chłopiec w kaftanie i rajtuzach, niebieskich, ma się rozumieć, i zaferował nam coś do picia. Dokoła uwijało się mnóstwo jemu podobnych, w fantastycznych kostiumach - kurteczkach z postrzępionymi rękawami, dziwnych aksamitnych kapeluszy, wszyscy w rajtuzach, niektórzy nawet z **Suspensorium**. Jedni mieli na plecach tiulowe skrzydła, inni fantazyjnie zdobione maski na twarzach. Wszyscy zdawali się nierzeczywiści, jak z bajki. Śliczni chłopcy. Hmm, pomyślałam, czyżby Francis zamierzał ujawnić swoje preferencje?

Goście nie mieli dostępu do domu. Piękni kelnerzy pojawiali się zza granatowej kotary, która prawdopodobnie zasłaniała drzwi na taras. Francis najwyraźniej chciał zachować dom dla siebie, gościom udostępniając magiczny świat.

- Co za szkoda! - jęknęła Mary, gdy uświadomiła sobie, że przez cały wieczór zostaniemy w namiotach. - Byłabyś zachwycona domem, Jess. Jest pełen dziwnych obrazów.

Uwolnieni od wierzchniej garderoby, powędrowaliśmy do głównego namiotu. Oświetlał go łagodnie olbrzymi kryształowy kandelabr. Wyglądała tu jak w salonie - po całym ogromnym pomieszczeniu były rozrzucone grupki kanap i foteli, oddzielone zwykłymi lampami. W odległym końcu, na podwyższeniu, rudowłosy pianista brzdąkał wariacje na temat Cole'a Pottera. Goście siadali na kanapach i oparciach foteli, sączyli szampana, częstowali się kanapkami z tac roznoszonych przez elfy, czyli kelnerów. Przyjęcie nabierało życia i tempa. Ze szczególną uwagą przyglądałam się kreacjom: sporo Laury Ashley i pantofli z domu towarowego, ale widziałam również przyjaciół Francisa, którzy strojem pasowali do klimatu przyjęcia - mężczyźni w smokingach, które, zdawało się, wybrali spośród wielu w swojej szafie, kobiety w sukniach, które kiedyś, nie tak dawno, prezentowano na wybiegu. Uznałam, że moje martensy zostaną odebrane jako wyraz niezależności, nie tragiczną pomyłkę, i doszłam do wniosku, że to dziwne przyjęcie okaże się ciekawym przeżyciem. I dobrze, że jestem tu sama. Mogę się wcielić w kogo tylko zapragnę, nie hamuje mnie dwadzieścia lat wspólnych imprez.

Duszkciem wychyliłam szampana i porwałam następną kieliszek z tacy ślicznego elfa w złotej masce, z różowymi skrzydłami. Ruszyłam naprzód jak w transie, ale Mary i James wypatrzyli właśnie kogoś znajomego i zatrzymali się przy żółtej otomanie zasypanej pomarańczowymi poduchami. Mary dogoniła mnie i złapała za ramię.

- Jess, pozwól tutaj. Chcieliśmy, żebyś poznała Felicity.

Zaintrygowało mnie, dlaczego miałam poznać akurat Felicity, a nie nikogo innego z grupki liczącej koło ośmiu osób. Rozprawiali o czymś z przejęciem, pewnie o polowaniach i kupowaniu ziemi. Mary poinformowała mnie szeptem, co takiego interesującego ma w sobie owa Felicity.

- Mąż od niej odszedł przed czterema laty. - Cały czas manewrowała mną w stronę kanapy, aż znalazłyśmy się w pobliżu wysokiej kobiety w sukni z zielonej tafty. Była bardzo atrakcyjna, chciałoby się powiedzieć przystojna. Emanowała fizyczną siłą odnosiło się wrażenie, że łąda chwila pod luźną suknią zarysują się napięte mięśnie. Miała duże ciemne oczy; czarne włosy z nielicznymi srebrnymi nitkami, upięte na czubku, odsłaniały twarz zniszczoną przez pogodę, ogorzałą od słońca i wiatru. Pewnie od lat całe dni spędza na powietrzu, doglądając psów i koni. Makijaż dodał jej cerze gładkości i połysku.

Z uśmiechem podała mi rękę.

- Słyszałam od Mary, że dołączyła pani do klubu porzuconych żon - odezwała się z bardzo arystokratycznym akcentem.

- Czyżby było tyle członkiń, że można mówić o klubie?

- Och, widzę, że naprawdę jest pani nowa. Owszem, moja droga, niestety. - Zabrzmiało to pouczająco, gdyby nie fakt, że wypowiedziała te słowa bardzo miękko i smutno, tak, że aż mnie przeszedł dreszcz, a jednocześnie rozjaśniło mi się w głowie. Więc to tak, więc to mnie czeka: pozorna odwaga i dzielność, wszystko po to, by ukryć rozpacz.

- Mam dosyć opowiadania ludziom o mnie - stwierdziłam. - Chętnie wysłucham pani historii.

- Mieszkam na wrzosowisku, mam czterdzieści akrów. Hodowaliśmy konie, mój mąż i ja. Ja nadal to robię. Przed czterema laty nakryłam go w łóżku ze stajenną. Była w ciąży z jego dzieckiem. Mieszkają teraz w wiosce ze swoimi dziećmi. Ta suka właśnie urodziła mu kolejnego bękarta. - Przy słowach „suka” i „bękart” zarumieniała się. Idę o zakład, że nie było ich w jej słowniku, dopóki jej mężczyzna jej nie zdradził. - I tyle, niewiele tu do opowiadania. Nie chce nawet znać naszych dzieci.

- Nie widuje ich?

- Widuje, a jakże. Tak samo, jak wszystkich sąsiadów mieszkających w okolicy. Nie sposób się nie spotkać od czasu do czasu. Nie odwiedza ich jednak, nie zaprasza do siebie. Wita się z nimi jak z obcymi.

Cierpienie Felicity było równie widoczne i równie świeże jak moje. Zachowywała się jak człowiek po amputacji. Jakim cudem przeżyła w takim stanie cztery lata?

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o dzieciach i koniach. Miała uporządkowane, aktywne życie, także towarzyskie. Miała przyjaciół, miała cele, które chciała osiągnąć w pracy. Nie miała jednak kochanka, mimo urody. Za to ranę krwawiącą jak stygmaty. Poczulałam się jak Scrooge z *Opowieści Wigilijnej* Dickensa, szlochający nad własnym grobem. Nie mogłam się doczekać, kiedy uda mi się od niej uciec. Pytała o Martina, ale wymigiwałam się od odpowiedzi. Nie chciałam dołączyć do klubu, zwłaszcza nie tego wieczoru, nie w mojej nowej sukience i ekstrawaganckim obuwiu. Uciekłam, tłumacząc się, że idę po drinka. Jej wzrok znaczył mnie jak rozpalone żelazo: „Myślisz, że jesteś inna. Jeszcze się przekonasz”. Domyślałam się, że Mary także obserwuje moją ucieczkę. Pewnie planowała już przedstawić mnie innej kobiecie w „mojej sytuacji”.

Zdobyłam więcej alkoholu, pół butelki szampana, którą świsnęłam jednemu z pięknych Puków. Taszczyłam ją dyskretnie za szyjkę, na wysokości kolan.

Kobiety, które do balowych sukni zakładają martensy, nie załamują się, gdy mąż od nich odejdzie. O, nie. Nie płaczą cztery lata później, bo zdążą znaleźć kogoś nowego. Może nie na pierwszym przyjęciu, ale wkrótce. W ciągu pierwszego roku na pewno. Chyba.

Krażyłam pod dwiema mniejszymi markizami. W pierwszej mieścił się bufet: stoły ugięły się pod półmiskami z wędzonym łososiem, bezami i ananasami, ostatnimi czasy jednak jedzenie jakoś do mnie nie przemawia. W drugim namiocie królowały czary: faceci w cylindrach i dziewczyny w błyszczących od cekinów sukniach wyczarowywali jajka, czekoladki i chusteczki zza uszu i biustów gości. Gdzieniegdzie, wśród morza obcych, dostrzegałam znajome z widzenia twarze miejscowych notabli, par, z którymi wymienialiśmy uprzejme uwagi na koktajlach u Mary i Jamesa. Uśmiechałam się, żartowałam, flirtowałam i szłam dalej, a oni mierzyli zdumionym wzrokiem sukienkę, buty, butelkę szampana, atmosferę bez troski.

Parkiet do tańca znajdował się na końcu długiego tunelu. Ściany z grubego płótna pochłaniały wszelkie światło, więc kolorowe dyskotekowe błyski zdawały się tańczyć w kosmosie. Grupka nastolatków, pewnie krewnych jubilata, tkwiła

smętnie pod ścianami. Czuli się nieswojo w eleganckich ubraniach. Było jeszcze wcześniej, na parkiecie panowała pustka. Tańczył tylko didżej, grubas z końskim ogonem, w hawajskiej koszuli w zielone papugi. Szalał za konsoletą z owym zmysłem równowagi, jaki czasami mają grubi mężczyźni, i śpiewał razem z Talking Heads. Zwijął się i schylał, i wywijał piruety jak hipopotam w balecie.

Bomba. Pusty parkiet i didżej, który da się ubłagać i zagra każdy popowy kawalek, który mi przyjdzie do głowy.

Sprawię tu sobie dobrych kilka godzin tanecznego szaleństwa.

Martin właściwie nie przepadał za tańcem. Zbyt prymitywna rozrywka jak na jego gust. W college'u jednak lubił patrzeć, jak tańczę. Wymienialiśmy spojrzenia pełne stuprocentowej chuci, gdy on z kumplami podpierał ściany, a ja na parkiecie podrygiwałam radośnie do wtóru The Clash czy Elvise Costello. Już jako „dorośli”, po studiach, czasami chodziliśmy na przyjęcia, gdzie on znowu stał pod ścianą kiedy tańczyłam, i z rzadka raczył na mnie spojrzeć. Niestety, w opinii Martina mój gust muzyczny schodził na psy. Tańczyłam do połowy wykonawców z Listy Zakazanej, czyli Madonny, Abby, East 17, Cranberries. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy: nie da się tańczyć do Stinkin' Feet Brown Greatest Songs of Human Misery, największych przebojów o ludzkim cierpieniu, prawda? Koniec końców dałam sobie spokój. Nie byłam w stanie sprostać dezaprobacie. Z Martinem zatem ciągle mi brakowało tańca. Płąsy w kuchni, przy radiu rozkręconym na cały regulator, w towarzystwie dzieci, to jednak nie to samo co parkiet, światła, hałas.

I tłusty didżej w krzykliwej koszuli.

Podsunęłam mu resztkę szampana. Z bliska jego twarz zdawała się ogorzała, opalona, bez wieku, choć nie młoda. Przechylił butelkę jedną ręką a drugą włączył nową piosenkę Talking Heads, „Slippery People”.

- Mogę mieć prośbę?

- Mieć możesz, ale nie gwarantuję, że ją spełnię. - Amerykanin, i do tego Amerykanin z poczuciem humoru. Zdawało się to przyjemnie egzotyczne.

- Dobra. To nic specjalnego. Nic, co przypadłoby do gustu fanowi Talking Heads. - Szampan i pochlebstwo, oto mój przepis na sukces.

- Nie lubisz tańczyć przy Talking Heads?

- Czasami. Ale dzisiaj wołałabym coś innego.

- Na przykład?

Musiałam na oczekaniu wymyślić coś, przy czym chciałabym tańczyć, a co jednocześnie przedstawiłoby mój koszmarny gust w odrobinę lepszym świetle. Wstyd mi było walnąć od razu z grubej rury i prosić o „Cherish”, „Magic” czy „Give Me a Man After Midnight”.

- Straciłam głowę. - Po dodaniu odrobiny zalotności moja mikstura zdawała się sprawdzać.

- Dobra, poprawię ci humor: zaraz puszczę Queen, nawet to lubię.

- Dzięki. Miałam zamiar później zdobyć się na odwagę i prosić o Queen. Właśnie przyszło mi do głowy coś na początek. Może B52's „Loveshack” albo „Rock Lobster”... Zaznaczam, że wołałabym „Loveshack”.

Następne półtorej godziny może się okazać najlepszą częścią reszty mojego życia.

Morgan, gruby didżej (z Wirginii, jego mama pracuje w Białym Domu, a brat jest alkoholikiem, jak się dowiedziałam), zagrał moje topy. Puszczal płyty, których nie pamiętałam, ale gdy kończyła się jedna piosenka, darł się na całe gardło: „Co powiesz na „Oliver's Army”? - albo: „Może coś nowszego, na przykład Hansen?”. Albo: „Jesteś już gotowa na Queenow?”.

Wywlekał z mojej pamięci tytuły, o których nie wiedziałam, że tam są. Utwory sprzed czasów autocenzury, kiedy to zaczęłam robić wszystko, byle zadowolić Martina, piosenki z tanecznych fantazji. O dziwo, przy The Clash ożywiły się ponure maślaki i nie chciały już przestać, więc kiedy Morgan puścił „Dancing Queen” Abby i wyszedł zza konsoly, tańczyliśmy wszyscy razem z szaleńczym zapalem: Stara Dupa, Tłusty Didżej i Pyszczate Nastolatki.

Nawet przez milion lat, składających się wyłącznie ze słonecznych wtorkowych popołudni, nie spotkałoby mnie coś takiego, gdyby Martin był u mego boku.

Z czasem reszta gości upiła się na tyle, że znaleźli drogę do tego namiotu. Parkiet się zapelniał i Morgan musiał spełniać życzenia innych. Swoją drogą ciekawe, dlaczego klasa wyższa taką sympatią darzy Rolling Stones? Tańczyłam niestrudzenie, wciśnięta między kolumny i oświetlenie, w tłumie mężczyzn o poluzowanych krawatach i rozpiętych koszulach, wśród kobiet z rozmazaną szminką i rozwianymi włosami. Najwyraźniej alkohol lał się bardzo szerokim strumieniem. Po przeciwnej stronie parkietu wypatrzyłam Jamesa i Mary. Radzili sobie doskonale - tu przypominała mi się Kenia i motocykl - a tuż obok nich płaśała bardzo chuda blondynka w, jak mi się zdawało, kombinezonie z lycry.

Po „Honky Tonk Woman” Mary mnie zauważyła. Zamachała energicznie i ruszyła w moją stronę.

- Chciałabym, żebyś kogoś poznała - wysapała, ledwie do mnie dotarła.

Miałam złe przeczucia co do chudej w lycrze.

Miała na imię Lucy, skończyła same najlepsze szkoły, doskonale jeździła konno jako młoda dziewczyna, ale skończyła jako żona hodowcy owiec z Perth. Nie pytałam, jak do tego doszło. Podejrzewam, że niemalą rolę odegrały tu żeńskie szkoły, brak braci i podatność na męskie feromony w pewnym wieku. Zresztą ile można z kogoś wyciągnąć, gdy z głośników na cały regulator leci „Brown Sugar”? Lucy uświadomiła sobie swoją pomyłkę w całej okazałości dopiero wówczas, gdy wyszło na jaw, że jej dziarski Australijczyk przedkłada owce nad wszystko inne. Wyrzucił ją z domu, ją i dzieci. Właściwie powinna być szczęśliwa, że jej dzieci nie będą takie wrażenie odnosiło się słuchając jej opowieści. W każdym razie wróciła do Anglii bez grosza przy duszy. I oto siedzi tu od trzech lat, na garnuszku u rodziców, pali jak smok i jest tak chuda, że nie potrzebuje stanika.

Ile jeszcze duchów Bożego Narodzenia?

Wróciłam na parkiet. Goście Francisa, rozgrzani Stonesami, domagali się czegoś nowego, więc Morgan puścił im glam rocka. Zawsze lubiłam Mott the Hoople, a nawet The Glitter Band.

Im więcej osób tańczyło, tym bardziej rósł mój prestiż jako wolnej samicy w wieku poporowym. Zaczęła podchody garstka rekinów, jakich spotkasz na każ-

dym przyjęciu. Czterech czy pięciu podciętych facetów wchodziło na moją część parkietu i zaczynało rozmowę. Próba nawiązania kontaktu werbalnego w bezpośrednim sąsiedztwie głośnia, który wypełniłby mocą Albert Hall, nie świadczy, moim zdaniem, o wysokiej inteligencji, zresztą kiedy tańczę, chcę tylko tańczyć i już. Niestety, jestem obrzydliwie uprzejma; nie potrafię odwrócić się bez słowa, wrzasnąć: „Odwal się”, czy choćby utkwić wzrok w podłozę albo tańczyć z zamkniętymi oczami. Uśmiecham się miło i krzyczę coś w odpowiedzi.

- Jaką muzykę pan lubi?

- Pytałam, JAKĄ MUZYKĘ PAN LUBI?

I jeszcze:

- Nie, nie lubię Chrisa Rea.

- O, księgowość, jakie to rozsądne.

- Tak, mój mąż jest bardzo szczęśliwym człowiekiem.

Martin zawsze mnie ratował z tych opresji. Właściwie były to jedyne chwile, kiedy ze mną tańczył. U schyłku wieczoru, gdy jakiś podchmielony typ z maślanyim wzrokiem przystawiał się do mnie, słysząc wolną piosenkę, zjawiał się nie wiadomo skąd i mnie ratował. Jak na kogoś, kto nigdy w życiu nie podniósł na nikogo ręki, Martin roztacza wokół siebie aurę siły, więc zawsze mu ustępowali. Uwielbiałam to, zupełnie jak moje kury, kiedy koguty o nie walczą.

Jednak tego wieczoru nie było komu mnie uratować, kiedy, ledwie rozbrzmiały pierwsze nuty wolnej piosenki, siwy facet z karnacją kandydata do rozległego zawału podszedł i złapał mnie jak swoją. Oczywiście bardzo uprzejmie. Zapytał, czy z nim zatańczę, a potem od razu złapał. O dziwo, był dobrym tancerzem, pewnie się wychował na sali balowej, a ja jestem beznadziejna w te klocki, depczę po palcach, chcę prowadzić, myślę kroki. Z całej siły trzymał moją dłoń i z całej siły przyciskał rękę do moich pleców, władczo i stanowczo. Nie byłam przygotowana na to, co jego zachowanie we mnie wzbudziło: fałę pożądania, obrzydzenia i wspomnień.

To wspaniałe uczucie być dotykana traktowaną tak bez wątpienia erotycznie, po tym, jak Martin zdzielił mnie w głowę. Zadowolilibym się każdym, przez pierwsze pięć sekund wystarczyłby mi krzywonogi garbus z twarzą jak tył ciężarówki. Każde stworzenie płci męskiej, z resztką potencji, wywołałoby we mnie podobną reakcję.

Facet zorientował się od razu; kiedy niechcący otarłam się o niego, poczułam, że mu stoi sztywno jak znak drogowy. Przesunął ręce na moje poślądki i przyciągnął mnie bliżej. Jednak po upływie pierwszych pięciu sekund dotarło do mnie kilka istotnych szczegółów: miał nieświeży oddech, trzy podbródki i w ogóle chyba nigdy nie grzeszył urodą. Nagle wyobraziłam sobie go w łóżku ze mną i jednocześnie stanął mi przed oczami Martin, mój śliczny jasnolłosy niedźwiedź, słonce lśniące na jego owłosionych ramionach. W tej chwili nienawidziłam go z całego serca: za to, że ode mnie odszedł, zabrał mi siebie, że zamiast z nim, miałam

się pieprzyć z tą górą rozgrzanej słoniny. Wreszcie zerwałam z wrodzoną uprzejmością odepchnęłam go i wymknęłam się na zewnątrz przez odchyloną połę namiotu.

Po czterech godzinach w bajkowym świetle noc była szokiem. Nie padało już, ale było bardzo ciemno, wszystko pachniało wilgocią i nocą. Niczego nie widziałam, w uszach miałam jeszcze hałas dyskoteki. Po mniej więcej dziesięciu krokach wpadłam na niski murek, moja sukienka zaczęła się o klujące chaszczę. Zamknęłam oczy i czekałam, aż przywyknę do ciemności i będę w stanie wy dostać się z pułapki. Nagle poczułam rękę na ramieniu. Wrzasnęłam.

- Jezu, sorry. - Nie, nie Zawałowiec, tylko Morgan z latarką. - Widziałem, że się zdenerwowałaś i wyszłaś...

- A dyskoteka?

- Mam półgodzinną taśmę, gotowca, puszcza ją kiedy muszę odsapnąć. Zresztą wszyscy są tak zalani, że nie sprawiłoby im różnicy, gdybym puścił hymn amerykański.

- Zaczepiłam się o te krzaki, mógłbyś tu poświecić, żebym się wyplątała?

- Pewnie.

Próbowałam delikatnie odzepić jedwab, ale ręce trzęsły mi się do tego stopnia, że musiałam przestać.

- Dobrze się czujesz? To znaczy, mam kogoś zawołać?

- Nie, nie, nie obawiaj się, nie puszcza cię pawia ani nie wpadnę w histериę. Nie jestem chora, tylko smutna, i tyle.

- Dobra, dobra. Trzymaj latarkę, ja się zajmę sukienką okay?

- Tak.

Jego zwinność nie ograniczała się do parkietu. Drobne dłonie doskonale sobie radziły z cieniutkim jedwabiem. Dotykał materiału z pełnym profesjonalizmem, bez śladu erotycznego zainteresowania moimi nogami.

- Nie jesteś zawodowym didżejem, prawda?

- Nie, to moje hobby. I przysługa, na urodziny Franny'ego. Jestem projektantem. - Aha! Oczywiście, gejj, przyjaciel Francisca Weatona z branży. Kawałki układanki trafiły na swoje miejsce: światła, kostiumy, tańczący grubas.

- Więc ci śliczni chłopcy są twoi?

- Słucham?

- No, kelnerzy.

- Tak. - Z uśmiechem wyzwolił ostatni kawałek sukienki. - No, już. Piękna sukienka. Tak, pożyczylem ich z przedstawienia, nad którym obecnie pracuję. Wszystkie kostiumy sam projektowałem, kelnerzy to moi aktorzy. Wystawiamy *Sen Nocny Letniej* i jeździmy z tym po całym kraju.

- Chętnie bym to zobaczyła.

- Naprawdę?

- Tak.

- Cóż, młoda damo...

Roześmiałam się.

- Co w tym zabawnego?

- Od dwudziestu lat nikt się tak do mnie nie zwracał.
- Nie pojmuję, dlaczego, zwłaszcza że przez cały wieczór cię obserwowałem, kiedy brykałaś na parkiecie.
- Jesteś bardzo uprzejmy.
- No, dobrze, przejdźmy do rzeczy. Zanim uznałaś określenie „młoda dama” za zabawne, miałem zamiar zaproponować ci bilet na Festiwal Sztuki w Ettington w sierpniu. Proszę bardzo.
- Dzięki. To bardzo miło z twojej strony.
- Już nie drżysz.
- N i e .

- A zatem pożegnaj się. Muszę przecież prowadzić dyskotekę. A to bardzo poważna sprawa. Jeśli chcesz zostać na dworze, zatrzymaj latarkę. Oddasz w lecie, po przedstawieniu. Mnie ona niepotrzebna, mama wmusiła we mnie co najmniej tonę marchewki, kiedy ostatnio byłem w domu. - I poprawiła wagonem ciastek z kremem, bez wątplenia, a mimo to poruszał się z gracją. Taki miły, taki delikatny. Szkoda, że do tego również taki tłusty i tak ewidentnie gej. Trudno, przynajmniej kolejne wydarzenie towarzyskie, które mnie nie ominie. Ostrożnie wsunęłam bilet za stanik. Brak kieszeni to jedyny mankament jedwabnych kreacji.

Nie miałam ochoty wracać do środka i narażać się na ponowne spotkanie z Zawałowcem, nie uśmiechała mi się również perspektywa poznania kolejnej nieszczeniwej w mojej sytuacji, którą bez wątplenia wynalazła biedna Mary. Powiedziałam im wcześniej, że sama wrócę do domu. Zresztą Morgan najwyraźniej uległ prośbom publiczności i grał wyłącznie wolne kawałki.

Miałam martensy, miałam latarkę Morgana, od domu dzieliły mnie tylko cztery mile. Nie padało. Pójdę na piechotę. Za godzinę będę w domu.

Na ciemnej, mokrej szosie zgasilałam latarkę. Po niebie sunęły strzępy granatowych chmur, jak resztki bielizny czarownic. Księżyc przebijał się przez nie nieśmiało, jakby wątpił w swoje możliwości, zdawał się chory i błąd. W mdłym świetle kształty nabierały nieoczekiwanej ostrości.

Od przyjęcia dzieliły mnie dwa wzgórza. Ciszę zakłócała jedynie orkiestra wody w strumieniu. Produkowała różne dźwięki, od cichutkiego szemrania po basowy pomruk wezbranej rzeki.

Kocham noc. Jest intymna, subtelna. Dzień jest taki oczywisty. Noc tak się ma do dnia jak radio do telewizji.

Przegapiałam takie noce jak ta przez minione dziesięć lat, bowiem o ile nie prowadzisz koczowniczego trybu życia, posiadanie dzieci oznacza pożegnanie z nocą.

Musisz być w domu, by kołysać bobasy z kolką, wycierać szampon z oczu, przypomnieć sobie czas przyszły od „venir” i równania z dwiema niewiadomymi. Albo po prostu czuwasz, odstraszasz nocne zmyry, gasisz wyimaginowane pożary, odpędzasz seryjnych morderców. W każdym razie nie budzisz się o trzeciej w nocy w blasku księżyca i nie wyruszasz na spacer, by poczuć ruch ziemi. Nie, jeśli twój partner w rodzicielstwie przebywa akurat w Nowym Jorku.

Byłam więc wdzięczna Zawałowcowi, że mnie wypłoszył z przyjęcia. Przez chwilę byłam nawet wdzięczna Martinowi, bo cierpienie powoli odpadało, jak martwa skóra z węża. Poczułam, jak wstępuje we mnie nowe życie. Dziś wieczorem, stojąc na ostatnim wzgórzu przed domem, czułam powietrze na każdym milimetrze skóry, światło księżyca pod powiekami, wszystko zmieszane ze wspomnieniem obecności Martina. Przynajmniej przez krótką chwilę byłam wolna, nie dławily mnie warstwy złości i poczucia utraty.

Oczywiście byłam zalana i tyle, przecież właściwie sama wychyliłam prawie całą butelkę szampana i nie tylko. Nie mogło być inaczej, skoro po powrocie do domu zadzwoniłam do Martina na komórkę. Na pewno już ją wyłączył, więc mogę zostawić wiadomość na sekretarce.

Tak sądziłam.

Po trzecim dzwonku odebrał, wściekły.

- Wiedziałem, że to ty. Zdajesz sobie sprawę, która to godzina?
- Przepraszam, myślałam, że masz wyłączony telefon i zostawię wiadomość na sekretarce.

- Jaką wiadomość? Wiesz, że dochodzi trzecia w nocy?

- Przepraszam. Chciałam ci tylko powiedzieć, że cię kocham.

- Chciałaś mi zostawić taką wiadomość?

- T a k .

- Żeby we mnie wzbudzić poczucie winy?

- N i e !

- Nie możesz tak postępować, Jess. Nie możesz bombardować mnie ckliwymi wiadomościami. Abstrahując od wszystkiego innego, one nie mają znaczenia. Wyłączam telefon. Dobranoc. Nie dzwoń więcej.

Moja wina. Sama się podłożyłam. Nie powinnam teraz płakać. Ciekawe, kiedy moja miłość do Martina straciła znaczenie. Od jak dawna postrzegał ją jedynie jako przeszkodę w drodze do tego, czego tak bardzo pragnął. Teraz o wiele bardziej odpowiadałoby mu, gdybym go nienawidziła, a nie kochała. To żaden problem odejść od kogoś, kto cię nienawidzi i wierzyć, że tym samym wyświadczasz tej osobie przysługę. Wiesz, że z radości zaśpiewa Alleluja, że w końcu zakręci pastę do zębów i nie będzie wsadzać zużytych zapalek do pudełka. Możesz sobie nawet pozwolić na odrobinę rozczulania się nad sobą przecież to straszne, gdy ktoś cię nienawidzi. Ale porzucić kogoś, kto cię kocha, to zupełnie inna sprawa.

Rozejrzałam się po pokoju. Nic się zmieniło, odkąd odszedł, tyle że jedna szafa i połowa szuflad opustoszały. W moich oczach wszystko było jak dawniej - Nasza Sypialnia w Naszym Domu. Ile czasu upłynęło, odkąd Martin po raz ostatni postrzegał ten pokój jako swoje miejsce, gdzie spał i kochał się z żoną? Tygodnie? A może lata?

Miałam wrażenie, że mieszkam w starej lodowce, którą ktoś wyrzucił na śmietnik. Jemu już się nie podoba, ale jeśli inni chcą proszę bardzo...

Była czwarta trzydzieści, powoli robiło się jasno. Zanim zwykli śmiertelnicy usiądą do śniadania, zmienię ten pokój w sypialnię mojego nowego życia. Przystanie straszcy wspomnieniami Martina.

Otarłam łzy, zmieniłam sukienkę na ciuchy najgorszej kategorii, poplamione trawą i farbą i zabrałam się do roboty.

Przez bite sześć godzin harowałam jak wariatka. Przesuwałam szafy, małżeńskie łóżka, komody. Białe ściany i wspomnienia zniknęły pod różową farbą, która została z gwiazdkowego przedstawienia w szkole. Różową nie jak lukier czy buciki niemowlaków, różową jak środek zwiędłych róż. Wkładałam serce w każde pociągnięcie walcem, wyciągałam się na całą długość. O jedenastej na ścianach były dwie, na suficie jedna warstwa farby, a ja czułam się bardzo dziwnie; pulsowałam od środka, każde uderzenie serca przyprawiało mnie o dreszcze.

Zeszłam na dół. Tylne drzwi były otwarte, Suka leżała w progu i rozkoszowała się pierwszym od tygodnia słonecznym dniem. Przycupnęłam koło niej na nagranych kamieniach. Sennie machnęła ogonem. Położyłam się. Ziemia zdawała się podnosić, by mnie przyjąć, gdy opuściły mnie ostatnie rezerwy energii.

- Kurwa, nie wierzę własnym oczom. Ilekroć tu, cholera, przychodzimy, odwalasz nam, kurwa, umarlaka! - oznajmił Gerry i wypił kolejny haust whisky w celu ukojenia nerwów. On i Kath wpadli zaprosić mnie na herbatę, i znaleźli mnie nieprzytomną na progu, w towarzystwie rozpaczliwie skowyczącej Suki.

- Nie chciałam, Ger. Zasnąłam i...

- Więc następnym razem uprzedź tego cholernego psa, żeby nie odstawał takiego cyrku. Myślałam, że chcesz zrobić draniowi frajdę, żeby mógł się dorwać do twojej polisy ma życie.

- Masz, wypij to. - Kath podała mi kubek z czymś gorącym. Nie czułam żadnego smaku.

- Co to?

- Herbata z cytryną nie czujesz?

- Nie. Trochę mi nawala zmysł smaku i węchu

- Mówiąc szczerze, Jess, wyglądasz jak truposz.

- Dzięki, Gerry. W każdym razie czuje się doskonale. Znowu spałam, to już drugi raz w tym tygodniu. I przekształcam sypialnię w buduar prostytutki. Martin by się wściekł.

- On może tak. Ale moim zdaniem wygląda super. - Kath poprawiła się na krześle. Chce mnie podtrzymać na duchu, to pewne.

- Łóżko będzie pod oknem, żebym przed zaśnięciem mogła patrzeć na gwiazdy. Zaraz pomaluję ściany jeszcze raz, a potem meble, taką złotą bejcą.

- Co to, to nie.

- A właśnie że tak. Ty najchętniej cały świat pomalowałabyś na liliowo, ale to nie znaczy, że inni muszą być tego samego zdania.

- Co tam kolor! Jeśli o mnie chodzi, możesz pomalować wszystko na czarno i jeszcze dorzucić lustra na suficie. W końcu twoja sypialnia, nie? Ale nie ty to zrobisz. - Tu Gerry szturchnął mnie palcem w pierś dla podkreślenia swoich słów.

- Tylko my.

- Otóż to. Zaraz wracam, skoczę tylko do domu po stare ciuchy. Skończymy to za ciebie, a potem ugotujemy ci kolację i ukołyszemy do snu w nowej sypialni.
- I żadnych, cholera, sprzeciwów. Jasne?
- Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

Intryguje mnie, co było w napoju, który zaserwowała mi Kath, bo znowu zasnęłam. W skrytości podejrzewam Kath o praktyki czarnoksiężskie. Ma w domu pełno książek o ziołach, a ogrodnicy w hotelu, gdzie pracuje, sadzą każde paskudztwo, o jakie poprosi. Jakkolwiek było, kiedy się obudziłam, ściemniało się, a w czerwcu oznacza to późną porę. Nadal siedziałam w fotelu na tarasie, ale okryta kołdrą. Drzwi do kuchni były otwarte. Gerry stał w progu z kieliszkiem wina w dłoni. Był w samym środku jednej ze swoich opowieści o torysach. Gerry dobrze zna co zamożniejszych torysów z okolicy, takie bogatsze, bardziej znaczące wersje Jamesa i Mary, bez szalonych krewnych i bez tynku odpadającego z sufitu.

- Miała ten obraz, nie? Gondole, tłumy, i tak dalej. Prezent od tatuśka, lorda Jak Mu Tam. Ładny, nie powiem. Kopia Canaletta, chyba z epoki wiktoriańskiej. - Mimo pozowania na prostaka z klasy robotniczej, Gerry doskonale zna się na sztuce; meble, sztućce, zastawy stołowe nie mają przed nim żadnych tajemnic. - W każdym razie, zagajam do niej: „Ładniutki, nie powiem. Doki Indyjskie, nie?”. A ona na to: „Nie, głuptasie, to Wenecja”. - Wybuch śmiechu był stanowczo za głośny, by mogła go wydać tylko Kath, choćby nie wiem jak pijana i zakochana. Wytężyłam wzrok. No proszę, James i Mary są w kuchni razem z nią. James siedzi przy stole, z nogami na drugim krześle, Kath i Mary siekają coś z zapałem i rozprawiają w najlepsze. Nie rozmawiały nigdy przedtem, jeśli nie liczyć uprzejmych pozdrowień na drodze, a teraz, proszę bardzo, krzątają się ramię w ramię, razem malują, gotują piją i opowiadają anegdoty. Co więcej, kiedy spałam, wszyscy odnawiali moją sypialnię.

Nie ruszałam się. Nie dałam poznać, że już nie śpię. Obserwowałam mały społeczny cud. Czerwoni jak krew ekskomuniści i konserwatyści o błękitnej krwi w żyłach bawią się doskonale. Czulałam się prawie tak, jak kiedy Dan rozmieszył Frankie po raz pierwszy i przestali być starszym dzieckiem i niemowlakiem, a stali się bratem i siostrą.

Kath i Mary, z pomocą jaj moich kur i zawartości mojej zamrażarki, przygotowały łososia w sosie *hollandaise* i ziemniaki. Jedliśmy na dworze, piliśmy whisky i wodę, kiedy zabrakło wina.

James i Gerry rozpalili ognisko pod jabłonią i kiedy zrobiło się chłodniej, tam się przenieśliśmy, ciągle pijąc i opowiadając zabawne historyjki, Gerry o ekscentrycznej arystokracji, James o chytrych wieśniakach, Mary, Kath i ja o paskudnych psotach dzieciaków. Kiedy ogarnęła nas senność, wpadli Alex i Sarah. Wrócili właśnie z oficjalnego przyjęcia na uniwersytecie Sarah. Po całym dniu uprzejmych rozmów o niczym palili się do dyskusji. Nie wiadomo jak doszliśmy do tematu siusiania na dworze w wykonaniu kobiecym.

- To moje dziedzictwo. Mama nauczyła moje siostry i mnie, jak to robić, żeby nie opryskać majtek. Uwielbiam to - wyznała Kath. - Dajcie mi porządne krzaki, a zaraz tam nasusiam.

- A papier? Jak sobie radzisz? - Sarah za żadne skarby świata nie obnażyłaby się gdzie indziej niż za grubymi drzwiami z tuzinem rygli.

- Wystarczy potrząsnąć, kropelki opadną.

- Powinnaś spróbować, Sarah. Jak myślisz, czemu zawdzięczam chwile najbliższego kontaktu z naturą? - włączyłam się ku przerażeniu Sarah. - Nie chcesz poczuć się elementem obiegu amoniaku w przyrodzie?

- Kath, powiedz im o tym samochodzie w Covent Garden.

- Do cholery, Ger, w kółko mi to przypominasz.

- No dobrze już, dobrze. Sam im opowiem. Wracaliśmy z knajpy pewnego wieczoru. To było zanim mieliśmy dzieci, nie? A Kaff nie odmówi kilku piwek, nie, Kaff? W każdym razie, nagle mówi: „Muszę do toalety, Gerry”. - Tu Gerry fantastycznie sparodiował jej słodki, łagodny głos. - Więc zadziera kieckę i kuca przy jaguarze, co tam stał. Po jej stronie żadnych ludzi, po mojej owszem. Kilku przechodniów i sklep jubilerski. Czekam więc, a ona wcale się nie spieszy. Nagle jak spod ziemi zjawia się gliniarz i przygląda mi się podejrzliwie. „Co pan tu robi?”. „Czekam na dziewczynę”. „Akurat - krzywi się - na dziewczynę, w środku nocy, przed sklepem jubilerskim”. I w tym momencie reflektory jaguara się włączają skureczybyk odjeżdża, i proszę bardzo, oto Kaff, ze spódnicą na cyckach, majtkami na kostkach i tyłkiem w powietrzu. Gliniarz nawet okiem nie mrugnął, zapytał tylko: „Czy to pana dziewczyna?”. I poszedł sobie.

- Cóż, Mary ją przebiła - stwierdził James z widoczną dumą.

Och, James! Nawet cię przy tym nie było!

- Mary! Opowiedz!

- No dobrze. To było bardzo dawno temu...

I znowu Mary mogła się poszczycić przeszłością barwniejszą niż ktokolwiek z nas. Przebiła wszystkich opowieścią jak to „pudrowała nosek” w środku dnia, w korku ulicznym na Polach Elizejskich. I to nie dyskretnie, pod osłoną krynoliny, jak damy na przyjęciach, o nie. Zadarła obcisłą białą mini, szczyt mody w latach sześćdziesiątych, i starała się nie opryskać wysokich botków z białego zamazu.

Za czasów Martina dzisiejszy wieczór nie doszedłby do skutku. Nie byłoby tej spontaniczności, przyjacielskich przysług, ryzykownej mieszanki towarzyskiej. To coś nowego, coś tylko i wyłącznie mojego.

Otuliłam się kołdrą. Na wschodnim horyzoncie pojawiła się perłowa smuga. Mój pokój pachniał świeżą farbą którą pomalowali go przyjaciele. Patrzyłam w przyszłość niemal z optymizmem. Może Dan i Frankie nie wyrosną na narkomanów, może świat się nie zawali, nawet jeśli Martin naprawdę nie wróci. Nie wiedziałam wyraźnie koloru ścian ani mebli, ale wiedziałam, że okażą się doskonałe i moje, tylko moje.

Rozdział siódmy

Nie potrafię podejmować decyzji. W salonie jedna ściana jest niebieska, jedna zielona, a dwie kremowe, bo nie mogłam się zdecydować, jaki kolor najbardziej mi odpowiada. To nie tak, że uchylam się przed podejmowaniem decyzji, nie. Gdyby tak było, wszystkie ściany byłyby brudnokremowe albo i lila. Nie, wiem, jaki mam wybór, tylko nie mogę go dokonać. To znaczy, zazwyczaj. Ale teraz nie jest „zazwyczaj” i podjęłam trzy decyzje w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

A oto jedna z nich: rozwieść się z Martinem.

To się zdarzyło nieoczekiwanie, w niedzielę, kiedy odwiózł dzieci.

Wypatrywałam ich od piątej rano, więc o czwartej po południu musiałam siadać co kilka minut, żeby zaczerpnąć tchu. Kręciłam się przed domem, udając sama przed sobą, że wcale ich nie oczekuję. Podcinałam rośliny, które wcale tego nie potrzebowały, pieliałam grządki bez jednego chwasta, obserwowałam kury, które nie robiły nic ciekawego, i co dwadzieścia minut sprawdzałam, czy nie zniosły przypadkiem jajka. Już miałam dać sobie spokój z udawaniem, że mam pełne ręce roboty, gdy samochód wjechał na nasz podjazd. Akurat szłam przez trawnik w tamtą stronę. Na widok Martina za kierownicą nie mogłam się powstrzymać, uśmiechnęłam się jak za dawnych czasów i pomachałam radośnie. Popatrzył na mnie, jakbym była namolnym kandydatem na kiepsko płatne stanowisko. I wcale się nie uśmiechnął.

Dzieci niemal wypadły z samochodu i natychmiast rzuciły się na mnie. Oboje jednocześnie, bez chwili przerwy opowiadali, co porabiali przez ostatnie dwa dni:

- Poszliśmy do kina i na basen i na zakupy, tata kupił mi nowe buty i kasety Oasis, zabierze nas do Grecji, ma kamerę wideo.

A nad tą kakofonią patrzyły na mnie oczy Martina, pełne nienawiści. W piątek był zaledwie zły i pełen pogardy. Jakim cudem doszedł do nienawiści przez zaledwie dwa dni?

Oczywiście w głębi duszy doskonale znam odpowiedź na to pytanie. Koloryzuje przeszłość, jak ja. Upiększa wspomnienia kwiatkami i serduszkami, czasami dodaje Dolores. Różnica polega na tym, że on oddaje się tej rozrywce dłużej niż dwa dni, prawdopodobnie od pierwszego spotkania z Dolores. I nie rysuje serduszek i amorków, o nie. W myślach ogląda album z naszego życia i dokonuje małych poprawek. Najpierw tylko okulary, nawet niebrzydkie. Potem złośliwy grymas ust. Teraz sobie nie żałuje, doszedł do pełnego zarostu, rogów i, o ile widać moje nogi, kopyt i ogona.

Niektóre ujęcia są najlepsze, jeśli wymaże się mnie kompletnie, tak jak to zrobili z Trockim, zanim go załatwili na amen. Na tych zdjęciach Martin sam uśmiecha się do obiektywu w towarzystwie dwójki pięknych dzieci, a po jego lewej stronie ziele pustka. O ile go znam, z czasem będzie opowiadał, że to ja go wyrzuciłam z domu, bo miałam romans.

W piątek ludziłam się, że dwa dni z dziećmi, które razem spłodziliśmy, zmiękającego serce, wygląda jednak na to, że ten weekend tylko go utwierdził w przekonaniu, że musi jak najszybciej pozbyć się diablicy, która je wydała na świat.

Trudno. Uśmiechałam się dalej, wymienialiśmy uprzejme uwagi, kiedy gotowałam herbatę i układałam ciastka na talerzu. Dzieci paplały nieustannie, a my nad ich głowami posyłałyśmy sobie lodowate spojrzenia. Wypił herbatę w takim tempie, że chyba się nabawił oparzeń drugiego stopnia w przełyku, i wstał.

Pochylił się, żeby je pocałować na pożegnanie, i dotarło do mnie jego ciepło, jego zapach. Ciągłe przesadza z wodą po goleniu. Ciekawe, czy chleb Dolores pachnie perfumami, tak jak mój. To jedyna rzecz, która mnie w Martinie denerwowała - fakt, że musiałam jeść tosty z marmoladą i Nino Cerrutim.

Miałam długą chwilę, właściwie dwie, żeby się przyjrzeć jego głowie. Jasne loki nadal zdawały się czekać, aż moje palce się w nich zagłębią. Nawet bez dotykania wiedziałam, co to za uczucie trzymać dłonie w jego włosach, wijących się na moich palcach jak pierścionki. Wydawało się, że nic się nie zmieniło, a przecież nic nie jest po staremu. Już nigdy nie dotknę jego głowy.

Pragnę go tak, jak pragnie się jedzenia lub snu. Nie jest to pragnienie, które mogę zlekceważyć, zepchnąć gdzieś na dno świadomości i zapomnieć, bowiem dotyczy ono wszystkich aspektów mojego życia. On jest jak narkotyk. Wrósł we mnie, zastąpił jakiś chemiczny składnik komórek, bez którego nie mogę żyć. Dopóki będę go widywał, dotykać, czuć, nie przestanę go pragnąć. Dopóki moje ciało dostanie choćby najmniejszą dawkę, będę uzależniona. Muszę się odtrucić, uodpornić na niego. Niech się skończą halucynacje, bóle żołądka, mdłości i wrzaski.

Albo to, albo ciągły głód przez najbliższe piętnaście lat. Widywać się z nim wyłącznie w takich okolicznościach? Oczywiście z czasem będzie łatwiej, upływające lata stępią ból. Może nawet usiądziemy razem i pogadamy jak starzy znajomi. A niekiedy, między poszczególnymi kochankami, po klótni z Dolores albo kiedy ogarnie go chandra, pójdziemy do łóżka. Następnego ranka uzna, że znowu musi mnie odepchnąć, „jasno się wyraził”, i znowu znajdę się na dnie przepaści, tylko że tym razem bez rąk i nóg, potrzebnych, by się wdrapać z powrotem na górę.

To nie dla mnie. Nie wchodzę w to i już.

Tak więc, zanim pocałował dzieci na do widzenia, podjęłam dwie decyzje: po pierwsze, pozbędę się z domu wszystkich związanych z nim przedmiotów... w imię zachowania równowagi umysłowej. Po drugie, rozwiódę się z nim, żeby przeżyć.

A kto wie, może kiedy adwokat przekaże mu kartony pełne ubrań, książek, płyt i list od mojego prawnika, przejrzy na oczy i wróci do domu!

Zamierzałam rozpocząć operację całkowitej Martinotomii, gdy dzieci pójda spać, ale emocje weekendu uleciały jak bąbelki z lemoniady. Na dnie został gorzki brązowy osad, który mnie przypadło w udziale osłodzić. Dwie godziny trwało, zanim zasnęli.

Spotkanie z ojcem, jakby był wujkiem z dalekich krajów, to dla nich zbyt wiele. Dan nie tracił nadziei, że jeszcze będzie przebywał z obojgiem rodziców jednocześnie.

- Moglibyśmy razem wyjeżdżać - proponował żałośnie, gdy otulałam go na dobranoc - tatuś, ty, Frankie i ja. Tatuś nie miałby nic przeciwko temu. On cię nadal lubi, mamusiu. Nadal chce być twoim przyjacielem.

Zanim mu wytłumaczyłam, dlaczego to niemożliwe, minęło pół godziny i oboje szlochaliśmy jak bobry.

Następnie pognałam do pokoju Frankie.

- Wiesz, mamusiu, tatuś nie jest taki jak dawniej. To Martin, nie tatuś - wyznała przez łzy. - Moje dzieci nie będą miały dziadka, tylko babcię. - Oto cała Frankie, od razu melodramat pełną gębą. Jakby nie było, to krew z mojej krwi. Ale płakała naprawdę. Ja również, skończywszy udzielać jej przydługiego wyjaśnienia, że Martin nadal jest jej tatusiem i że kocha ją tak samo jak przedtem, a może nawet bardziej. I że będzie doskonałym dziadkiem... jeśli tylko jej potomstwo nie będzie się tak do niego zwracać.

Zdaję sobie sprawę, że muszę utrzymać nieskazitelny wizerunek Martina w oczach dzieci, utwierdzać je w przekonaniu, że tatuś kocha i pamięta. Nie mogę pozwolić, by wymknęły mi się jadowite uwagi, które w moim sercu ryczą jak szalikowcy po kilku piwach. Uwagi w stylu: „Tak, jasne, tak bardzo was kocha, że się wyprowadził do kochanki”. Albo: „Pewnie, tak was kocha, że pójdziecie razem na kręgle. Ja tymczasem ograniczę się do karmienia was, i opierania, przypominania o lekcjach muzyki i sprzątanía po was, kiedy wymiotujecie o trzeciej nad ranem”. Albo: „Jasne, kocha was tak bardzo, że pozwolił mi się wami zajmować, kiedy sam w najlepsze posuwa Dolores”.

Dobrze mi zrobił widok ich nieszczęśliwych, zagubionych pyszczków, bo podsycało to we mnie gniew. Gdyby Martin wpadł wtedy po swój magnetofon, zabiłabym go gołymi rękami, albo jeszcze lepiej, zatopiłabym w jego piersi mój najlepszy nóż kuchenny, posiekałabym go na kawałeczki razem z lnianą koszulą i cisnęła moim kurom. Znosiłyby piękne żółciutki jaja po takim posiłku, co do tego nie ma wątpliwości.

Nie wpadł jednak, więc nerwowo spacerowałam po patio. Oddychałam głęboko, upajałam się zapachem ziemi i lata. Siedziałam w fotelu i głaskałam Sukę. Patrzyłam, jak coraz wolniej macha ogonem, jakby to było wahadełko terapeuty, i przemyka z lubością oczy. Poszliśmy razem pod kurnik i słuchałyśmy, jak kury beztrosko gaworzą przez sen.

Po dziesięciu minutach dumania o kurzych snach - czy marzą się im robaki długie i soczyste jak spaghetti, czy może jaja, z których kurczęta wykluwają się po kilku sekundach? - uspokoiłam się. No, może nie uspokoiłam, ale opanowałam. Byłam gotowa na pierwszą fazę operacji.

Żadnej interwencji chirurgicznej nie można przeprowadzać bez znieczulenia, więc wydzieliłam sobie odpowiednią dawkę alkoholu. Wydzieliłam, bo wypiliśmy wszystko, co lubię i czego nie musiałabym sobie wydzielać. Wlałam whisky na cztery palce do kubka, zatkałam nos i wychyliłam duszkiem.

Zaczęłam od jego ubrań. Szafa pełna koszul i marynarek, z rzadka przedzielonych garniturem... geologiczne warstwy. Tych starych nigdy nie wyrzucał, wieształ nowe na wierzchu. Jakość materiałów i metki świadczą o jego wspinaczce po drabinę sukcesu. Z każdą koszulą każdym swetrem wiążą się wspomnienia, ostre i wyraźne, jakby przyczepiono do nich polaroidowe zdjęcia Martina w tych ciuchach. Oto kremowa koszula od van Heusena, prezent od ojca. Przez rok stanowiła jego jedyny strój do pracy. A tutaj niebieska koszula Liberty, nosił ją na wakacjach w Bretanii, gdzie morze, niebo, jego oczy i ta koszula miały ten sam odcień. A tu, pod spodem, lniana koszula od Armaniego, kupiłam mu ją na Gwiazdkę. Sądziłam, że chodzi w niej do pracy w Londynie.

Poczułam się jak Pani Poczwardkowa segregująca kokony Pana Poczwardki dzień po tym, jak przedzierzgnął się w motyla. Gdyby nie alkohol i krwawe fantazje o nożu kuchennym, wywołane rozpaczą dzieci, moją decyzję o odwyku diabli by wzięli w jednej chwili. Starannie wszystko pakowałam. Co się nie zmieści, wylądowało w kartonach, bardzo starannie podpisanych: „Koszulki jednokolorowe”, „Koszule 1985-89”, „Skarpety czarne i kolorowe”.

Jeszcze dwa palce leczniczej whisky i byłam gotowa sprostać kolejnej nocy wariackiej aktywności. O pierwszej uporałam się z książkami (Gabriel Garcia Marquez i Kingsley Amis dla niego, Helen Dunmore i Wila Catha dla niej), obrazami (zdjęłam wszystkie budzące skojarzenia z Martinem), usunęłam jego nagrody i trofea.

Sam zabrał oba albumy swoich fotografii, *Barwy Afryki* i *Wizje Zachodniego Wybrzeża*, lecz zdjęcia z naszego życia jego autorstwa ciągle wisiały na ścianach, przy schodach, stały na pianinie, w łazience. Zebrałam wszystkie, co do jednego, autorskie wizje dzieci, poczynając od brzoskwińowej Frankie, niemal lśniącej na ciemnozielonym szalu, po surrealistyczny wizerunek Dana w biegu w worku w szkole. Czerwona koszulka otaczała go jak ogień. Myślałam, że fotografie Martina pozwolą mi ujrzeć świat jego oczami, ale zazdrośnie chronił swoich dokonać. Widziałam tylko te zdjęcia, które zechciał mi pokazać. Teraz, patrząc na pomarańczową panoramę Colorado, zastanawiałam się, kto stał u jego boku, gdy podnosił obiektyw do oka.

O trzeciej spakowałam ukochaną wieżę... kolumny, po które jechał sto mil, odtwarzacz, w którego poszukiwaniu przewędrował całą Tottenham Court Road... i wszystkie płyty Athlete's Foot Kelly i jego ponurych koleżków.

O czwartej wszystkie rzeczy Martina i połowa wspólnie kupowanych drobiazgów - różne zabawne figurki i ceramika - wylądowały w kartonach i workach na środku salonu. Splądrowane półki wyglądały żałośnie, puste miejsca gorszyły nagością ale dokonał się pierwszy etap operacji.

Poszłam na górę i spałam jak zabita przez dwie godziny. O szóstej dzieci wśliznęły się do mojego łóżka, ciepłe, zaspane, ciągle pachnące ojcem.

Kolejny etap usuwania Martina z mojego życia miał się odbyć bez znieczulenia, bo nie najlepsze wrażenie robisz na prawniku, wtaczając się do jego gabinetu po paru głębszych. Procedura prawna dotycząca rozwodu kojarzy mi się z che-

mioterapię pacjentów nowotworowych: chwilowo czujesz się okropnie, ale na dłuższą metę ten zabieg ratuje ci życie.

Zadzwoniłam do Mary i Jamesa z samego rana, jednocześnie szykując śniadanie dla dzieci.

- Jess, wszystko w porządku?

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- Nikt inny nie jest na tyle nieszczęśliwy, by do mnie dzwonić o wpół do siódmej rano.

- O Boże, przepraszam. Dzieci mnie obudziły. Nie spojrzalam na zegarek.

- Nie przejmuj się, moja droga. Jestem na nogach od piątej, robię dżem truskawkowy. O co chodzi?

Przez chwilę wyobrażałam sobie Mary pochyloną nad wielkim garem z bulgoczącą masą truskawkową.

- Potrzebuję prawnika.

- Od spraw rozwodowych?

- Tak. - Nie chciałam wypowiadać słowa na „r” w obecności Dana.

- Dzielna dziewczynka. Jesteś pewna?

- Tak. On jest jak noga z gangreną... jeśli go całkowicie nie odrąbię, całe moje życie stanie się zgniłe i cuchnące.

- Moim zdaniem podjęłaś słuszną decyzję. Porozmawiam z Jamesem i odzwonimy do ciebie za pół godziny. Na pewno dasz sobie radę sama?

- Tak, Mary. Dżem truskawkowy potrzebuje cię bardziej niż ja.

- Szczerze mówiąc, mam z nim same problemy, nie chce gęstnieć. No, to pa.

I tak, cztery godziny później, trzeźwą jak dawno nie byłam, w wypolerowanych martensach, czystych dżinsach i wyprasowanej koszuli, wprowadzono mnie do gabinetu w kancelarii Marbel, Mays and Marchant. Miałam się spotkać z Bertie Taylor. Polecił mi ją James. Byłam ciekawą od jakiego imienia pochodzi to zdrobnienie: Beatrice, Bethany, Elizabeth. W każdym razie, na wizytówce pisało jak wół: Bertie Taylor. Brzmi trochę operetkowo jak na prawnika specjalizującego się w sprawach rozwodowych, ale James zapewniał, że jest najlepsza w hrabstwie. Rzekomo ktoś odwołał spotkanie, dlatego mogła mnie przyjąć od razu, ale podejrzewam, że James maczał w tym palce.

- Pani Taylor zaraz przyjdzie. Proszę spocząć.

Widać, że w tym pokoju rozmawiają o rozwodach: na biurku stał tylko jeden przedmiot - pudełko chusteczek. Spróbuję ich nie używać. Na razie trzymałam się nieźle... byłam zdenerwowana, spięta, ale oczy miałam suche. Trzeba to potraktować jak sekcję - nie osoba, lecz ciało, nie małżeństwo, a kontrakt. Wyjąć narzędzy, dojść śladem arterii do serca i po drodze obficie przyskać formaliną. James powiedział, że na tym etapie będę musiała tylko odpowiadać na proste pytania, na przykład jak się nazywam.

- Pani Harvey? - Bertie Taylor zamknęła za sobą drzwi i natychmiast zaczęła mówić. - Bardzo przepraszam za spóźnienie. - Poczulałam się jak domowy pączek z dżemem przy dwupoziomowym lukrowanym torcie z cukierni: niekształtna, niechlujna, miękka wobec tej geometrycznej precyzji i doskonałości. Oto archetyp kobiety sukcesu: solidna, niech się schowają anorektycznie chude modelki, mod-

nie ubrana, aczkolwiek bez ostentacji, za to emanująca siłą. Nawet blond włosy obcięte na pazia zdawały się słuchać jej poleceń. Jej buty prawdopodobnie czyszcza się same, pełne obaw, że pomina małą plamkę i narażą się na reprimendę.

- James Walton - Naseby poinformował mnie, że chce pani wszcząć postępowanie rozwodowe, czy tak?

- Tak. - Rzeczywiście, pierwsze pytanie wcale nie było trudne.

- Zaczniemy od ustalenia podstawowych faktów. - Była jak ratownik wyciągający tonącego psa z kanału: spokojna i silna, ale nie tolerująca szamotanii się i skomlenia.

Zapytała mnie o nazwisko, moje i Martina. Poprosiła o adres wspólnego domu i adres Martina. To jeszcze nie było najgorsze, ale tymi pytaniami znakowała tylko martwą skórę do nacięcia.

- Czy z tego związku przyszły na świat dzieci? - O właśnie, chłasnęcie do krwi. Dzieci. Wszystko inne da się podzielić na pół, ale Dan i Frankie byli owocem naszego związku. Niszczy to umyślnie wydało mi się najpodlejszą zdradą jak wychowanie Pinokia w przekonaniu, że jest żywym chłopcem, po to tylko, by mu w końcu powiedzieć, że jest w rzeczywistości kawałkiem drewna równie martwym jak krzesło.

Jednak sięgnęłam po chusteczki. Zużyłam ponad połowę zawartości pudełka, zanim jeszcze doszliśmy do podstaw rozwodu.

Wybór jak z greckiej tragedii.

Rozstanie na skutek niezgodności charakterów? O, nie. Nie pozwolę, by wymyślił sobie tragiczny związek, którym mógłby pysznić się przed przyjaciółmi... „Tkwiłiśmy w tym jak w pułapce. Rozwód okazał się jedynym wyjściem”.

Dwa lata w separacji? Lata w niepewności, na ciągłej huśtawce uczuć. Po ich upływie mogę wylądować w wariatkowie. Nie wchodzi w grę.

Zdrada? Jeśli o mnie chodzi, żaden to powód do rozwodu. Zawsze uważałam za szczyt głupoty odrzucać wspólne lata w imię jednego intensywnego seansu w łóżku. Mógłby umieścić Dolores w pokoju gościnnym i posuwać ją ile sił, byle został ze mną i z dziećmi.

No, ale jednak odszedł od nas przez Dolores. Tak powiedział, zatem zdrada to powód najbliższy prawdzie.

Czyli: „Rozwód z winy pani męża, który popełnił cudzołóstwo z nieznaną kobietą”.

- Dobrze.

Bertie wytłumaczyła mi dokładnie, na czym polega sekcja zwłok małżeństwa. Dała mi formularze do wypełnienia, broszurę, jak sobie radzić finansowo i jak uzyskać kontrolę nad kontem. Na koniec stwierdziła:

- Zdziwi panią jej własna siła.

- Pewnie - mruknęłam w dwudziestą chusteczkę. - Idę o zakład, że mówi to pani wszystkim klientkom.

Roześmiała się po raz pierwszy od dwóch godzin, a jej włosy straciły fason, co prawda tylko na chwileczkę.

Dzieciaki pojechały po lekcjach do Kath. Zaproponowała, że zatrzyma je na noc. Ucieszyły się, że odpoczną ode mnie, od mojego cierpienia. Nie chciałam, żeby widziały, jak pod dom podjeżdża ciężarówka po dobytek Martina. Kierowca był kumpel Gerry'ego, organizował przeprowadzki i akurat dzisiaj miał wolne. Gerry zorganizował go w dziesięć minut z samego rana.

Zadzwoiłam do Martina do pracy zaraz po powrocie od Bertie, póki jeszcze czułam się silna i twarda.

- Nie możesz tego zrobić, Jess - stwierdził. - Nie możesz tak po prostu wyrzucić moich rzeczy na ulicę. - Nie mógł podnosić głosu, słyszałam, że nie jest sam w gabinecie.

- Niczego nie wyrzuciłam na ulicę. Wszystko zapakowałam bardzo starannie. Ubrania, książki, płyty, wieżę i twój rower. Dzisiaj wieczorem przywiozą to do Dolores koło wpół do dziewiątej. Uznałam, że tak będzie najlepiej, zdążysz wrócić z pracy.

- Nie możesz tego zrobić, Jess. To nierozsądne.

- Martin, nie pojmuję, co widzisz nierozsądnego w odesłaniu twoich rzeczy z miejsca, w którym mieszkałeś, tam, gdzie mieszkasz obecnie.

- Powinnaś była to ze mną ustalić. Bardzo mi to nie na rękę.

- Przykro mi, ale ten znajomy Gerry'ego bardzo tanio policzył.

- Nic mnie to nie obchodzi. Odwołaj go.

- N i e mam najmniejszego zamiaru.

- Jess. Jess, nie możesz tego zrobić.

- Już zrobiłam.

Odłożyłam słuchawkę. I wcale się nie rozplakałam.

Nie płakałam nawet, kiedy kumpel Gerry'ego załadował wszystko do samochodu i odjechał. Był to logiczny wniosek, a Martin zawsze wielce sobie logiczne wnioski ceniał. „Jess, z tego, co mówisz można wyciągnąć jeden logiczny wniosek - że wszyscy powinniśmy mieszkać w lepiankach”. Albo: „Na Boga, Jess, nie jesteś w stanie myśleć logicznie i dojść do najbardziej oczywistego wniosku!”.

Myśl o Martina Logicznych Wnioskach pozwoliła mi zapomnieć o jego dłoni na moich plecach, o tym, co pisał w kartkach urodzinowych („Jess, najdroższa, nie zasłużyłem na ciebie”, „Wszystkiego najlepszego, całej miłości we wszechświecie, Martin”). I o tym, jak zawsze w święta Bożego Narodzenia budził się o piątej rano, nie mogąc się doczekać prezentów i sztucznych ogni, a o szóstej ściągał dzieci z łóżek: „Pobudka! Są święta!” - jakby to była pierwsza Gwiazdka w jego życiu albo jakby Dzieciątko Jezus wylądowało w naszym kurniku.

Utwierdziło mnie to w postanowieniu zaserwowania mu kilku moich logicznych wniosków. Logicznym wnioskiem tego, że mnie nie kochasz, będzie nasz rozwód. Logicznym wnioskiem zamieszkania z Dolores jest fakt, że tam pojechały twoje rzeczy.

Podjęcie decyzji stanowczo poprawiło mi samopoczucie. Jednym z powodów, dzięki którym w miarę spokojnie pomachałam na pożegnanie skarbowo Martina, była decyzja numer trzy.

Kiedy w zeszłym tygodniu James uprzedził mnie, że Martin może uciec do Timbaktu z całą gotówką wyciągnęłam z dna szuflady zakurzoną dyskietkę z moim CV. Nasz nowy komputer (ach, byłabym zapomniała - to jedyna rzecz Martina, której nie odesłałam, ale nie poradziłabym sobie teraz bez magicznych właściwości gier komputerowych i ich wpływu na dzieci) potraktował ją z wyraźnym obrzydzeniem, ale w końcu przeformatował i odczytał antyczny plik. Dodałam kilka barwnych szczegółów, upiększyłam czynności, którym oddawałam się przez minione pięć lat, i oto życiorys nadawał się do wysłania. Producent, który będzie go pospiesznie przeglądał w poniedziałkowy rano, przy drugiej filiżance kawy, zdesperowany i wykończony poszukiwaniami dodatkowej pary rąk do pracy, mógłby się mną zainteresować. Wydrukowałam tekst i wysłałam do Davida Herringa bez cienia nadziei, że to cokolwiek przyniesie. No, może z taką samą nadzieją z jaką wypełnia się jeden kupon lotto.

To nazwisko nie pasuje do potentata telewizyjnego. Zawsze uważałam, że powinien nazywać się, na przykład, Troy Masters albo Conrad Ritblatt. Jakoś bardziej wystrzałow, tym bardziej że David lubił strzelać, zwłaszcza jeśli chodzi o młode kobiety. Był producentem w Media Magic, kiedy tam zaczynałam, zbierając z podłogi urwane łapki pluszowych zwierzątek. Dla nikogo nie było tajemnicą że zapatrzył się na sam szczyt i że nogi mu się rwą do szczebli kariery. Łączył odpowiednie kontakty i autentyczne umiejętności, bo dostawał prace, o których nie miał pojęcia, i radził sobie doskonale. Kiedy odchodziłam, był szefem od programów, miał własny gabinet i biurko wielkości małego kontynentu. Po pół roku pracy czekał na następny awans.

Wiedziałam, jak rozwija się jego kariera dzięki Martinowi, który śledził jego postępy w małym światku mediów. David awansował tak błyskotliwie, bowiem pojął, że telewizja jest jak mafia. Interesy i prawa dżungli: umowy, przysługi, długi i rozejmy powodowane strachem. Nigdy go nie lubiłam - tak jawna ambicja jest mało atrakcyjna, jak wielki członek we wznoszeniu na czubku głowy - ale dobrze się czułam w jego towarzystwie. Traktowałam go jak automat, bo przecież był przewidywalny jak robot.

Obecnie był najgrubszą rybą w Charlatan TV, szefem firmy, która kontrolowała cztery kanały regionalne. Co najlepsze, ich siedziba mieściła się o czterdzieści kilometrów ode mnie.

Tego ranka, ledwie odłożyłam słuchawkę po rozmowie z Martinem, zadzwonił David Wielki Sum. To znaczy, nie on we własnej osobie, tylko jego asystentka (dwadzieścia trzy lata, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, rozmiar dwunasty, sobowtór Geeny Davies, jeśli sądzić po głosie). Czy dzisiaj po południu miałabym czas na spotkanie z panem Herringiem? Zaraz sprawdzę w kalendarzu, odparłam - tak, co za szczęśliwy traf, jestem wolna o wpół do trzeciej (i o wpół do czwartej, piątej, szóstej i każdej innej wpół do końca życia, a jakże).

Jezus, Maria. Czego David Herring ode mnie chce? Do czego mu się przydam? Cóż, cokolwiek wymyśli, zrobię to, jeśli mi zapłaci. Jeśli nie każe mi przepraszać za moje CV, mój wiek, moje dzieci i mój wygląd, może mam szansę.

Poprawiła się jakość jego garniturów, w talii pojawiła się zdradziecka oponka, ale poza tym niewiele się zmienił. W jego ciemnych włosach mignęło mi srebrne pasmo, pod oczami zauważyłam cienie, ale nic więcej. Zdawało mi się, że słyszę, jak jego ciało mruczy, tak jest naładowany energią.

- Cieszę się, że cię widzę, Jess. - Ten sam nosowy głos z północnym akcentem. David nie jest absolwentem Oxfordu czy Cambridge, wywindowanym na to stanowisko dzięki rodzinnym koneksjom. O nie, pochodzi z samego dołu, chłopak ze wsi, który na szczyt wspinał się dzięki sprytowi i ambicji. - Zmartwiły mnie wieści o Martinie. - Boże, co za tryumf współczesnej technologii, głos Davida Herringa brzmi naprawdę współczująco. Do tego stopnia, że gdybym go słuchała nie znając, zaczęłabym mu się zwierzać. Trudno, muszę udawać twardą sukę.

- Cóż, Davidzie, wiesz, jakie to ryzyko wiązać się z wami, mężczyznami mediów. Przejdźmy do rzeczy. Nie zaprosiłeś mnie chyba, żeby mi wyrazić współczucie?

- Cała Jess, w ogóle się nie zmieniłaś. Najbardziej bezpośrednia dziewczyna w telewizji.

- Ty też się nie zmieniłeś, Davidzie. Najbardziej ambitny chłopak. Więc o co chodzi?

Teraz włączył urok osobisty: kontakt wzrokowy, łagodny ton. Ktokolwiek go programował, odwalił kawał dobrej roboty. Był jak żywy. I łatwy do przejrzania. Chce, żebym coś zrobiła. Potrzebuje mnie. Nie ma to jak odrobina przewagi, żeby dziewczynie poprawić humor.

- Kręcimy serię pilotażową nowego serialu do bloku popołudniowego. Ma się to nazywać *Zwierzaki i ich ludzie* i będzie traktowało o istocie związku między właścicielami a zwierzętami. Mamy fantastyczne materiały do sfilmowania: facet, który na srebrną rocznicę ślubu, podarował żonie dwie lamy, dziewczyna, która śpi z piętnastoma szczurami. Potrzebny nam jest prezenter o wyrazistej osobowości, ktoś, z kim widzowie będą się identyfikowali i kto skłoni ludzi do mówienia. Czyli ty.

- David, moje doświadczenie ogranicza się do rozmów z kukiełkami.

- Fakt. Ale ja zauważyłem coś, co umknęło innym: sposób, w jaki zachowujesz się przed kamerą. Nawet nie mrugnęłaś okiem. Jestem gotów się założyć, że nie zmieniłaś ci się puls. I zawsze potrafiłaś rozwiązać ludziom języki, Jess. Znałaś życie każdego w firmie. - Pochylił się w moją stronę, laser w oczach nabierał pełnej mocy. - Pamiętam, że nie brzydziłaś się brać do rąk wszystkich tych chomików, myszy i świnek morskich na planie *Mr Bounce*, a raz nawet - nagle w jego głosie pojawił się autentyczny podziw małego chłopca - wzięłaś tarantulę bez mrugnienia okiem.

Pochlebstwo jest miłe, nawet w wykonaniu robota. Milczałam, bo wiedziałam, że jeśli otworzę buzię, powiem mu, jak bardzo się boję.

- Jess, pomyślałem o tobie, gdy tylko urodził się ten pomysł. To zrzędzenie losu, że akurat teraz przysłałaś mi swoje CV. Mam przecucie, że będziesz doskonała. - Pochlebstwo jest przyjemne, dopóki wydaje się chociaż trochę prawdopodobne. Teraz posunął się za daleko.

- Myślisz chyba, że urwałam się z księżycą. Chcesz mi powiedzieć, że zamierzacie nakręcić serię pilotażową i nie macie znanego prezentera? O nie, ty chcesz być prezenterką z *Mr Bounce*, która nie pracowała przez pięć lat. O co naprawdę chodzi? - Laser zgąsł, urok osobisty się wyłączył. Maszyna opadła na fotel.

- No, dobrze. Nie podoba mi się pomysł tego programu, ale im się wydaje, że tego chcą. To potencjalnie duża robota, dwa trzydziestominutowe odcinki na tydzień przez dwadzieścia osiem tygodni w roku. Biorąc pod uwagę, że właśnie straciliśmy popularny program na korzyść Kanału Czwartego, potrzebny nam ten gniot. Problem w tym, że chcą sześć odcinków pilotażowych na sierpień, a budżet jest do kitu, będzie lepszy na całą serię. Mamy osiem dni zdjęciowych na sześć półgodzinnych odcinków. Zainwestowaliśmy w prezenterkę, która uratowałaby to cholerstwo, Monice Mostar, ale wczoraj się wycofała. Został nam zielony reżyser, zamówiona ekipa i początek zdjęć pojutrze. Jesteś mi potrzebna, Jess. Wierzę, że sobie z tym poradzisz. Taka odmiana dobrze ci zrobi.

- Nieprawda. Wiesz, że jeśli zlecą wam kręcenie całości, zatrudnicie kogoś znanego.

- No tak, ale mimo wszystko mogłaby to być dla ciebie furka powrotu.

- Dlaczego w ogóle zawierasz sobie tym głowę? Jesteś ponad to.

- To przysługa dla dziewczyny, która ma to reżyserować. Jesteśmy dosyć...

-Blisko?

- Tak. Tak, blisko. W każdym razie ona tkwi w tym po uszy.

- Doprawdy wzruszające, Davidzie. Prawda jest następująca: wiedziałeś, że zrobiłabym prawie wszystko, byle znowu zacząć zarabiać. Ile za dzień?

- Dwieście. - Dwieście funtów przez osiem dni. Jedzenie i czynsz na dwa miesiące, pod warunkiem, że nie włączymy ogrzewania i nie kupimy żadnych ciuchów. Za mało.

- Nie targujmy się, nie stać cię na to, Davidzie. Masz ekipę zamówioną na śródę. Dlaczego nie dasz mi po prostu tyle, ile zarezerwowaliście w budżecie dla prezentera?

- Bo chcę zaoszczędzić co się da na późniejsze poprawki.

- Mniej poprawek, więcej dla mnie. Poniżej czterech setek na mnie nie licz.

- Dobra, czterysta. Dzisiaj prześlę ci potwierdzenie faksem, a umowę w piątek.

Cholera, za szybko się zgodził. Powinna była powiedzieć sześćset. Monica Mostar nie kiwnie palcem za mniej niż tysiąc pięćset.

Niemal wybiegłam z budynku, gorączkowo dokonując różnych obliczeń. Czterysta dziennie! Ponad trzy tysiące funciaków w banku, i to przed końcem miesiąca. Wystarczy na całe lato. Martin może sobie wyjeżdżać z Dolores do Timbuktu. Przynajmniej da paździenika.

Byłam w połowie drogi, pogrążona w marzeniach o finansowej niezależności i planach założenia rachunku bankowego, kiedy dopadła mnie panika.

Zjechałam na pobocze, wysiadłam. Jak mam to zrobić? Stanąć przed kamerą po raz pierwszy od pięciu lat? Niemożliwe. Wystarczająco ciężko było za pierwszym razem, a wtedy nie miałam zmarszczek i szafy pełnej zniszczonych łachów. Nie ma sensu ustroić się w niebieski jedwab na spotkanie z lamą. A dzieci? Co z nimi zrobię po szkole? Nakręcenie dwudziestu pięciu minut dziennie oznacza pracę do zachodu słońca. Położyłam się na trawie i leżałam tak, dopóki znowu nie zobaczyłam błękitu nieba i nie usłyszałam monotonnego warkotu samochodów.

Jakoś to będzie. Sarah, Kath, może nawet Jo przechowują dzieciaki. Przecież to tylko osiem dni. Monica Mostar zgarnie prawdziwą pulę nagród - ponad pięćdziesiąt dni zdjęciowych za czterysta funtów dziennie. Gdybym miała taką forszę, Martin i Dolores mogliby wyemigrować nawet na Alfa Centauri.

Rozdział ósmy

Wpatrywanie się w jądra wielkiego brytana to nie jest mój ulubiony sposób spędzania czasu. Wielkie i napięte, jak kudłate gruszki, dyndały mi przed nosem, ilekroć psisko okrążyło malutki ogródek.

Pierwszy dzień kręcenia *Zwierzaków i ich ludziny* zaczął się najlepiej. Basii i Bono nie lubiły obcych, szczególnie obcych z kamerami i dziwną czarną skrzynką. Nie oszczekiwały nas zajadle tylko wówczas, gdy kucaliśmy lub siedzieliśmy.

-- To takie duże dzieci - zapewniała Janice, ich właścicielka, gdy zbliżyły się do Roba, kamerzysty, warcząc i szczerząc zęby nie tyle jak bobasy, ile jak wściekle wilki.

Przysiadłam na krawężniku obok Janice, która ze skruczą przeproszała za zachowanie ulubieńców. Czekałam na okazję przeprowadzenia z nią wywiadu przed kamerą, mając w tle, o ile to możliwe, psie pyski, a nie jaja.

Wszędzie poniewierały się psie odchody wielkości monsturalnych ślimaków. Każde z nas wdepnęło w to co najmniej dwukrotnie, ustawiając sprzęt i uciekając przed paszczami Basila i Bono. Byliśmy w fatalnym nastroju. Dochodziła jedenaście, nie nakręciliśmy nawet jednej porządnej sceny, a przed nami jeszcze dwa reportaże do zrobienia, zanim powiemy sobie dobranoc.

Judith, reżyserka, z maniackim uporem zakładała długie blond włosy za ucho (gust Davida Herringa okazał się równie przewidywalny jak wszystko inne) i odhaczała coś kolorowym mazakiem na długiej liście. Tylko Steve, dźwiękowiec, zdawał się zadowolony z życia. Ulokował się pod murkiem, tak daleko od psów, jak tylko mógł, nie tracąc dźwięku.

- Chodźcie do mamusi! - kusła Janice po raz pięćdziesiąty. O dziwo, tym razem Bono i Basii zaprzestały eksponowania jąder i podeszły do niej. Chyba w końcu mnie zaakceptowały, na znak czego zostałam dokładnie ośliniona.

- O, proszę, całkiem jak dzieci. No, kogo siom te slične bobaski?

- Dobra, kręcimy.
- Janice, opowiedz mi o Bono i Basilu... - Gdybym umiała zabijać wzrokiem, psiska z miejsca padłby trupem.

Dzień zaczął się fatalnie jeszcze przed włochatymi genitaliami. Dan i Frankie byli w gotowości bojowej od samego rana, kiedy tylko uświadomili sobie, że nadszedł pierwszy z ośmiu dni piekła: że mama nie przyjedzie po nich do szkoły i nie poda im podwieczorku.

- Nie idę do szkoły i już. Nie zmusisz mnie - oznajmiła Frankie o ósmej dwadzieścia pięć spod łóżka. - Nie zgadzam się, żeby odbierali mnie obcy, żebyś ty mogła iść do jakiejś głupiej pracy.

Od czego zacząć? Od faktu, że Gerry i Kath, i Joe i Louis, ich dzieci, to żadni obcy, skoro przyjaźnimy się od sześciu lat? Czy może od tego, że bez tej głupiej pracy będę musiała sprzedać głupi dom i wylądujemy na głupim bruku? Wieczorem stawiałam czoło wyciągom z konta. Martin nie zasypia gruszek w popiele. Jego wypłata za zesły miesiąc nie wpłynęła na wspólne konto. Nie wpłacił ani grosza, więc kiedy w piątek przekażą ratę za dom, będę miała debet. A może przypomnieć jej, że jest w pół do dziewiątej, a ja mam do przejechania sto dwadzieścia kilometrów w godzinę, żeby się nie spóźnić? Czy może od tego, że to nie moja wina, do cholery, że jest jak jest?

- Frankie, bardzo mi przykro, ale to tylko kilka dni. Nie mamy innego wyjścia, musimy jakoś wytrzymać. No chodź, kochanie, bardzo proszę.

- Nie. Idź sobie. Idź do tej głupiej pracy. Ja tu zostanę.

- Frankie, masz tylko osiem lat. Postąpiłabym niezgodnie z prawem zostawiając cię samą w domu. Wsadzą mnie do więzienia.

- I bardzo dobrze.

Kiedy jedno się dąsa, drugie udaje wzór cnót. Dan wbiegł po schodach do pokoju siostry, z tornistrem na plecach, gotów do drogi.

- No chodź, bo się spóźnimy. Frankie, ty debilko, ruszaj się.

- Wyjdź stąd! Nienawidzę cię! - Frankie podkreśliła te słowa serią pocisków.

- Frankie debilka!

- Dan, wcale mi nie pomagasz. Poczekaj na dole.

- Nie przesadzaj, chcę ci pomóc.

- Ale ci się to nie udaje! Wyjdź stąd!

- Nie popychaj mnie! I nie wyzywaj się na mnie za to, że tatuś odszedł!

- Wcale tego nie robię. Przynajmniej raz zrób, o co cię proszę.

- Nie bądź wredna i dla Dana, ty stara krowo. - Frankie wygramoliła się spod łóżka i stanęła przede mną w bojowym nastroju. - Jesteś wredna dla wszystkich. Chodź, Dan, do samochodu. - Zbiegli po schodach w najlepszej zgodzie. Co teraz? Wrzeszczeć? Śmiać się? Płakać? Nie, usiąść za kierownicą i do pracy.

Zanim dojechaliliśmy do szkoły, kajali się oboje. Ściskali mnie i całowali, szukali śladów smutku na mojej twarzy. Wskoczyli z samochodu jak skowronki, a ja miałam wrażenie, że ten dzień zaczął się sto godzin temu.

Mimo wszystko odjechałam z uczuciem ulgi. Na cały dzień uwolniłam się od odpowiedzialności rodzicielskiej, no i miałam cel inny niż powrót do domu i rozważanie, czy powinienam zadzwonić do Martina i przypomnieć mu, że hipoteka jest na jego nazwisko.

Chętałam z otwartym oknem mimo deszczu. Chciałam poczuć zapach mokrych pól i świeżych kwiatów. Pod warstwami chmur i mżawek nieuchronnie nadciągało lato, przeganiało pochmurny czerwiec w nadziei na pogodniejszy lipiec. Zupełnie jak ja - chwilowo spuścić nos na kwintę z nadzieją że przyszłość będzie lepsza.

Wtedy włączyłam radio. I to był błąd, chociaż jeszcze po pierwszych taktach, kiedy się zorientowałam, co to za piosenka i co się będzie ze mną działo, mogłam je wyłączyć. The Bangles. Protegowane Prince'a. Same dziewczyny, słodkie harmonijki ustne, zgrabne teksty i ekliwne melodyjki. To, czego Martin nienawidzi najbardziej. A już takich piosenek nie cierpiał z całego serca - pełnych kiepskich rymów i żalu nad utraconą miłością.

No i proszę: w ułamku sekundy stanęły mi przed oczami błękitne oczy Martina. Niebieskie jak niezabudki, jak określiła je moja mama. Patrzyły na mnie nad stolikiem z kutego żelaza w Toronto. Przez moment dziwnie poważne, potem rozbawione własnym zdenerwowaniem. Raz nawet odchrząknął. Na myśl o tym szczególnie zawsze miałam łzy pod powiekami.

- Jess, chciałbym, żebyś została moją żoną. Chcę, żebyśmy zawsze byli razem.

W moich wspomnieniach wyglądał, jakby mówił poważnie. Też tak uważał, do niedawna.

Odrzucił to jednak, bo nie było dla niego dość ważne. Teraz ta scena została jedynie w mojej pamięci, równie nierzeczywista jak kadr z filmu. Nierealna jak bajka.

Martin. Całe moje z nim życie będzie tylko wspomnieniem, jeśli nie wróci. Wspomnieniem, bo terażniejszość ani przyszłość nie dorzuca niczego nowego. Nie będzie wspólnej przeszłości, nie będzie budowania przyszłości. Nie będzie starych żarcików, zrozumiałych tylko dla nas. Nie będzie ciągłości. Moje wspomnienia staną się jak rozsypujące się książki na zapomnianej półce biblioteki.

A teraz jeszcze ten kawałek o tym, jak głos kochanka traci ciepło i czułość. O Boże, czemu nie wyłączyłam tego cholerstwa? Przepadałam za głosem Martina, lekko ochryplym, z poprawną szkolną wymową. Ogrzewał mnie wszędzie, w ciemnościach sypialni, przez telefon z końca świata, nawet przez opary narkozy. Teraz rozgrzewa inną a do mnie nigdy już nie przemówi.

I końcówka: po co to wszystko? Po co zaciskać zęby i szamotać się z losem, skoro i tak nie można mieć tego, kogo się chce? Budować coś od nowa? Strata czasu. Znajome Mary, te kobiety na przyjęciu, przetrwały, ale najważniejszą rzeczą w ich życiu ciągle była wielka żywa rana. Nic nie zastąpiło miłości.

Powiedziałam kiedyś Martinowi, że gdybym miała wypadek i przeżyła, ale sparaliżowana, ma mnie zastrzelić. Chcę być albo całkowicie sprawna fizycznie, albo nie istnieć w ogóle. To samo dotyczy sprawności emocjonalnej: wszystko albo nic.

Przez lzy zauważyłam, że jadę sto czterdzieści kilometrów na godzinę, ale nie miało to większego znaczenia.

Taka tragedia, taki melodramat przez jedną piosenkę z melodią i tekstem równie wyrafinowanym co „Wlazł kotek”. Martin, miłośnik muzyki typu pierwsza lepsza nuta powtarzana co trzy sekundy albo zawrodość starego alkoholika, nigdy by się na to nie zlapał. Więc dlaczego rzucił mnie dla kogoś, kto słucha Queen?

Jeśli mój mózg ma mi płać takie sztuczki, ilekroć będę gdzieś jechała, czolowe zderzenie ze słupem może się okazać wybawieniem.

Oczywiście fakt, że jechałam sto czterdzieści na godzinę, okazał się bardzo istotny - mimo sceny pod łóżkiem nie spóźniłam się do pracy.

Mieliśmy się spotkać przy Little Chefs, niedaleko domu Bono i Basila. Nie trudno zauważyć ekipę filmowców. Do nich bez wątplenia należy wielki samochód ze złowieszczą wyglądającymi czarno-srebrnymi pudłami, na tyle dużymi, że zmieściłyby się w nich spore kawałki ludzkiego ciała (w podłużnym nogi, korpus, zapasowa głowa, kilka ramion, palce prawej dłoni, palce lewej dłoni i tak dalej). Kierowca, czyli kamerzysta, nosi doskonałej jakości turystyczne ciuchy, więc najdroższe kurtki Berghausa, polary, torby Rohana. Pasażer wygląda podobnie, ale dużo gada (i najpewniej pali) - to dźwiękowiec. Kiedy nie pracują płotą co im ślina na język przyniesie, bo w pracy muszą siedzieć cicho i nasłuchiwać tego, co mówią inni.

Przy reżyserze jest więcej możliwości. Bywa bardziej modny (czarne dzinsy Calvina Kleina lub levisy, skórzana kurtka), raczej niechlujny (okruszki na dziurawym swetrze), zazwyczaj dość przystojny (pewność siebie, niezbędna w tym zawodzie, dodaje fizycznej atrakcyjności), zdecydowanie bardziej ożywiony. Najczęściej można go znaleźć obok kamerzysty, gdy coś mu tłumaczy. Jeśli już razem pracowali, tłumaczą sobie nawzajem. Jeśli nie albo jeśli reżyser nie ma doświadczenia, będzie siedział w samochodzie i obgryzał paznokcie nad kartką papieru.

Zidentyfikowałam Roba, Steve'a i Judith, ledwie wjechałam na parking, choć nieznacznie różnili się od zaprezentowanego powyżej stereotypu. Stali przy wielkim kombi z kubkami kawy. Skórzaną kurtkę miał Rob, Steve nie palił, a Judith nie była ubrana ani modnie, ani niechlujnie; jeśli już, to niepraktycznie: legginsy w lamparcie ciapki, kozaczki na szpilkach, pas ze złotą klamrą na czarnej koszuli. I kaskada miodowozłotych loków, ma się rozumieć. Miała za to podkładkę z kartką papieru i odhaczała coś z przejęciem. Mówiła przy tym do Roba, który patrzył na nią z taką miną jakby przemawiała do niego po serbochorwacku. Oboje nerwowo zerkali w niebo, gdzie szarość i błękit walczyły o palmę pierwszeństwa.

Nie patrzyli na mnie. Zaparkowałam, naprawiłam szkody w makijażu i dziarsko ruszyłam przez parking.

- Cześć, jestem Jess... - mało brakowało, a powiedziałabym Harvey - ... Wallace. - Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż pozwolę, by za moją sprawą nazwisko Martina pojawiło się na antenie. Zresztą zawsze bardziej mi się podobało moje.

- Cześć, jestem Judith Nunn, a to Rob Strachan i Steve Rolands. - Uroczyście podaliśmy sobie ręce. Lubię to - ten rytuał pomaga przetrwać najgorsze, pierwsze pół minuty. Rob i Steve mruzczyli coś niezrozumiale i przyglądali mi się podejrzliwie. Obawiali się, że wydłużę im dzień pracy, psując każde ujęcie, tak że trzeba będzie powtarzać po piętnaście razy. Ja również się tego obawiałam.

- Dzięki, Jess, że się zgodziłaś tak szybko - Judith uśmiechnęła się promiennie. Z bliska wyglądała jak wysoka blond mysz, a głos miała jak uczennica Jimmy'ego Osmonda. Młoda, koło dwudziestu pięciu lat. Pewnie była sekretarka, zgadywałam, jak David pnąca się po szczeblach kariery. Miała doskonały makijaż, a ja nie wiadomo dlaczego nie wierzę, że idealnie utuszowane rzęsy i inteligencję da się znaleźć w tym samym ciele. Mimo to odpowiedziałam równie promiennym uśmiechem. Jakkolwiek by było, to telewizja.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Nic dziwnego, przy stawce czterysta za dzień.

- Napijesz się kawy? - Blond mysz z nieskazitelnymi manierami. Nie, w ogóle nie pasuje do stereotypu reżysera.

- Dzięki, bardzo chętnie. - Judith poszła po kawę, a Rob zaczął badać, jak wyglądają szanse skończenia o czasie.

- Słyszałem od Judith, że sporo pracowałaś przed kamerą? - Głosy z Yorkshire mają w sobie coś rozbijającego. Byliby z nich niezły śledczy. „No, stary, przyznaj się, przecież widać, że tego chcesz”.

- Owszem, ale to było dawno temu. - Nie ma sensu mydlić im oczu. Ukryj coś przed ekipą a pożrą cię żywcem, jak piranie. - Szczerze mówiąc, Rob, jestem zielona ze strachu. - Rob i Steve wymienili błyskawiczne spojrzenia typu „o, kurwa”, wiedzieli jednak, jak najłatwiej podnieść komuś samoocenę.

- Co ty? Chyba nie pękasz? Pomożemy ci, nie, Steve?

- Pewnie. Pójdzie jak z płatką. Wszystko ci się przypomni, kiedy zaczniemy kręcić.

Nie przekonało to żadnego z nas. Judith przyniosła kawę i wsiedliśmy do wielkiego samochodu. Pojechaliśmy do Janice wszyscy razem.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dzięki temu, że szłołam przez całą drogę, nie miałam siły się denerwować. Niestety, w przyrodzie nic nie ginie. Podczas dziesięciu minut jazdy do Psiego Domu nadrobiłam te zaległości z nawiązką.

- Może od razu skróćmy początek - zaczęła Judith. Wydawała się całkowicie opanowana. Postanowiłam zrewidować moje zdanie o rzęsach i inteligencji. Była spokojna, fachowa i niegłupia, nawet w botkach na obcasie i ze słabością do sztucznych facetów.

Judith podała mi skrypt. Przechadzałam się nerwowo, starając się zapamiętać całe zdania, a Rob i Steve ustawiali kamerę. Miałam wrażenie, że moją głowę wypełnia ogłuszający hałas, na tym tle zaś jakiś głos przekonuje mnie, że to absolutnie niemożliwe, że jestem brzydka, stara i bez krzty talentu, i nie ma szans, żebym stanęła przed kamerą i wydukała dwa sensowne zdania.

- Jesteśmy gotowi, Jess! - krzyknęła Judith. - Chodź w naszą stronę i zatrzymaj się przy tej wiśni.

Wepchnęłam skrypt do tylnej kieszeni dzinsów.

- Tylko wytrę nos! - odkrzyknęłam. To mi da dodatkowo dwadzieścia sekund, żeby się uspokoić, zanim usłyszę: „Akcja!”. Wyjęłam chusteczkę i dmuchnęłam z całej siły. Serce waliło mi jak młot, miałam sucho w ustach, ręce mi się trzęsły.

Nie zrobię tego, nie uda mi się, chodziło mi w kółko po głowie, jak jakaś upiorna mantra.

- Wszystko w porządku?

- Tak, jeszcze chwileczkę.

Co robić? Wskoczyć do samochodu i odjechać pełnym gazem? Powiedzieć Judith, że zaszła straszna pomyłka i że się do niczego nie nadaję? Wmówić im, że jestem pogrążona w zbyt głębokiej rozpacz, by pracować? Zasyмуляwać atak serca?

Nie, nic z tych rzeczy. Biegając jak oszalały ze strachu królik, we wnętrzu własnej czaszki napotkałam mur. Ten sam, na który natknęłam się po śmierci rodziców, kiedy zrozumiałam, że nigdy więcej nikt mi nie poda do łóżka gorącej czekolady i rogalików. Nikt mnie nie ocali, nikt nie ułoży za mnie mojego życia. Jeśli stąd ucieknę, Martin nie pozwoli mi o tym zapomnieć. Ta praca to żadne tam fanaberie sfrustrowanej żony człowieka sukcesu, która ma dosyć pichcenia obiadków i chce sobie i jemu udowodnić, że stać ją na coś więcej. Ta praca to jedzenie dla moich dzieci, spłaty domu, który kochają to ubrania dla nich i dowód, że jestem odpowiedzialną matką. Nie mam wyboru. Muszę to zrobić. Nerwy to dziecinny luksus, na który mnie nie stać.

Serce się uspokoiło, dłonie nie drżały. Myśli były wręcz nieprzyjemnie jasne.

- Przepraszam, jestem gotowa.

-Dobra... A więc!

Ruszyłam, odprężona i uśmiechnięta. W myślach błyskawicznie przeredagowałam mój tekst, żeby był dowcipny i spójny zarazem. Zatrzymałam się przy wiśni. Wyrecytowałam wszystko jak z nut. Żadnej wpadki. Jedno ujęcie.

Cięcie.

- Nie wiem, czemu się denerwowałaś - stwierdził Rob. Poklepał mnie po plecach. Rezerwa zniknęła z jego uśmiechu. Widziałam prawie myśli jego i Steve'a: „W domu jeszcze przed meczem, bomba!”.

Kiedy Bono i Basil uznali, że nie nadajemy się na lunch, wywiad poszedł gładko. Psy zachowywały się bez zarzutu, a Janice była wdzięcznym rozmówcą. Judith chciała także zrobić kilka ujęć samych psów, więc Janice i ja mogłyśmy sobie uciąć krótka pogawędkę. To nieodzowna część pracy, sprawiać, by bohaterowie programu dobrze się czuli.

- Od dawna hodujesz psy, Janice?

- Tak, ale nie brytany. Les i ja mieliśmy jamniki, nasze dzieciaczki. Spójrz. - Wyciągnęła rękę w stronę kominka i ściągnęła z gzymsu fotografię w połączanej ramce. Przedstawiała Janice w tym samym beżowym dresie i niskiego, lekko łysiejącego faceta. Każde z nich trzymało coś, co wyglądało jak gigantyczna parówka z obwisłymi uszami.

- To Les, mój mąż. Odszedł ode mnie.
- Jezu, naprawdę? - Nie mogłam opanować zdumienia. Powiedziała to takim tonem, jakby to się stało zaledwie wczoraj.
- Sześć lat temu. - Wyciągnęła chusteczkę z kieszeni i ścisnęła ją niemiłosiernie. - Uciekł z dziewczyną z biura. Był szoferem w kamieniołomach, ona pracowała w biurze, gdzie im przydzielają zlecenia. Pewnego wieczoru nie przyszedł na kolację. Zrobiłam akurat kotlety jagnięce, jego ulubione. Mieszkają w Kent. Napisał do mnie.
- A jamniki? Co się z nimi stało?
- Po tym, jak odszedł, nie mogłam ich znieść. Uśpiłam je. - Odstawiła zdjęcie na miejsce akurat kiedy wróciła Judith.
- To wszystko, Janice. Czas na nas. - Pewnie, to najlepsze, co możemy zrobić, mając do czynienia z kobietą która kazała zamordować swoje dzieciaczki, bo jej mąż czmychnął z inną.

Ludzie od lam, państwo Mardy, mieszkali niedaleko. Nowy dom na końcu rozjeżdżonej alejki, do którego dobudowano, bez ładu, składu i prawdopodobnie bez żadnego zezwolenia, kilkanaście przybudówek. Na ogród składały się nie wykończony basen i spory wybieg, po którym biegały dwie lamy. Wyglądały, jakby chciały nam coś powiedzieć.

Początkowo myślałam, że przez pomyłkę trafiliśmy na jakiś zjazd rodzinny. Wszędzie biegały dzieci w każdym możliwym wieku i zadziwiająco dużo dorosłych, odnoszących się do siebie z rodzinną poufałością. Okazało się jednak, że to normalne. Pan Mardy, Bob, był potężnym czerwonicym facetem. Im bardziej powiększała się rodzina, tym bardziej powiększał dom. Mówiąc rodziną mam na myśli także żony. Lamy były prezentem dla pierwszej żony, z którą zdążył się rozwieść.

- Kiedy to było, Marge?
- Ojej, nigdy nie pamiętam. W osiemdziesiątym pierwszym czy w osiemdziesiątym trzecim? Na pewno w nieparzystym, tym samym, kiedy mama miała operację.

Marge dalej tu mieszkała, podobnie jak trójka ich dzieci, i jeszcze dziewczyna na najstarszego syna i ich dziecko. Marge i Bob nadal świętowali rocznice ślubu.

- W sierpniu zeszłego roku minęło dwadzieścia pięć lat, tak, tak. Zobaczyłem te lamy na targu w Gosmore i zaraz pomyślałem: to jest to. Idealny prezent dla Marge na rocznicę.

Julie, pani Mardy numer dwa, nie miała nic przeciwko temu.

- Na naszą rocznicę kupił mi spódnicę u Marksa - oznajmiła z dumą. - Nietety, teraz nie pasuje. - Poklepała się po brzuchu w zaawansowanej ciąży.
- Ze mnie nigdy tyle nie wycisnęłaś, kiedy jeszcze byliśmy razem. - Były mąż Julie i jego dwaj synowie bliźniacy z innego związku także zamieszkiwali rezydencję Mardych.

Przyznam, że darowaliśmy sobie zgłębianie koneksji rodzinnych. Klan Mardych nie miałby nic przeciwko temu, ale brukowce nie dałyby im spokoju. Podkreśliliśmy więc srebrną rocznicę i przemilczeliśmy rozwód. Spędziliśmy u nich ponad godzinę, zostaliśmy na podwieczorku, na co usilnie nalegał Bob, a ja nadal

nie orientowałam się w zawiłościach tych wszystkich związków. Dotarło do mnie natomiast, że Bobowi zależy na ciągłości. Byli przecież z Margę małżeństwem. Nie miał zamiaru wyrzucić na śmietnik tylu lat.

- Wcale nie chciałem się z nią rozdzielić. Uparłem się więc, że jej nie stracę, nawet jeśli do tego dojdzie. To by była głupota - zakończył. - A gdyby chciała znowu się ochajtnąć, to się dobuduje nowe skrzydło.

Od razu poczułam się lepiej. Więc mój pomysł z umieszczeniem Martina i Dolores w pokoju gościnnym nie jest całkiem od rzeczy.

Mieliśmy nakręcić jeszcze reportaż o zonglującym wilczurze, ale Judith wymyśliła to sobie jako sekwencję z podkładem muzycznym, więc odwieźli mnie na parking przy Little Chef, gdzie zostawiłam samochód. Mogę wracać do domu. Jest wpół do szóstej, jeśli dam gaz do dechy, będę u siebie o siódmej. Zabrać dzieciaki od Kath, w domu o wpół do ósmej - akurat dam im kolację, poczytam bajkę i zrobię wszystko, żeby się nie czuli porzuceni.

Ledwie zaparkowaliśmy, wyskoczyłam, żegnając się tak szybko, jak tylko pozwalają zasady dobrego wychowania. Judith też wysiadła i szła za mną przez parking.

- David mi powiedział, w jakiej jesteś sytuacji - szepnęła współczująco, kładąc mi rękę na ramieniu.

- Nie okazuj mi współczucia, bo zacznę szlochać.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Dasz sobie radę. - Pewność w jej głosie działała mi na nerwy. Skąd niby blond mysz ze sztucznymi rzęsami ma wiedzieć, co czuję?

- Czyżby dar jasnowidzenia? - syknęłam i odsunęłam się szybko. Może to ją nauczy.

Nic z tego. Kilkakrotnie założyła włosy za uszy, zanim odezwała się ponownie. Uparła się postawić na swoim.

- Mąż mnie bił. Kiedy zaczął tłuc również dzieci, uciekłam. Przelaziliśmy przez płot, kiedy spał. Marcus i Ellen przeszli sami, Lucy siedziała mi na plecach. Mieliśmy tylko reklamówkę z ubraniami. Walczył o prawo opieki nad dziećmi ponad rok. Kiedy przegrał, czekał w samochodzie przed naszym domem i wykrzykiwał obelgi pod moim adresem. Pewnej nocy mnie zaatakował. Wtedy zdobyłam sądowy nakaz, że nie może zbliżyć się do dzieci. Teraz nasze kłopoty się skończyły.

- Przepraszam, Judith. Po prostu nie wyglądasz na osobę, która tyle przeszła. - Mąż, który odchodzi we łzach, to nic w porównaniu z tym, co ją spotkało. Poczulałam, że się czerwienię.

- Wcześniej zaczęłam. Zaszłam w ciążę mając piętnaście lat. Marcus jest w szkole średniej. Odeszłam od męża pięć lat temu, ale wydaje mi się, że upłynęło Bóg wie ile czasu. Pierwszy rok był koszmarny. Miałam ochotę umrzeć. Ale przetrwałam, podobnie jak ty przetrwasz, i wszystko będzie dobrze.

Popatrzyła mi prosto w oczy i spod centymetrowej warstwy Maxa Factora wyjrzała mądra, dojrzała, rozsądna kobieta.

Rozmyślałam przez całą drogę do domu. Tyle ludzkich losów, tyle smutku. Janice, która wiezie biedne jamniki do weterynarza. Bob Mardy na placu budowy, wytuczający przybudówkę dla Marge. Judith i jej dzieci szukające czystej bielizny w foliowej torbie. I Martin. Martin na drodze do domu. Ile razy zatrzymywał się na szczycie wzgórza i rozważał, czy nie zawrócić, zastanawiałam się. Jak wolno pokonywał ostatnie trzy mile? Może nie cierpi The Bangles, ale słowa ich piosenki są prawdziwe i w jego wypadku. Co z tego, że był silny, że był idealnym ojcem i mężem. Jaki to ma sens, skoro pragnął tylko być z inną? Z Dolores.

Nie płakałam. To było zbyt smutne i zbyt ludzkie. Ot, takie codzienne dramaty.

Dzieci, Bogu dzięki, czuły się doskonale u Kath. Kiedy przyjechałam, ciągle bawiły się na dworze, w szalasię z drewna i tektury. Na trawniku wałały się smętne resztki dwóch potężnych pizz, które z apetytem pałaszowały Suka i Sal, pies Kath i Gerry'ego. Popołudnie tutaj wydawało się pogodne i słoneczne, wieczór zaś prawdziwie letni. Kath ciągle była w pracy, a Gerry strzygł żywopłot i jak zwykle kłął przy tym na czym świat stoi.

- Nie mogę przestać - krzyknął na mój widok - bo Kaff obedrze mnie ze skóry.

- Dzięki, że zajęłeś się dziećmi.

- Żadna sprawa. - Przestał strzyć, odwrócił się na drabinie. - Jak poszło? Wyglądasz dużo lepiej.

- W porządku, Ger. Na szczęście nie wszystko zapomniałam. Na razie mamy na chleb.

- Super. O, coś mi się przypomniało. Kaff kazała zapytać, czy nie chciałybyś lokatora... wiesz, trochę kasy by ci się przydało, choćby na hipotekę, nie? Przyjeżdża do nich do hotelu nowy facet, kucharz jakiś czy co. Nie wiem, porozmawiaj z nią

- Lokatora? Ja? Chyba żartujesz! Musiałabym przestać paradować po domu nago!

- E, tam, brałybyś za to ekstra i tyle!

- Dobra, zadzwonię do niej. -

Zapakowałam dzieciaki do samochodu i pojechaliśmy do domu. Przyglądałam się im w lusterku. Na szczęście popołudnie na dworze, z przyjaciółmi, wyglądało wszystkie zmarszczki troski, wieczorne słońce złościło buziaki blaskiem zwykłego dzieciństwa.

Ćwierkali jak dwa wróble. Wysłuchałam, jak to budowali szalasię, jak walczyli pistoletami na wodę, jak Suka chciała się kochać z Sal (mój pies jest lesbijką, twierdzi prezenterka programu *Zwierzaki i ich ludzie*).

Spływałyśmy w dół wzgórza na wyłączonym silniku, mały hołd złożony mojemu ojcu; zawsze tak robił na większych wzgórzach, za każdym razem chichocząc szaleńczo. Kiedy żył, wkurzało mnie to strasznie, teraz sama to polubiłam.

Ulżyło mi. Byłam jak balon, który urwał się z uwięzi i pędzi ku przestworzom. Mogę pracować, jestem w stanie zarobić na dzieci. Nadal pragnę Martina, ale nie potrzebuję go. Może odejść. Albo wrócić.

- Popatrz, mamusiu, skosili pole! - Dan i Frankie przykleili nosy do szyby. - Możemy iść pobawić się na belach?

Falujący zielony ocean na polu naprzeciw domu zniknął. Morze roślin zmieniło formę, zwinęło się w potężne bele, wielkie okrągłe monolity turkus i szmaragdu. Ruszyliśmy ku nim po klującym rżysku.

Dzieciom przeszła ochota na wspinanie się, krążyły między nimi jak w transie. Bele emanowały majestatem, jak Stonehenge, odświętny nastrój udzielał się nam i uciszał nas. Przywarłam policzkiem do jednej z nich, zapatrzyłam się w plątaninę łądyg w każdym możliwym odcieniu zieleni, wdychałam słodki korzenny zapach.

Dan znalazł czarne pióro. Gawrony także tu były, na dnie zielonego morza. Zbierały gwałtownie obnażone życie, które zostało po zielonym odpływie.

Frankie znalazła dwa i zaraz zaczęła się między nimi rywalizacja. Wydawało się, że zepsuje tę uroczystą, niezmierną atmosferę, to poczucie, że chwilowo znajdujemy się poza rzeczywistością z dala od łez. Zaraz jednak Dan oddał swoje pióro Frankie, a ona wręczyła mu trzy następne, które zdążyła znaleźć.

- Czas do domu. - Nie protestowali. Frankie wzięła na belę, przysunęła twarz do mojej i podsunęła mi pod nos czarne piórko.

- Powąchaj, mamusiu! Pachnie lataniem!

Rzeczywiście, w powietrzu rozszedł się suchy zapach ptasiego ciała rozgrzanego słońcem.

Zeskoczyła na ziemię i pobiegła za bratem, a ja zatrzymałam się i zamknęłam oczy. Na chwilę odepchnęłam cierpienie - jeszcze jeden sznurek, jeszcze jeden balon - i ciepło pomyślałam o Martinie w cichy letni wieczór, przesycony słodkim, smutnym zapachem świeżo skoszonej łąki.

Rozdział dziewiąty

Wmiarę jak osiem dni zdjęciowych zbliżało się do końca, sytuacja stawała się coraz bardziej groteskowa. Na Boga, podobno tylko co czwarte małżeństwo kończy się rozwodem, tymczasem wszyscy, powtarzam: wszyscy, z którymi rozmawialiśmy na potrzeby programu, mieli za sobą co najmniej jeden nieudany związek. Czasami dwa. Mniej więcej trzydziestu właścicieli zwierzątek zawarło coś koło pięćdziesięciu małżeństw. Może te statystyki pokazują jak partnerzy reagują na zwierzę w domu, a może dowodzą jak ludzie reagują na rozstanie. Prawdopodobnie i jedno, i drugie: wychodzisz za hodowcę gołębi, zapalonego do tego stopnia, że pół domu przekształcił w gigantyczny gołębnik, a rozwodzisz się, kiedy nie chce nauczyć się grać w golfa. Przerzucasz się na hodowlę seterów, bo odkąd przysnął z sekretarką, masz dosyć zapaskudzonych mebli. Albo sprawiasz sobie osiem perskich kotów z obawy, że nikt inny nie ogrzeje ci łóżka.

Podczas tych kilku dni widziałam całą gamę rozwodów: od przyjacielskich po wrogie, od przegranych do zwycięzców, od pierwszego dnia do czterdziestu

lat w samotności. To była terapia wstrząsowa. Kiedy małżeństwo się rozpada, nikt nie wychodzi bez szwanku, zazwyczaj dochodzi do poważnych uszkodzeń ciała i umysłu. Rany niektórych krwawią nawet jeszcze dwadzieścia lat później. Ale wszyscy bez wyjątku zaczynają nowe życie. Nie takie samo, lecz równie złożone jak poprzednie.

W tej chwili nie mogę sobie tego wyobrazić w moim przypadku. Moje życie po Martinie wydaje się puste i jałowe, jak ziemia po wycięciu dżungli. W glebie nie ma nic, żadnych zapasów. Wszelkie bogactwa kryły się w żywej tkance roślin i zwierząt, krążyły w przyrodzie w odwiecznym cyklu życia i śmierci.

Ściąć dżunglę i nic nie wyrośnie na jej miejscu, najwyżej pole traw z garstką owadów, z zabłąkanym ptakiem. Nie ma mowy o różnorodności.

To jednak, że nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić, nie znaczy, że tak nie będzie. Nie jestem wyjątkiem, nie jestem inna niż pozostali. Nie widzę więc powodu, dla którego nie miałabym stanąć na nogi, jak tamci.

Może pewnego dnia odkryję w sobie powołanie do hodowania czarnych chomików, nauczę się robić koronki, zapiszę się do chóru i zabiorę dzieci na kajaki do Komwalii. Albo zafascynują mnie żółwie lądowe; nawiążę znajomości z innymi hodowcami i będziemy razem jeździć do Grecji, obserwować nasze pupile na wolności. Albo będę się spełniała ratując bezańskie psy, zaludnię dom czworonożnymi kryminalistami i do końca życia będę śmierdziała mokrą sierścią.

Nic się nie umywa do wychowywania dzieci z ich ojcem, mężczyzną którego kochasz. Ale zawsze to życie, tylko nie takie, jakie planowałam.

Tak brzmiała moja prywatna mantra przez miniony tydzień: „Nie tak to planowałam”. Może powinnam napisać w testamencie, żeby to umieszczono na moim nagrobku. Teraz już nic, absolutnie nic nie dzieje się tak, jak planowałam.

A już z całą pewnością nie w piątek, ostami dzień zdjęciowy. Mieliśmy nakręcić wszystkie łączniki, króciutkie kawałki, które łączą program w spójną całość. Łączniki tak naprawdę nie mają sensu; przecież kiedy czytasz tygodnik, nie ma żadnych łączników, przewracasz stronę i już. Na końcu przepisu na lody malinowe nie znajdujesz żadnych kitów, jak to ten przepis łączy się z artykułem o miłości francuskiej na drugiej stronie. Chociaż akurat w tym wypadku związek jest raczej oczywisty. Tak więc łączniki są zbędne, ale ludzie z branży telewizyjnej przepadają za nimi, nalegają na nie i w ogóle zachowują się, jakby ich życie zależało od tych cholernych łączników. Jest to szczególnie uciążliwe dla ludzi w mojej sytuacji. Programy popołudniowe lecą jeden za drugim, wciska się tam co popadnie, i jedyną szansą na nadanie im jakiejś takiej spójności jest postawienie przed kamerą mnie albo innej idiotki, aby kazać jej pleść bzdury, że niby dwa zupełnie odmienne tematy mają bardzo dużo wspólnego.

Zatem w ostami dzień zdjęciowy mieliśmy nakręcić trzydzieści sześć łączników. Albo i więcej, bo Judith nie zdecydowała jeszcze, czy zonglujące owczarki alzackie umieścić w pierwszym odcinku, czy w drugim, i gdzie wsadzić panią dekorator wewnątrz z obsesją na tle zab drzewnych (i trzecim mężem): przed policjantem z olbrzymim pytonem w piwnicy (żona odeszła przed sześcioma tygodniami) czy przed listonoszem (ukochany rzucił go w zeszłym roku).

Judith wymyśliła sobie, że nakręcimy te łączniki w szpitalu dla zwierząt, prowadzonym z funduszy podatników. Pewnie sądziła, że zastaniemy tam śliczne małe kotki z symbolicznym rozczulającym opatrunkiem na jednej łapce i właścicieli, ze łzami w oczach czekających na pupili.

Lecznica tymczasem mieściła się w najgorszej dzielnicy. Posępne betonowe ściany wyrastały z morza puszek po piwie i zużytych igieł, gdzieś tam straszły puste witryny sklepów. To nie miejsce dla słodziutkich Mruczków z kolcem w łapce, o nie. Tutaj przytasma Conana po morderczej ulicznej walce z psim wydaniem Hannibala Lectera.

Powitał nas umęczony główny weterynarz (wyglądał jak człowiek, który sprzedałby duszę diabłu za miskę gorącej zupy) i pokazał zwierzęta, które mogliśmy wykorzystać do zdjęć: mały kociak bez sierści, za to z kolekcją czerwonych blizn, pitbull z oberwanymi uszami i bez oka, i chomik o figurze Barry'ego White'a .

Nie mogliśmy nakręcić wszystkich łączników z tłustym chomikiem, ale przynajmniej mieliśmy coś na początek. Było zbyt pochmurno, by kręcić na dworze, zresztą nie dałoby się ustawić kamery nie uwieczniając przy okazji śladów prochów. Rob i Steve ustawiali sprzęt w gabinecie zabiegowym, mamrocząc złowrogo pod nosem. Judith jak zwykle kręciła się jak fryga, mruczała do siebie i odhaczała coś różowym mazakiem.

Wdałam się w pogawędkę z Johnem, weterynarzem. Spokojny ranek, stwierdził, jak zwykle w piątki. Największy ruch jest w niedzielę, ludzie piją i, jak się wyraził, nie uważają na zwierzęta. W zeszłym tygodniu ratował kundla, którego owinięto w folię aluminiową i wsadzono do pieca. Nie ma nic przeciwko pracy w niedzielę. Wiedziałałam dlaczego, zanim mi powiedział.

- W domu jest pusto, odkąd żona odeszła.

Boże, czy na tym świecie nie zostało ani jedno szczęśliwe małżeństwo? Jakkolwiek by było, życie toczy się dalej, więc dyskretnie oszacowałam go wzrokiem: odpowiedni wiek, inteligentny, o dobrym sercu, ale maskuje łysinę resztkami włosów z niewiarygodną ilością brylantyny i pali dwie paczki dziennie, co nie ma najlepszego wpływu ani na cerę, ani na zęby. Odpada. Nic z tego.

Oświetlenie w gabinecie satysfakcjonowało Roba. John przyniósł chomika, ja przygotowałam się do wygłoszenia steku potencjalnie dowcipnych bzdur z głupkostatym uśmiechem na ustach.

Trzymanie chomika to niełatwa sztuka. Odnosisz wrażenie, jakbyś miała w ręku woreczek pełnych energii paciorków. Ścisniesz za mocno i znieruchomieje na wieki; nie dość mocno i zaraz powędruje poza zasięg kamery, na moje ramię, na podłogę, albo zacznie się miotać tak energicznie, że widzowie natychmiast zaczną dzwonić do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. W końcu go poskromiłam. Biedak mało nie pękł ze złości, ale przynajmniej siedział spokojnie i patrzył prosto w kamerę. Niestety, był to najgorszy możliwy sposób trzymania chomika. Pod koniec zaledwie drugiego łącznika ugryzł mnie. A zęby gryzoni są niczego sobie, przegryzają bez trudu drewno i skórę, więc taki miękki palec to nic wielkiego. Fatalnie znoszę wszelki ból, zwłaszcza taki nieoczekiwany, więc wyrwałam rękę z reflekssem, którego nie powstydziliby się Damon Hill. Byłam tak szyb-

ka, że chomcio nie zdążył wycofać zębów. Gdyby nie puścił w ogóle, wszystko skończyłoby się dobrze. Pewnie bolałaby go szczeka, ale dodatkowa marchewka ukołaby ból. On jednak puścił akurat kiedy moja ręka zataczała szeroki łuk i z wielką szybkością poszykował przez całe pomieszczenie, prosto w ścianę.

Wierzę święcie, że nie cierpiał. Śmierć nastąpiła natychmiast. Nie mam więc wyrzutu sumienia, że przestaliśmy kręcić i śmialiśmy się na całe gardło przez dobrych dziesięć minut. W gabinecie nie było okien, nie było więc i świadków.

W końcu podniosłam go z podłogi, bezwładnego jak szmaciana lalka, poza tym w doskonałym stanie. Nie było po nim niczego widać, tylko ślepia miał zamknięte.

- Wygląda jakby spał - stwierdził Rob.

- Nikt się nie pokapuje - dodał Steve.

- Przytrzymaj go, o tak, żeby było widać tylko łapki i pyszczek - poradziła Judith. - O, świetnie. Rob, gotów? No to akcja!

Nakręciliśmy dziesięć łączników z martwym chomikiem. Potem dyskretnie umieściłam go w jego klatce, na kopce siana.

Popelniliśmy przestępstwo doskonale, ale nadal nie mieliśmy zwierzaków przed kamerę. Już mieliśmy machnąć na to ręką pożyczyć królika ze sklepu zoologicznego i pójść z nim do parku, kiedy w lecznicy zjawił się potężny mężczyzna ze śladami wszystkich posiłków z ostatnich dziesięciu lat na swetrze i sporym pudłem kartonowym w dłoni.

- Macie szczęście - poinformował nas John. - To Jim, nasz stały dostawca. Ciągłe przynosi jakieś zwierzaki.

Stanęliśmy w bezpiecznej odległości i słuchaliśmy ich rozmowy. Nawet z odległości dziesięciu stóp docierał do mnie zapach Jima, złożony aromat alkoholu, moczu i jego pudełka, smród, który zdawał się przybywać wehikułem czasu z rynsztoków szesnastowiecznego Londynu. Jim bełkotał tak niewyraźnie, że nie zrozumiałam ani słowa z ich bardzo głośnej konwersacji. W jej następstwie Jim zostawił swoje pudełko, a John podał je nam z promiennym uśmiechem.

- Jeż - oznajmił. - Trochę zdenerwowany, ale poza tym bez szwanku. Może nawet się rozwinie, to sfilmujecie pyszczek.

- Super! - Judith ciągle zatykała sobie nos.

- Wiem, śmierdzi, ale to taka okolica - usprawiedliwiał się John.

Otworzyłam pudełko i wyjęłam jeża. Niewygodnie się go trzymało przez igły, ale nie było to bolesne. Miałam w dłoniach trochę niekształtną kulę, najeżoną kolcami. Rozwinął się odrobine, pokazał wąski elfi pyszczek. Z całej siły zaciskał oczy, jakby obawiał się kolejnego upokorzenia. Przednie łapki były niewidoczne, za to tylne znajdowały się tuż przy pyszczku, skrzyżowane jak ręce jogi. Ścisnął w nich długą różową parówkę.

Początkowo myślałam, że to jego ogon. Kiedy jednak podniosłam go do kamery, dotarło do mnie, że to członek. Biedne przerażone stworzonko kurczowo ścisnęło swój największy skarb.

Nie skomentowałam tego głośno. Uznałam, że występowanie w telewizji publicznej w towarzystwie martwych gryzoni i onanizujących się jeży jest poniżej mojej godności.

Koniec końców nakręciliśmy ostatnie łączniki z kotkiem z pralki. Owinęliśmy go włochatym koczykiem i filmowali w taki sposób, że nie było widać blizn. O ósmej skończyliśmy.

Nie było czasu na drinka na zakończenie, nie zdążyliśmy się nawet porządnie pożegnać. Nie czuliśmy się bezpiecznie wśród zużytych strzykawek, a zdjęcia przedłużyły się o dwie godziny. Obiecałam dzieciakom, że odbiorę je o siódmej. Wskoczyłam do samochodu myśląc tylko o tym, by jak najszybciej dostać się do domu.

Dopiero w połowie drogi przypomniałam sobie o Martinie. Przez cały dzień nie pomyślałam o nim ani razu. Cały dzień bez łez. Cały dzień remisji.

Dzieci były u Jo. Dałam sobie spokój z ignorowaniem faktu, że Jo i ja mamy wiele wspólnego, odkąd pewnego ranka w zeszłym tygodniu oderwała mnie od drzwi mojego samochodu, gdzie szlochałam w nagłym przepływie rozpaczy.

- Masz z kim pogadać?

- T a k .

- Co prawda nie znamy się, ale nasze dzieci sobie pomagają.

- Może powinnyśmy pójść w ich ślady?

Stać mnie było tylko na skinięcie głową nie mogłam mówić przez łzy.

- Dzięki.

- Mam piątki wolne. Może odbiorę Dana i Frankie ze szkoły? Wpadniesz po nie po pracy i zostaniesz u mnie na kolacji.

- Bardzo chętnie.

- A zatem w piątek?

- Dobrze.

- Więc do zobaczenia. I głowa do góry.

Odprowadzałam ją wzrokiem: drobna tleniona blondynka w kostiumie a la stewardesa, w białych pantoflach na obcasie. Z jej torebki wystawał „Mirror”. Poczuałam się, jakby starsza siostra właśnie uratowała mojego pluszowego misia przed utonięciem, i jednocześnie kolejne uprzedzenie klasowe zasnęło snem wiecznym.

Dotarłam do Jo po dziewiątej. Otworzyła drzwi w szlafroku i kapciach.

- Nie przepraszaaj. Byli grzeczni jak aniołki, ale bardzo zmęczeni, więc położyłam je spać. Przyjedziesz po nie rano.

- Nie mogę, Martin je zabiera z samego rana.

- Więc niech po nie przyjedzie do mnie. Dzięki temu nie musisz się z nim spotkać.

- To nie fair wobec ciebie. Nie chcę cię w to wciągać.

- W co? Nie znam go, raz czy dwa zamieniliśmy kilka słów.

- No dobrze, jeśli ci to nie przeszkadza... - Stałam w otwartych drzwiach, przestępując z nogi na nogę. Gryzło mnie poczucie winy, że powierzyłam moje dzieci osobie, którą ledwo znam.

- Wejdz, Jess. Siadaj, napijemy się.

- No, dobrze.

Usiadłyśmy przy stole kuchennym z butelką wina i paczką papierosów.

- Nie palę - wyjaśniła - to znaczy normalnie. Ale teraz nic nie jest normalne.

- Ja też nie palę. Normalnie.

Jo wlała niemal pół butelki do wielkiej szklancy.

- Masz, wypij to i opowiedz mi o sobie i Martinie.

Nie mogłam się oprzeć tak bezpośredniej zachęcie. Upiłam dwa łyki i zaczęłam mówić.

Postępowałyśmy bardzo metodycznie. Piłyśmy. Paliliśmy. Rozmawiałyśmy. Wymieniały się wspomnieniami. Płakałyśmy na zmianę, podawałyśmy sobie chusteczki i przypalały następnego papierosa.

- Widuję go niemal codziennie - mówiła Jo. - Ma nawet taką naklejkę na samochodzie: Mike i Melanie. Niejestem w stanie opisać miny Andrew, gdy ich mijamy w drodze ze szkoły.

Ciekawe, co ja bym zrobiła, gdybym dzień w dzień widywała Martina z Dolores? Pożyczyłabym od Jamesa dubeltówkę i załatwiła sprawę po pierwszym tygodniu? Nic dziwnego, że Jo nadal wygląda jak żywy trup.

- Dlaczego wciąż chcesz, żeby wrócił?

- Nie wiem. Straszny z niego drań, tańczył na stole z dziewczyną o połowę od niego młodszą. Wracalam od matki i zobaczyłam ich w świetle reflektorów, robili to w budce na przystanku autobusowym. - Pokręciła głową. - Mimo to nie mogę przestać go kochać. Nie mieści mi się w głowie, że go nie odzyskam.

Nie miałam serca powiedzieć jej, że stупięćdziesięciokilowy facet w czerwonej satynowej koszuli rozpiętej po pępek to towar nie do odzyskania. Jej nadzieje są równie płonne jak moje: po prostu nikt nie chce mnie deprymować tłumacząc, że mając do wyboru żonę w kaloszach, z dwójką rozpuszczonych dzieciaków, i kochankę w koronkowej koszulce, bez obciążeń oprócz masy rudych włosów, Martin musiałby postradać zmysły, żeby wybrać mnie.

Świadomość beznadziejności naszej sytuacji sprawiła, że znowu zaczęłam szlochać.

- Jestem jak ty, Jo! - chlipnęłam. - Nie mogę o nim zapomnieć.

Wzięła mnie za rękę. Miała ładne, smukłe dłonie, skromne pierścionki na każdym palcu. Takie delikatne i kobiece, akurat w typie mężczyzn takich jak Mike. Drań.

- Wcale nie musisz o nim zapominać - powiedziała. - Potraktuj to jako sytuację przejściową. Po prostu chwilowo nie możecie być razem. Tylko chwilowo. Dzięki temu jakoś się trzymam.

Przez ostatnie tygodnie, gdy tonęłam w morzu rozpacz, przyjaciele rzucali mi rozmaite przedmioty: zdjęcia, dubeltówki, noże, kolorowe wstążki, dziecięce buciki. Dopiero jednak „tylko chwilowo” okazało się kołem ratunkowym. Małym, ale na tyle wypornym, że utrzymało mnie na powierzchni.

Siedziałam w milczeniu, oddychałam głęboko, rozkoszowałam się powietrzem, zamiast wodą w płucach, i powtarzałam jak papuga: „Tylko chwilowo, tylko chwilowo”.

- Masz, wytrzymaj sobie oczy i zapal papierosa. Mówią ci, przetrzymasz wszystko, wierząc, że to przejściowe. - Puściła moją dłoń i kokietyrnie odgarnęła włosy z twarzy. - Nawet bez seksu przez półtora roku.

- Półtora roku! Jo, to okropnie!

- Cóż, tyle czasu minęło, odkąd Mike odszedł. - Głęboko zaciągnęła się papierosem i opadła na oparcie fotela. - Bóg wie, Mike był dobry tylko w tym. Pewnie dlatego mała Melanie ciągle z nim jest. Dziewczynie w jej wieku wydaje się, że umarła i poszła do nieba. Mnie też się tak wydawało. - Trudno pogodzić wielki brzuch Mike'a i jego trzy podbródki z wizją superogiera, ale za zamkniętymi drzwiami sypialni dzieją się dziwniejsze rzeczy. Widząc mnie w ogrodniczce i słomkowym kapeluszu, nikt by nie zgadł, co robiliśmy z Martinem w szklarni.

- Obawiam się, że już nigdy nie będę się kochać, a minęło zaledwie sześć tygodni. - Obawiam się też, że w akcie najwyższej desperacji rzucę się na hydraulika albo zacznę uwodzić mężów moich przyjaciółek. Złapałam się już na stwierdzeniu, że Gerry ma ładne usta, i rozważaniu, czy tyłek Aleksa wygląda równie seksownie bez dżinsów co w nich.

- Nie bądź głupia, oczywiście, że będziesz. Faceci tylko na to czekają. Wybierz sobie kogoś i do dzieła.

- A czemu ty sobie nikogo nie wybrałaś?

- Bo chcę Mike'a. Nie mam ochoty na nikogo innego. - Zgasiła papierosa. - Ale nie uwierzysz, co może zdziałać wyobraźnia - dorzuciła. - Wirtualny seks. Może i nie spałam z Mike'em od ponad roku, za to poszłam do łóżka z każdym innym, na kogo miałam ochotę. Tutaj. - Popukała się w czoło. - Nawet nie przypuszczałam, że takie świństwa chodzą mi po głowie. - Zachichotała.

- Z kim? Z kimś, kogo znamy?

Zarumieniła się.

- Nie z Martinem. Nie fantazjowałaś o Martinie, prawda?

- Skądże. - Miała taką minę, jakbym zaproponowała zapasy w błocie jako najlepszy sposób na sobotnie popołudnie. Nie udawała: Martin się jej nie podobał! Ani odrobinę!

- Nie zrozum mnie źle. To pewnie fajny facet, ale nie w moim guście. - Sądząc po jej minie, niemal się nim brzydziła.

Zamurowało mnie.

- Nie jesteś zła? No, że na niego nie leczę?

- Co ty? Jestem zachwycona. Byłam święcie przekonana, że każda kobieta o nim marzy. Myślałam, że może mieć każdą. Że miałam szczęście, bo wybrał akurat mnie. Wydawało mi się, że w porównaniu z nim jestem brzydka i pospolita. To fantastyczne uczucie dowiedzieć się, że ktoś uważa go za brzydaka. - Wiadać było, że Jo nic nie rozumie. Ja chyba też niewiele, w każdym razie ulżyło mi. Lżej nosiłam się na falach. - No dobra, jeśli nie Martin, to kto?

- Och, no wiesz. Aktorzy. Tom Cruise.

- Za mały.

- O, nie, nie w jacuzzi. Jest nawet całkiem... duży.

- Jo!

- Wiesz, jeśli uprawiasz z kimś seks, myślisz o... najdrobniejszym szczególe!

- Kto jeszcze?

- Facet z *Between the Lines*, wiesz, z tego serialu.

- Wiem. Za gruby.

- Och, wiesz, lubię facetów przy kości. - Zdążyłam się już domyślić. - Związałam go. Przywiązałam do wezglowia mosiężnego łoża.

- Tylko dwóch? Kto jeszcze?

- Wiesz, gdzie jest taka mała stacja benzynowa za miasteczkiem? W weekendy pracuje tam taki chłopak. Młodziutki, ma może z siedemnaście lat, chudy, blondynek.

- Zdawało mi się, że lubisz mężczyzn przy kości.

- No, owszem, ale on ma takie oczy. Duże i niebieskie. I długie nogi. I wygląda tak niewinnie.

- A ty wyobrażasz sobie, że go wszystkiego uczynisz, tak?

Ze śmiechu zakrztusiłyśmy się dymem. Kiedy w końcu przestała kaszleć i pluć, Jo zwróciła się do mnie:

- A ty? O kim marzysz?

- O nikim. Nie mam odwagi.

- Jak to nie masz odwagi?

- Ilekroć próbuję myśleć o seksie, koniec końców okazuje się, że kocham się z Martinem, a o nim akurat nie chcę myśleć. Więc w ogóle nie myślę o seksie.

- Więc może na początek potrzebne ci autentyczne przeżycie, żeby uruchomić wyobraźnię. Do roboty, w weekend ruszaj na podbój.

Kiedy osuszyłyśmy drugą butelkę, nie byłam w stanie wyruszyć gdziekolwiek, co dopiero na podbój. Najchętniej zasnąłabym na podłodze, w ubraniu, zwinięta w kłębek, ale Jo ma wysoce rozwinięty instynkt macierzyński. Pościeliła mi na kanapie, dała nawet koszulę nocną w pączki róż, z koronkami, czyściutką pachnącą obcym proszkiem do prania. Znowu poczułam się jak pod opieką starszej, mądrej siostry.

Obudziłam się o dziewiątej z metalową obręczą na głowie i z robalami pod skórą. Martin już jedzie, miał zabrać dzieci o wpół do dziesiątej. Może nawet czeka przy drzwiach kuchennych. Przechadza się tam i z powrotem, a zdenerwowanie rozmnaża się pod jego blond czupryną jak salmonella pod skorupką jajka.

Ręce mi drżały na myśl o jego dezaprobacie, gdy do niego dzwoniłam. Co powie na wieść, że ma odebrać dzieci z domu, w którym nigdy nie był? O takiej zmianie planów w ostatniej chwili? Nie, nie było mi wstyd, że mnie przyłapie, że wypijałam zbyt dużo, by wrócić do domu. Ja się bałam, naprawdę bałam, jakby zmienił się w gwałtownego, agresywnego drania z tatuażem na prawej i kastetem na lewej dłoni.

Odłożyłam słuchawkę, zanim rozległ się pierwszy sygnał. Nie byłam pewna, czy dam radę wykrztusić choćby słowo. Dzieci już wstały, słyszałam, jak skradają

się na paluszkach. Odsunęłam zasłony, wpuściłam światło. Słoneczny, jasny dzień, bez deszczu. Dziewiąta dziesiąta. Muszę do niego zadzwonić. Im później to zrobię, tym bardziej będzie wścickły.

Oparłam dłonie o parapet, żeby przestały dygotać. Czego się, do cholery, boję? Co on może mi zrobić? Przyniesie ze sobą piłę mechaniczną? Uderzy mnie przy dzieciach? Ani jedno, ani drugie nie jest w jego stylu. Co powie? Nieważne, nic nie będzie gorsze od „odchodzę”.

Kwadrans po dziewiątej. Najwyższy czas zadzwonić. Sięgnęłam po słuchawkę i w tej chwili Dan wbiegł do salonu.

- Za dziesięć minut tatuś po nas przyjedzie. Dzwoniłem do niego z pokoju Jo.

- Był? Były?

- Zły? Nie. Dlaczego?

- Och, nie wiem sama.

- Mamo, przywiozłaś mi czyste skarpetki?

- Nie, nie byłam w ogóle w domu.

- Jak to? Nawet nie wyszłaś z Suką?

- O Boże. Zapomniałam.

- Mamo!

- Pojadę od razu. Podziękuj Jo w moim imieniu. Powiedz Frankie, co się stało. Pozdrów tatusia. Na razie, skarbie.

- Na razie.

Odbija mi, to jasne jak słońce. Paranoja. Zero czystych skarpetek, a w domu biedna Suka umiera z pragnienia i nacisku na pęcherz.

W drzwiach tkwiła karteczka.

„Piątkowy wieczór. Gdzie jesteś? Chyba nic się nie stało? Zabraliśmy Sukę. Szczekała. Oddamy ją jutro. Korespondencja na stole. Suka zeżała jedną koperkę. Całusy. Kath”.

Na stole kuchennym stał także słoiczek smakowitej konfitury truskawkowej: idealnie kształtne owoce zawieszzone w przezroczystej galaretkę. „Jedziemy na weekend do Sussex” - przeczytałam na karteczce przyklejonej do słoiczka. „Zapomniałam ci to dać w zeszłym tygodniu. Do zobaczenia, M”. Mądra kobieta z tej Mary. Zostawia mi wiadomości w moim własnym domu, żeby pokoje stały się mniej puste, nie tak bardzo spragnione rodziny.

Chris nagrał się na sekretarce automatycznej.

„Przygotuj dla mnie hoże wiejskie dziewczę. Przyjeżdżam w sobotę wieczorem z dużą ilością jedzenia i picia. Zdobyłem nowe zlecenie, kupa szmalu. Teraz nie masz wymówki, musisz za mnie wyjść”.

W poprzednim życiu byłam pewnie świętym Franciszkiem z Asyżu albo Matką Teresą, że zasłużyłam sobie na takich przyjaciół.

Stalowa obręcz nie ścisnęła już tak mocno, larwy wycofały się. Wysłałam na dwór z kawą i nadszarpniętą psim zębem korespondencją. Jękliwy list z banku i umiarkowana aprobata dla osobistego konta. I zaproszenie na ślub, od kochanej

Josie o rubensowskich kształtach, Josie o pełnych piersiach i wiecznie rozczochranych włosach, naszej sekretarki na planie *Mr Bounce 'a*. Do zaproszenia dołączona była króciutka notatka na różowym papierze: „Szewc bez butów chodzi... Zgubiłam twój adres, niedawno dopiero go znalazłam. Mam nadzieję, że przyjdiesz, chociaż to już niedługo. Całuję, J.". Cała Josie, zorganizowana, ale w ostatniej chwili. Wychodzi za jakiegoś gościa o pretensjonalnym nazwisku, w wiejskim kościółku, przyjęcie odbędzie się u jej rodziców.

Zaproszenie było tylko dla mnie, o Martinie ani słowa. Mały plotkarski świątek to czasami doskonała instytucja. Niestety, mój żołądek zbuntował się na sam widok słowa „ślub”, tego rodzaju imprezy to nie jest najlepsze miejsce dla rozwódki *in spe*. Z drugiej strony, powszechnie wiadomo, że na weselach właśnie najprościej poznać wolnych Mężczyzn do Wzięcia, sobowtóry Hugh Granta. Całe tabuny. Jeśli zacisnę zęby i przetrwam uroczystość, wszystko będzie dobrze. Może nawet lepiej niż dobrze, może będzie super. Zobaczę się ze starymi znajomymi. Zrobię się na bóstwo. Powinam iść. Lepsze to niż rzucić się na hydraulika.

Odłożyłam listy na bok i zamknęłam oczy, by rozkoszować się słońcem. Ostatnio byłam bardzo zabiegana. Rano do pracy, podziwiać genitalia brytanów, potem do domu, znosić złośliwe uwagi dzieci. Nie myślałam w ogóle o weekendzie. Czekają mnie dwa puste dni, dwie doby pustego domu i ogrodu, ale nie miałam nic przeciwko temu. Podobało mi się, że mam wybór, że jeśli chcę, mogę rozmawiać tylko z roślinkami, walczyć z kosiarką przeklinać pokrzywy.

Poszłam wypuścić kury. Powitały mnie głośnym gdakaniem; widać robiły mi wyrzuty, że w taki piękny ranek przychodzę tak późno.

Ogród był zielony i mokry, piękny mimo zarośniętego trawnika i zapuszczonych nieco grządek. Tu, na dworze, zawsze był mój świat, nigdy Martina. Mój ogród i ja.

Trochę pomęczyłam się z kosiarką potem mocowałam się z chwastami, wyrwałam pokrzywy, przycinałam kwiaty. Zapędziłam się aż pod ogrodzenie; skulona pracowałam wśród wysokich łądyg, obserwowałam zaafelowane żuki. Wtedy przyjechała Kath.

Szła przez trawnik, ciągnąc za sobą ogon w postaci płataniny dzieci i psów, ucieleśnienie tego, od czego w ten weekend udało mi się uciec.

Chłopcy dopadli mnie pierwsi. Stanęli na krawędzi pierwszej rabatki, jakby to był strumyk. Przeszli ostrą treseturę, jeśli chodzi o ogrody. Kath grozi im karą śmierci za pilkę w kwiatach.

- Popatrz, Jess! Tata nas ostrzygł. Mówi, że wyglądamy super - oznajmił Louis, sześciolatekni *macho*. On i Joe mieli już letnie fryzury, czyli czarnego baranka. Z ciemnymi oczami Kath wyglądali jak młode foczki.

- Dlaczego klęczysz? - zainteresował się Joe.

- Modłę się, żeby Pan Bóg zesłał ptaka, który zje wszystkie robaki.

- Aha. - Joe przyjmował takie odpowiedzi bez mrugnienia powieką.

- Idziemy na wystawę. Wybierzesz się z nami? - Louis odchyła się lekko do tyłu, kiedy mówi, jak gruby radny, który wsadza kciuki do kieszonek kamizelki. W wykonaniu chudego sześciolatka daje to bardzo komiczny efekt.

- Nie wiem. A chcecie, żebym z wami poszła? - Wobec nieobecności Dana i Frankie, dla których musiałabym być matką, mogłam zachować się inaczej niż zwykle, wrócić do czasów sprzed macierzyństwa, pozwolić sobie na odrobinę anarchii.

- Taa! - odparli chórem.

- Dobra, tylko zdejmę kalosze.

Zdyszana po szarpaninie z dwoma splątanymi psami, Kath podeszła do mnie.

- Jak się masz?

- Nieźle. Za dwa tygodnie jadę na wesele.

- Uważasz, że to dobry pomysł?

- Czemu nie? Może mnie ktoś przeleci?

- Co to znaczy: przelecieć? - zainteresował się Joe.

- To coś, czego kury nie potrafią. O właśnie, kury. Zobaczcie, czy czegoś nie nabroiły.

- Dobra! - Jako że Kath nie hoduje drobiu, moje noski stanowią dla nich nieustanną atrakcję.

- Z kim?

- Sama. Muszę się do tego przyzwyczaić, prawda?

- Och, Jess.

- Nie zaczynaj, bo znowu się rozkleję.

- Dobrze. Słuchaj, Gerry pracuje, a my idziemy na wystawę Hallerton. Podobno w tym roku jest naprawdę ciekawa. - Widząc, jak tęsknym wzrokiem spoglądam na grządki, wyciągnęła asa z rękawa. - Słyszałam, że w tym roku mają wyjątkowo duży dział drobiarski.

- Dobra, idę z wami. Ale pod warunkiem, że wieczorem wpadniecie z Gerym na żarcie i picie. Chris przywiezie i jedno, i drugie.

- Fajnie, nie mieliśmy żadnych planów. Nie widziałam Chrisa od strasznie dawna.

- Zadzwońię do Sarah i Alexa, niech też wpadną. I do Jo, a potem pojedziemy na wystawę. Nawet mam ochotę popatrzeć na świnię medalistki.

Na dużych wystawach zwierząt domowych pełno jest stoisk z nowinkami technicznymi dla gospodyń domowych, przedstawicielstw firm produkujących sprzęt rolniczy i kafejek. Zwierzętom zostają białe namioty gdzieś na tyłach wystawy, na której mieszczuchy upijają się w tej imitacji wsi.

Na wiejskich imprezach, jak w Hallerton, zwierzęta stanowią główną atrakcję, a jedyna instytucja, która ma cokolwiek wspólnego z wielkim biznesem, to sala zabawy w małych piłeczkach, gdzie szaleją dziesięciolatki, których mamy zawodowo startowały w zapasach. Do Hallerton ściągają ludzie, którzy uważają smycz za narzędzie tortur i najchętniej prowadziliby psy na jedwabnych wstążeczkach.

Kath i ja chodzimy na takie wystawy, żeby podziwiać zwierzęta i marzyć o dniu, w którym dochowamy się własnego stadka owiec, chlewu ze świnkami i może

jeszcze jednej krowy. Co roku wybieramy zwierzęta naszych marzeń i co roku dzieci prawie namawiają nas na zakup jakiegoś tyle słodkiego, ile nieprzydatnego stworzenia, które zmieniłoby nasze ogródki w jałowy ogór.

Louis i Joe znaleźli zwierzęta marzeń jako pierwsi. Stado kóz z Szetlandów. Malutkie, dzikie, bez ociążałości charakterystycznej dla większych ras, wtykały nam w dłonie aksamitne nosy.

- Jakbym dotykała waszych główek, chłopcy - stwierdziła Kath.
- Danowi by się spodobały - zauważył Joe.
- Tak, chyba tak. - Dan byłby zachwycony, pewnie. Frankie również.
- Gdzie oni są? - zainteresował się Louis.
- Louis! - syknęła Kath.
- C o ? Ja tylko...
- Nie ma sprawy. Są z tatą. Z Martinem.

- A, tak. Przepraszam. - Joe kopnął go nie podnosząc głowy znad owieczek, a Louis nawet nie oddał. Nagle zrobiło mi się smutno. Poczułam się niepotrzebna, ot, dodatek do cudzej rodziny.

Nie dałam się rozpaczy podczas konkursu na najpiękniejszą świńską parę i założyłam się z Joe, które wygrają: białe, o genitaliach zdumiewających rozmiarów, czarne, o szorstkiej, rzadkiej sierści, która kojarzyła mi się z łysiejącym czołem bankiera, czy czarne i błyszczące, których rasy nigdy nie mogę zapamiętać.

Niestety, wystawa przestała mnie bawić. Patrzyłam na wszystko z perspektywy dzieci i martwiłam się, że tyle tracą.

Kath domyśliła się, że źle ze mną kiedy zaproponowałam karuzelę zamiast stoisk z kurczakami. Czekaliśmy z innymi dorosłymi, podczas gdy dzieci szalały na trampolinie.

- Czemu nie chciałaś iść do kur? Przecież najbardziej cię to interesuje.
- Nie zniosę tego bez dzieciaków. Ciągle o nich myślę.
- Przecież w lecie pójdziemy z nimi na inne wystawy.
- Wiem, wiem, tylko się nad sobą rozczulam. Nie zwracaj na mnie uwagi.
- Zaraz pojedziemy do domu. Psy i tak już długo siedzą w samochodzie.
- A, rzeczywiście.

Przez całą drogę śpiewaliśmy we czwórkę głupie piosenki. Chociaż chcieli mi się raczej płakać, nie śmiać.

Kath podwiozła mnie do domu.

- Zajrzę na budowę, do Gerry'ego. Przyjdziemy koło wpół do ósmej, jeśli to nadal aktualne. Możemy przyjść bez dzieciaków.

- Nie, nie ma sprawy, Alex i Sarah przyjdą z Rosie, do tego dwójka Jo. Upiekę im pizzę albo coś w tym rodzaju. Muszę się przyzwyczaić, że czasami jestem bezdzielna, jeżeli Martin nadal będzie chciał widywać się z Danem i Frankie.

Ponownie zajęłam się pieleniem, ale ten akurat zakątek, który sobie upatrzyłam, porastały wyjątkowo uparte pokrzywy i inne chwasty. Parzyły mnie, czepia-

ły się włosów i ubrania. Kiedy cały ogród wydał mi się wrogi, dałam sobie spokój i wróciłam do domu. Czas ciągnął się powoli.

Wymyślałam sobie zajęcia. Sprzątałam, szorowałam, gotowałam.

Dom wyglądał ślicznie, zanim zjawili się Kath i Gerry z chłopcami, Sarah i Alex z Rosie. Wszędzie było pełno kwiatów, w całym domu unosił się aromat domowego ciasta, wino się chłodziło, na stoliku już czekał dzbanek różowej lemoniady dla dzieciaków, zapach zielonego groszku i domowego jedzenia zabijał odór samotności.

Uśmiechałam się, żartowałam. I nie wylewałam za kołnierz. Prawie zawsze po alkoholu czuję się lepiej.

Chrisa prawie nie było widać, tak wielki bukiet tasczył przed sobą. Nie tyle bukiet, co arcydzieło kwiatarskie, zbiór gladioli w każdym możliwym odcieniu różu, od delikatnego, pastelowego, po mroczny cyklamen. To w jego stylu - pamiętać, że pomalowałam sypialnię na nowy kolor.

- Chris, są cudowne. Postawię je na parapecie. - Promieniał z dumy, widziałam, jak pojawiła się w nim promyczek nadziei. Kiedy go objęłam, przytrzymał mnie odrobinę za długi, odrobinę za mocno.

- Cudownie wyglądasz - szepnął mi do ucha. Męski oddech na mojej szyi. Może już czas, żeby Chris doczekał się czegoś więcej niż niewinnego całusa. Puścił mnie i przywitał się z pozostałymi. Wysłuchiwał pochwał kwiatów i promieniał. Chris odwiedza mnie rzadko, ale jeśli już, ma wielkie wejścia. Nie sposób go zapomnieć.

- Znam takiego faceta w Covent Garden, który mi wszystko załatwia. - Jakim cudem w jego ustach brzmi to tak, jakby opowiadał o ostrym seksie, a nie o kwiatkach za rozsądną cenę? - Zadzwońiłem do niego o piątej rano i mówię: „Dzisiaj potrzebuję najlepszy towar”. Słuchajcie, czemu nie pójdziemy do ogrodu? Znosi się na cudowny wieczór.

Zrobiliśmy to i wieczór rzeczywiście okazał się cudowny. Chris był w szczytowej formie. Tryskał optymizmem po podpisaniu lukratywnej umowy z niemieckim miesięcznikiem. Zabawiał nas opowieściami z Planety Moda, gdzie wszystko dzieje się na opak, jak w jakiś dziwnym lustrze. Już po opowieści o kwiatciarzu minęła początkowa sztywność.

Był w swoim żywiole. Przywiózł cztery butelki szampana Moet, wędzonego łososia i pieczywo z Harrodsa. Oto Chris w swoim najlepszym wydaniu, troskliwy, czarujący, podziwiany przez publiczność.

Na dworze z apetytem konsumowaliśmy smakołyki Chrisa. Siedziałam koło niego i ukradkiem patrzyłam na wystające kości policzkowe, rzymski nos, ciemne, lśniące włosy przyprószone siwizną. Bardzo przystojny, w rzeczy samej. I nawet nie taki niski, kiedy siedzi.

Akurat zabieraliśmy się za szampana, kiedy przyszła Jo. Kroczyła przez trawnik z rozpuszczonymi włosami, w długiej niebieskiej sukience. Była śliczna, dziewczęca i drobna jak lalka.

Zupełnie zapomniałam o niej i o dzieciach, więc przez następne pięć minut zapoznawałyśmy z Kath Angele i Andrew z chłopcami, ale wszystko poszło dobrze i zostawiłyśmy ich samych.

Szampan popłynął strumieniem. Alex i Gerry zapomnieli o bożym świecie dyskutując o gitarach, przy czym rozmowa polegała głównie na tym, że Gerry wymieniał Aleksowi tysiąc powodów, dla których ten powinien wydać więcej niż zaplanował. Gerry bardzo lubi rządzić cudzymi pieniędzmi.

Chris i Jo natomiast siedzieli nad butelką szampana, z kieliszkami w dłoniach, i wyglądali, jakby opowiadali sobie całe życie.

No, no, no, pomyślałam. Coś takiego.

Przez pewien czas ograniczałam się do roli gospodyni. Podawałam półmiski, dolewałam do kieliszków. Kath i Sarah porównywały głupotę szefów i ogólną strukturę kadrową swoich firm, więc nie musiałam z nikim rozmawiać.

W porządku, przekonywałam się. Nie tak, jak chciałam, ale w porządku.

I tak było, dopóki dzieci nie przybiegły z wrzaskiem przy wtórze dzikiego ujadania. Sądząc po zachowaniu Sal i Suki, nastąpił psi koniec świata.

- Krowy przelazły przez ogrodzenie! Są w ogrodzie.

Nie wiem, co zamierzaliśmy zrobić, ale wszyscy zerwali się na równe nogi i pognali za dom.

W bladym świetle zmierzchu biało-czarne krowy rasy fryzyjskiej wyglądały imponująco. Przelazły przez płot w zaroślach, chyba przez pomyłkę, bo zakładam, że krowy są zbyt głupie, by zrobić cokolwiek celowo, i teraz nie wiedziały, co ze sobą począć. Kręciły się niepewnie i stanowiły poważne zagrożenie dla namiotu dzieci i mojej szklarni. Zdawały się niezadowolone i lekko zdezorientowane.

Dzieci i większość dorosłych gwizdała na nie i wydawała najróżniejsze okrzyki zaczerpnięte ze starych westernów. Psy również nie wiedziały, co robić. Odniosłam wrażenie, że odwieczny psi instynkt pilnowania stada zanikł zupełnie, za to na jego miejscu pojawił się nowy genom, który kazał Sal i Suce gryźć nas w kostki u nóg w sytuacjach stresowych. Krowy powoli wpadały w panikę, co chwila potraçały się nawzajem. Jedna kopnęła drzwi do szklarni. Zadrżały. Po takiej ilości szampana nikt z dorosłych nie zachował dostatecznej przytomności umysłu.

Z wyjątkiem Jo.

- Nie wiedzą skąd przyszły. Straszycie je! - Starła się przekrzyknąć szczekanie psów i nasze kowbojskie okrzyki. - Idźcie stąd, ja się tym zajmę. I zabierzcie psy. - Ulżyło nam, bo mieliśmy dosyć bezskutecznych wrzasków. Jo zadarła dół niebieskiej sukienki, żeby łatwiej się poruszać w wysokiej trawie. Miała bardzo opalone nogi. - Chris! - krzyknęła. - Musisz mi pomóc.

Pół godziny później wrócili do nas, uparani błotem i trawą. Jacyś tacy zaróżowieni, zauważyłam. Ale takie są efekty ganiaania krów. Dlatego w dawnych czasach mleczarki cieszyły się takim powodzeniem.

- Strasznie stratowały trawnik - stwierdził Chris.

- Sąsiadka powinna naprawić płot - dodała Jo.

- Tak. - Chris obserwował, jak obciąga sukienkę. - Strasznie się namęczyliśmy, zanim załataliśmy dziurę.

Chris i ja siedzieliśmy w kuchni przy stole po wyjściu wszystkich gości. Poszli stosunkowo wcześniej ze względu na dzieci. Popijaliśmy gorącą herbatę zaprawioną brandy.

- Ona jest boska, Jess - zachwycił się Chris. - Ale nawet na mnie nie spojrzysz.
- Chyba jesteś ślepy. Gdyby nie my, rzuciłaby się na ciebie jak harpia. Powiedz, czym się zajmowaliście „łatając dziurę”?

- Pocałowałem ją i tyle.

- I twierdzisz, że nawet na ciebie nie spojrzysz?!

- No dobrze. Może masz rację.

- Pewnie, że mam. - I nagle rozwiązał się mój spokój i obojętność. - Przegapiłam okazję, tak?

- O co ci chodzi? - Właśnie, o co mi chodzi? „Właściwie mi się nie podobasz, Chris, ale teraz, kiedy jestem zdesperowana, może poszłabym z tobą do łóżka?”. O to mi chodziło. Ale przecież nikomu nie powiem czegoś takiego, zwłaszcza nie staremu przyjacielowi, który przychodzi z kwiatami i szampanem. Czemu nie trzymałam języka za zębami?

- Cóż, znamy się od dawna i bardzo cię lubię. I... - Na twarzy Chrisa widniała żałosna nadzieja. W jednej chwili zapomniał o Jo. Co ja najlepszego zrobiłam?

- Chcesz powiedzieć, że mam u ciebie szansę?

- Nie, to znaczy tak. To znaczy, nie chcę, żeby z mojego powodu nie ułożyło ci się z Jo. - Nie za cenę jednej nocy ze mną. Ale powiedziałam za dużo, było za późno. Odepchnął od siebie kubek i zerwał się na równe nogi szybciej niż zdążył powiedzieć „testosteron”.

- Nie ma się co układać. To nic w porównaniu z tym, co czuję do ciebie, Jess. Kocham cię od pierwszej chwili...

O cholera! Znowu ciepły oddech na szyi. Martin doprowadzał mnie do konsystencji galarety, dmuchając mi na kark.

O dziwo, Chris dobrze całuje. I ma cudowne ciepło w dłoniach, w palcach. Od razu przenikało przez moje ubranie. Wyszedł z wprawy i był rozkosznie nieśmiały, ale uczył się miłości dawno temu, a taka technika jest jak stare wino - kiedy osiągnie odpowiednią temperaturę, jest pyszne. Przez kilka szaleńczo rozpalonych chwil poważnie rozważałam noc z Chrisem, ot, jako środek zaradczy, żeby nie skończyć z hydraulikiem. I nagle pomyślałam o Jo, szlochającej w kuchni. Pamiętałam, jak lzy płynęły między pierścionkami na jej smukłych palcach. Być może między nią i Chrisem narodzi się coś trwałego, ale nic z tego nie wyjdzie, jeśli dam Chrisowi nadzieję, jeśli pomyśli, że się w nim zakochałam. Straci szansę w imię jednej nocy ze mną. Jako mój przyjaciel zasługuje na coś więcej. A ja sobie po prostu sprawię wibrator.

W tym czasie Chris zdążył ułożyć mnie na stole i rozsunąć mi nogi. Całował mnie. Rozpinał bluzkę. Jego usta na mojej szyi. Boże.

Złapałam go za ramiona i pociągnęłam do góry.

- Chris. Chris.

- C o ?

- W tej chwili bardzo, bardzo chcę, żebyś się ze mną kochał, ale jutro będę tego żałować.

- Wiem o tym. Nieważne. Tak długo na ciebie czekałem.
 - Jutro ty również będziesz tego żałował. Chris, jeśli pójdziemy do łóżka, nie będę więcej twoją przyjaciółką.
 - Popatrzył na mnie jak skopany pies.
 - Ty i Jo to niezły pomysł. Ty i ja - fatalny.
 - Dlaczego?
 - Bo tak, i już. Spróbuj z Jo. Poczekaj, co z tego wyniknie.
 - Przejechał ręką po włosach.
 - Więc co teraz zrobimy?
 - Pójdziemy spać. Rano zrobię śniadanie, napijemy się herbaty, a potem wpadniesz do Jo. Zaniesiesz jej kwiaty, rano coś wybierzemy w ogrodzie.
 - Dobrze.
 - Dobranoc, Chris.
 - Dobranoc, Jess.
- I co ja takiego powiedziałam? Nie to, co zamierzałam, ba, nawet nie to, czego się spodziewałam.

Rozdział dziewiąty

W ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin dwukrotnie straciłam panowanie nad sobą. Raz chodziło o rozwód z Martinem, raz o pójście na ślub. Wczoraj miał otrzymać list od Bertie, oznajmiający, że: „Ja, Jessica Elizabeth Wallace, rozwodzę się z tobą, Martinie Davidzie Harvey, za posuwanie innej kobiety”. Oczywiście nie będzie tam, że, ja" i że „z tobą”, o nie, będzie bardziej oficjalnie: że nasza klientka i tak dalej.

Szczerze mówiąc nie mam zielonego pojęcia, co znajdzie w piśmie, które otrzyma. Ma się rozumieć, będzie to bardzo oficjalny, bardzo surowy, bardzo prawniczy bełkot. I nie będzie tam ani słowa z tego, co naprawdę chciałabym mu powiedzieć.

Jak na przykład to, że w gruncie rzeczy wcale nie chcę się z nim rozwodzić.

Tak więc kiedy odwiozłam dzieciaki do szkoły i wróciłam do domu, przechadzałam się nerwowo. Padało, było ponuro i brzydko, zbyt paskudnie, by się przechadzać na dworze. Wykonywałam więc moją starą trasę dookoła stołu kuchennego. Chyba już wydeptałam ścieżkę w wykładzinie.

Byłam na pięćdziesiątym okrążeniu i o krok od decyzji, by zadzwonić do Bertie i odwołać całą imprezę, kiedy Sarah zadzwoniła do mnie z pracy.

To jej nowy zwyczaj. Stałam się częścią świata, który musi zbawić, kolejną ofiarą losu, której musi pomóc, żeby stać się jeszcze lepszym człowiekiem. Ponieważ nie może się ze mną zbyt często spotykać, jako że najważniejsza jest praca i sukcesy, dzwoni kiedy tylko może. A ja, chociaż doskonale wiem, że to wy-

nik jej dziwacznej obsesji, lubię te telefony. Podoba mi się, że słyszę troskę w jej głosie.

- Jak się masz?
- Chodzę.
- Płaczesz?
- Chwilowo nie. Już nie ryczę bez przerwy.
- Jadłaś coś dzisiaj?
- Jest dopiero wpół do jedenastej.
- To nie jest odpowiedź, Jess.
- Sarah, dlaczego właściwie rozwodzę się z Martinem?

- Czy to pytanie konkursowe? Nie wiem, Jess. Ale wiem, dlaczego ja bym się z nim rozeszła na twoim miejscu. Zachował się jak łajdak. Nie chciałabym być dłużej żoną człowieka, który mnie tak potraktował.

- Nie obchodzi mnie, co zrobił. Po prostu chcę, żeby do mnie wrócił, i tyle.
- Jess... Płaczesz, tak? Posłuchaj, Jess. W porządku. Możliwe, że Martin wróci, ale wasze małżeństwo, takie jak do tej pory, minęło bezpowrotnie. Może uda wam się zacząć od nowa, ale do przeszłości nie ma powrotu. Musicie to zrozumieć, oboje.

- Myślisz, że moglibyśmy znowu być razem?
- To się czasami zdarza, ale niezbyt często. Nie licz na to, Jess.

Przypomniałam sobie, co mówiła Jo: „To tylko chwilowe. Tylko chwilowo nie możecie być razem”. A zatem muszę robić wszystko, by to przetrzymać, jak cebulka w ziemi podczas zimy. To nie potrwa wiecznie.

- Dobrze, dobrze. Nic mi nie jest. Wiem, dlaczego chciałam rozwodu. Po to, żeby przeżyć. Koniec, kropka.

- Muszę kończyć, Jess. Zjedz coś koniecznie. Jeśli jeszcze trochę schudniesz, upodobnisz się do Nancy Reagan.

- Cześć.

Nieco spokojniejsza zabrałam się za pisanie listu do Martina. Chciałam mu wyjaśnić, dlaczego zdecydowałam się wystosować do niego oficjalne pismo, że „nasza klientka domaga się, by pozwany...”. Chciałam, żeby zrozumiał, że rozwód to moja linia obrony, że robię to z miłości. Chciałam mu pokazać, że nie wszystko jeszcze stracone.

Wysłałam mu faks na adres Dolores. Ma faks i sekretarkę automatyczną w jednym, więc dane mi było usłyszeć jej głos. Nieodparcie uwodzicielski. Głos z męskich fantazji. Niski, melodyjny, z leciutką chrypką sugerujący, że ciągle jest w łóżku, ciepła i zaspana. Gotowa. Może naga. W jej głosie niemal słyszałam te zielone oczy, długie rude włosy i skórę jak najlepsze mleko z Jersey.

„Jeśli chcesz wysłać faks, zrób to teraz”. Co za urocza propozycja. Ciekawiło mnie, ile razy Martin wybierał ten numer, wsłuchiwał się w jej głos i zostawiał Bóg jeden wie jakie wiadomości. Seks przez telefon z takim głosem jest zapewne tak wspaniały, że aż chce się wyjeżdzać, byle tego doświadczyć.

Kartka z moimi żalonymi wynurzeniami, wspomnienie mego płaczącego głosu, przesunęła się przez wałek maszyny. Czułam się jak brzydka pierwszokla-

sistka, posyłająca listy miłosne najprzystojniejszemu chłopakowi w szkole przez jego dziewczynę, która, tak się składa, jest modelką.

Chciałam umrzeć.

Niewiele mogłam zrobić, żeby uratować dzień po takim początku. Spieprzyłam go całkowicie. Nawet nie próbowałam przestać szlochać. Teraz jednak nie ma to takiego znaczenia. Mogę robić praktycznie wszystko, nie przerywając przy tym aktualnej serii lkań. Tak więc wykąpałam Sukę, ku jej wielkiemu niezadowoleniu. Nawet sześć psich herbatników nie złamało jej uporu - ciągle nie chciała ze mną rozmawiać. Upiekłam czekoladowe ciasto z polewą karmelową w nadziei, że to udobrucha Dana i Frankie. Ciągle się na mnie dąsali, chociaż od skończenia zdjęć minęły już dwa tygodnie. Upiekłam chleb. Poprzestawiałam meble i poprzybijałam obrazki do ścian. Posprzątałam pod łóżkiem Frankie. Odkurzyłam Dana kolekcję plastikowych piłkarzy.

I co pięć minut rzucałam się biegiem do faksu, żeby sprawdzić, czy Martin nie przysłał mi żadnej odpowiedzi. Nic. I tak jest teraz w pracy. Nie dostanie ani mojego faksu, ani listu od Bertie, dopóki nie wróci do domu. Może Dolores jako pierwsza przeczyta wiadomość ode mnie i w geście otuchy położy Martinowi na ramieniu starannie wymanikiowaną dłoń, by złagodzić cierpienie, gdy będzie to czytał. Nie, nie cierpienie, raczej przyływ irytacji.

Akurat kiedy miałam jechać po dzieci do szkoły, faks zapisał cicho, jak zawsze, zanim wypłyje wiadomość.

Biegiem zawróciłam od drzwi. Z drżeniem czekałam, aż pojawi się tekst.

Nie Martin, tylko David Herring nabazgrał niewyraźnie:

„Czy możemy się spotkać w piątek, o wpół do dwunastej, u mnie w biurze? Proszę o szybką odpowiedź”.

Napisałam „tak” pod jego wiadomością i natychmiast wysłałam z powrotem.

A zatem ma dosyć przyzwoitości, by powiedzieć mi prosto w oczy, że serial dostanie Monica Mostar. W sumie to bez sensu jechać taki kawał drogi tylko po to, żeby się dowiedzieć, że się nie dostanie pracy, ale przynajmniej będę miała coś do roboty. Będę miała powód do dalszych zmartwień. Porządnych, solidnych zmartwień, na przykład za co będziemy żyć i co mam począć z resztą życia?

Ciasto z polewą karmelową załatwiło sprawę. Urządziłam dzieciakom piknik pod dachem, jako że za bardzo lało na imprezę na dworze. Przygotowałam miniaturowe kanapeczki, pałeczki z marchewki, gwiazdki z ogórka, rodzynki i ciasteczka, wszystko pięknie ułożone na malutkich talerzykach i starych miseczkach, nie liczonych niedobitkach Wielkiego Tłuczenia. Potem we trójkę oglądaliśmy „Świnikę Babe” i płakałam, jak zawsze, w tym samym miejscu, kiedy Babe pyta: „Czy mogę mówić do ciebie mamo?” sukę owczarka.

Wyrazili ochotę na wspólną kąpiel z pianą. Siedziałam na brzegu wanny z nogami w wodzie, a oni bawili się jak przed dwoma i trzema laty, dorabiali sobie brody i wymyślne fryzury z piany. Poszli spać nie uroniwszy ani jednej łzy i zaśnęli, zanim wróciłam na dół.

Takie wieczory zawsze należały do rzadkości, a teraz zdają się darem niebios. Kiedy dzieci zasypiają spokojnie, czuję się jak wówczas, kiedy obserwowałam, jak zamykają oczka, zmęczeni ssaniem, strużka mleka wycieka z kącika ust, a zadowolone twarzyczki zdają się mówić „pełni po uszy”.

Na dole od razu podeszłam do faksu. Nic. Może nie ma mi nic do powiedzenia. Właściwie chciałabym usłyszeć tylko jedno: „Wracam do domu”.

Ostatnio sypiam, naprawdę sypiam. Czasami także śnię, ale nie tak jak dawniej. W przeszłości miewałam sny jak wszyscy, że stoję w supermarkecie w różowej piżamie albo pocę się ze strachu na egzaminie. Teraz moje sny mają reżyserów, jak filmy. Mam sny w reżyserii Quentina Tarantino, gdzie Martin występuje w czarnym garniturze i rozwała mi mózg strzałem z wielkiej spluwy, aż widzę własną krew na ścianach albo na tapicerce samochodu. Miewam także sny w reżyserii Davida Lyncha, gdzie Martin i Dolores w dzinsach i kowbojkach jadą w dal wielkim cadillakiem, ja leżę w bagażniku, a na tylnym siedzeniu kręci się ich dziecko, taki miniaturowy Elton John. W tych snach zawsze spotyka mnie coś okropnego z rąk Martina, albo przynajmniej na to się zanosí. Nie miałabym nic przeciwko zmianie reżysera na, powiedzmy, Johna Forda. Dolores byłaby wspaniała jako Maureen O'Hara, a ja zgodzę się nawet na rolę trędowatej, byle przetrwać noc bez tortur i śmierci.

Wczoraj była kolej na Davida Lyncha: Martin o nader pokrzywionej fizjonomii, wysoki inaczej, przymierzał się do zrobienia mi krzywdy w jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu. Nic więc dziwnego, że bardzo mnie ucieszył pisk faksu.

Dochodziła czwarta nad ranem. Zaczynało świtać. Ptaki nieśmiało ćwierkały kilka nut w kółko. Mój najmłodszy, najbardziej zadziorny kogucik chrząkał przed głównym występem.

Zbiegłam na dół i czekałam jak skazaniec na wyrok, aż maszyna wypluje z siebie kartkę.

Nagłówek był z nowojorskiego hotelu. Już to było ciekawe, przecież Martin miał przyjechać po dzieci za mniej więcej czterema godzinami.

„Jess - czytałam jego bazgroły - dostałem list od mecenas Taylor i twój faks, jedno i drugie przesłano mi dzisiaj z Londynu”. Czyli Dolores czytała to pierwsza. Są ze sobą na tyle blisko, że otwiera jego korespondencję. „Zdziwiłem się, że tak szybko zdecydowałaś się na rozwód, ale i ucieszyłem. To najlepsze rozwiązanie”.

Najlepsze rozwiązanie? Wydało mi się, że słyszę chirurga-seksistę: „Wyciąć, wyciąć cały ten kobiecy kram. To najlepsze rozwiązanie”.

„Nie mogę zabrać dzieciaków w ten weekend. Muszę tu zostać co najmniej do poniedziałku. Martin”.

Prawdopodobnie rozmawiał z kimś, kiedy to pisał tak, jakby zamawiał takówkę. Jestem dla niego tylko kolejną przeszkodą na drodze, fałdą, którą trzeba wygładzić, żeby wszystko było w porządku.

Wróciłam na górę, do łóżka. Miałam wrażenie, że ktoś położył mi na piersi olbrzymi ciężar. Paskudny karzeł ze snu à la Lynch przekradł się do rzeczywistości i robił mi okropne rzeczy w ciemnym pokoju, bez świadków.

Nie mam ochoty na cudzy ślub. Nawet gdyby ktoś zajął się dziećmiakami.

Nic dziwnego, że po wiadomości od Martina-Marsjanina, po pobudce o czwartej w nocy i konieczności powiadomienia dzieci, że tatuś co prawda bardzo je kocha, ale nie zabierze ich na weekend, bo siedzi Nowym Jorku, stałam się u Davida Herringa równie energiczna jak plastikowy sandał wyrzucony na plażę.

Uznałam, że nawet jeśli głównym celem spotkania jest poinformowanie mnie, że to Monica Mostar będzie w przyszłości rozmawiała z właścicielami zwierzątek, i tak mam szansę załatwić coś dla siebie.

Bądź co bądź, dziesiątki wolnych strzelców zabiłoby pierwotne dziecko gołymi rękami za pięć minut z Davidem Herringiem. W imię kolejnej raty musiałam zrobić co w mojej mocy.

Znalazłam ciuchy, które od biedy mogły ująć za obowiązujący w świecie mediów czarny mundurek - moje własne czarne dżinsy i stara koszula Martina, którą wzgardził ze względu na zawartość włókien wyprodukowanych przez człowieka.

Wygrzebałam też stare okulary słoneczne mojego męża (porzucił je na rzecz oryginalnych RayBanów). Miałam pod oczami wory porównywalne do kangurzej torby, więc okulary były niezbędne. Umalowałam się najbardziej intensywną szminką jaką miałam, jako że doszłam do wniosku, że usta stanowią jedyną reprezentacyjną część mojej twarzy.

W gabinecie Davida żaluzje były podniesione, okna szeroko otwarte. Światło słoneczne zalewało szare biurko. Za jasno, żeby zdejmować okulary. Doskonale.

Na środku biurka stała taca, na niej srebrny dzbanek z kawą i trzy filiżanki. Po drugiej stronie, obok Davida, siedział chudy facet w za luźnym garniturze. Zdawali się czekać na mnie niecierpliwie, bo na mój widok obaj poderwali się na równe nogi.

Czasami rozpacz okazuje się zaletą. Tego ranka byłam zbyt nieszczęśliwa, by się uśmiechać. Na ludziach z mediów robi to wrażenie chłodnego profesjonalizmu. Byłam również zbyt nieszczęśliwa, by sobie zawracać głowę wyobrażaniem, jakie wywieram wrażenie i co sobie pomyśli ten chudy telewizyjny wąż.

- Dziękuję, że zechciałaś przyjechać, Jess. - David włączył urok na pełny regulator.

- Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że nie na darmo. - A co mi tam, niech się trochę pomęczą, skoro i tak da serial Monice.

Roześmiał się. Nerwowo, jak zauważyłam. Nie do wiary, David Herring, nieustraszony bóg telewizji, jest zdenerwowany. Co się dzieje? Przez króciutką chwilę odezwały się we mnie nadzieja i ambicja.

- Jess, chciałbym ci przedstawić Dereka Marchanta z Kanału Piątego. Przy był tu dzisiaj, byśmy mogli omówić programy, nad którymi wspólnie pracujemy, między innymi *Zwierzaki i ich ludzie*.

- Witaj, Derek. Czym dokładnie się zajmujesz w Kanale Piątym? Szczerze mówiąc, ostatnio niezbyt uważnie śledzę, co się dzieje w branży.

- Decyduję o tym, co emitujemy, a co nie, poczynając od kursu robótek ręcznych, kończąc na raketach dalekiego zasięgu.

- A którym końcem chcesz się dzisiaj zająć? Nie wyobrażam sobie, byś rozprawiał z Davidem o robótkach ręcznych. Może usiądziemy i napijemy się kawy? Należę, jeśli pozwolicie. - Przez moment wydawali się zbici z tropu. Derek pierwszy odzyskał panowanie nad sobą.

- Świetnie. Białą z jedną łyżeczką cukru proszę.

- A ty, Davidzie?

- Czarna i dwie łyżeczki. - Zabawne, ile poczucia siły daje jeden mały dzbanek z kawą.

- A więc, co macie mi panowie do powiedzenia? - Usiadłam wygodnie i zamieszałam kawę. Nie wiedziałam, jak uda mi się zachować kamienny spokój, kiedy David oznajmił, że *Zwierzaki i ich ludzie* to chłam i nie wyemitują nawet jednego odcinka. W gruncie rzeczy jednak wiedziałam, że nic takiego nie powie. Ilekroć odtwarzałam w głowie nakręcone sceny, dochodziłam do wniosku, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty.

- Bardzo, powtarzam, bardzo nam się podobają *Zwierzaki i ich ludzie*. Twoje rozmowy to małe dzieła sztuki. Zabawne. Wzruszające. Chcielibyśmy, by więcej uwagi poświęcono właśnie temu: problemom właścicieli ze zwierzakami.

- Miło mi to słyszeć, Davidzie. Derek, czy to oznacza, że akceptujesz serial?

- Oczywiście. Nawet planujemy go pokazać w lepszym paśmie czasowym.

- Bardzo pięknie, ale skoro zamierzacie powierzyć prowadzenie całości Monice Mostar, nie wiem, po co mnie tu ściągnęliście.

- Cóż... Gruntownie przemyśleliśmy wybór Moniki jako prezenterki. Jej atutem jest znane nazwisko, jednak uznaliśmy, coż... że... dzięki tobie program ma wyjątkowy charakter, klimat... więc... - David zawsze miał kłopoty z wyrażaniem uczuć. (Biedna Judith, pewnie ma z nim krzyż pański: „Właściwie dostrzegam możliwość spędzenia z tobą wspólnego wieczoru, ale najpierw chyba powinniśmy ustalić kilka szczegółów...”. Jest głęboko nieszczęśliwy, kiedy nie ma asa w rękawie.)

- David chce powiedzieć - Derek nie dał mu dokończyć - że chcielibyśmy, żebyś ty poprowadziła ten program.

I znowu pomogły ranne przykrości. Dzięki nim nie skakałam z radości, nie odtączyłam rumby na stole. Uśmiechnęłam się lekko.

- To bardzo miłe z waszej strony - odparłam. - I oczywiście zrobię to z wielką chęcią ale muszę mieć pewność, że mi się to opłaci... pod każdym względem.

- Oczywiście! - To Derek. David siedział cicho, chyba siadał mu akumulator. Nudził się, bo nie miał tu nic do roboty. Pieniądze, jakkolwiek by było, da Kanał Piąty, więc to Derek prowadzi ze mną pertraktacje.

- Przejdźmy do rzeczy. Jeżeli przedstawię mi atrakcyjne warunki finansowe i odpowiedni czas na zdjęcia, dojdziemy do porozumienia. - Uśmiechnęłam się złośliwie. - Może jeszcze trochę kawy? - Gdyby Martin mnie przy tym zobaczył, kto wie, czy nie byłby ze mnie dumny.

Nie mieściło mi się w głowie, że osiągnęłam aż tyle: pięćdziesiąt dni zdjęciowych, po czterysta funtów za jeden, i do tego praca przez cztery dni w tygodniu. Tyle pieniędzy powinno uciszyć pojękiwania banku, a Martin może sobie siedzieć w Nowym Jorku do Bożego Narodzenia. A nawet do Nowego Roku.

Zatrzymałam się na stacji benzynowej i zadzwoniłam do Kath do pracy, żeby się z nią podzielić dobrymi wiadomościami.

- Super! Teraz możesz iść na ślub i zaszaleć, żeby to uczcić.

- Sama nie wiem. Zresztą nie mogę, Martin jest w Nowym Jorku, przysłał mi faks.

- No i co z tego? Zajmiemy się dziećmi. Mam wolne w ten weekend. Zostań tam na noc, żebyś mogła iść na balangę po uroczystości.

- Frankie będzie zła.

- Tak, na początku, ale rozbijemy im namiot w ogrodzie. Będą się doskonale bawić.

- Sama nie wiem. To trochę nie w porządku, powiedzcie im: „Ani tatuś, ani ja nie możemy się wami zająć”.

- Nie wygłupiaj się. Musisz więcej wychodzić. Zaczynaj spotykać się z ludźmi. Idź tam.

- No dobrze. Kupię sobie kapelusz i nowe pantofle.

- Mądra dziewczynka.

Cudownie staroświecki dział garderoby kobiecej w największym sklepie w miasteczku stanowił odpowiednią oprawę dla mojego pierwszego własnego czeku. Panna J. E. Wallace. Nie do końca prawda, ale co tam, my, ludzie showbiznesu, zawsze używamy panięńskich nazwisk.

- Sto czterdzieści funtów, proszę pani.

Nie kupiłam tego ciucha, choć może to głupota, jednak siedemdziesiąt funtów za parę butów to maksimum tego, na co chwilowo mogę się zdobyć.

- Doprawdy, dobrała pani identyczny odcień. Zamsz i słomka są idealnie takie same. Niewiarygodne. - No pewnie. Szkoda, że nie widziałas sukienki, do których je założyę.

Uznałam za słuszne, że pierwsze, co kupię za własne pieniądze, to drobiazgi frywolne, rozkosznie zbytłowne, jak purpurowe szpilki z miękkiego zamszu i wielki słomkowy kapelusz w tym samym kolorze. Mój nowy mundurek kobiety do wzięcia. Zresztą wszyscy wiedzą że nowy kapelusz i buty na ślub to niemal tradycja.

Nie da się jednak tego powiedzieć o nowej bieliźnie z satyny i jedwabiu.

Rozdział jedenasty

Wydawało się, że goście Josie zajęli każdy numer hotelowy w mieście. Jedyny pokój, jaki udało mi się zdobyć, mieścił się w bardzo drogim i bardzo dobrym hotelu, a dostałam go tylko dlatego, że ktoś odwołał rezerwację w ostatniej chwili. Szczegółów co do jakości owego hotelu nie szczędziła mi Kath, gdy podawałam jej, gdzie ma mnie szukać, gdyby były jakieś problemy z dziećmi, które, o dziwo, były nieoczekiwanie grzeczne. Wizja matki na wysokich obcasach i w nowym kapeluszu bawiła je do tego stopnia, że pozwoliły mi jechać bez słowa protestu. Frankie nawet wręczyła mi własnoręcznie wykonaną podobiznę mnie w mojej fantastycznej kreacji, z życzeniami „baw się dobrze, mamusiu”.

Słońce świeciło mocno. Nowo pozyskane poczucie własnej wartości rozgrzewało mnie od środka, z radia leciały ulubione piosenki, droga mijiała szybko.

Na podjeździe przed hotelem tłoczyły się mercedesy, BMW i saaby, wszystkie starannie wypolerowane. Poobijany, sfatygowany samochód emeryt z papierkami po cukierkach na tylnym siedzeniu i zabawną zasłonką na tylnej szybie, nie bardzo tu pasował, ale byłam w na tyle dobrym humorze, że zdumione miny personelu bawiły mnie, nie drażniły.

- Pokój na jedną noc, pani Wallace?
- Panno Wallace.
- Pojedynczy?
- Niestety, tak.

Uznałam, że nieco za wcześnie na twierdzenie, że może nie.

Tak wszystko zaplanowałam, że po przyjeździe miałam akurat tyle czasu, by się zameldować w moim pięknym słonecznym pokoju, bardzo starannie przygotować i pójść do kościoła.

Rozpakowałam torbę, powiesiłam sukienkę w łazience i przystąpiłam do pierwszej fazy przygotowań. Przez otwarte okno dobiegały odgłosy gry w tenisa i ćwierkanie ptaków. Atmosfera była cudownie spokojna. Przy takim świetle kochalibyśmy się z Martinem cicho i powoli. Nagle ogarnęła mnie euforia.

Przejrzałam się w dużym lustrze po przeciwnej stronie pokoju. Smutna. Twarz pociągała i smętnie obwisła po tygodniach nieustannego szlochania, jakby mięśnie podnoszące usta w uśmiechu zanikły całkowicie. Włosy chyba zbyt intensywne w kolorze, taki odcień zdaje się krzyżeć: „Jestem stara i wpadam w panikę”. Skóra żółtawa, lekko obwisła tam, gdzie ramiona łączą się z tułowiem. Nawet przy mojej obecnej chudości, nieszczęsny brzuch zwisa smętnie pod żebrami, chociaż ostatnie dziecko siedziało tam przed ośmiu laty.

Kiepsko. Ale nie fatalnie. Mam pokój. Mam sukienkę. Buty. Okazję. Nieważne, jak fatalnie się czuję, to inwestycja w przyszłość. W nadzieję, że kiedyś tam poczuje się lepiej.

„Bądź dobrej myśli - poinstruowałam się na głos. - Przynajmniej jesteś w stanie patrzeć na siebie w lustrze”.

Rzeczywiście, za czasów Martina było to nie do pomyślenia. Ilekroć zerknęłam w lustro, ogarniała mnie rozpacz z powodu różnicy między nami. W skali od jednego do dziesięciu Martin wyglądał na osiem nie zadając sobie najmniejszego trudu; w dobre dni zgarniał maksymalną liczbę punktów. Ja natomiast, w pełnym makijażu i po udanej sesji z suszarką ledwie dobijałam do czterech, na co dzień zaś wahałam się między minus sześć a minus dwa. Teraz, bez Martina jako odnośnika, jestem w stanie spojrzeć na siebie mniej krytycznie i dostrzec pewne zalety. Nie jest ich, co prawda, zbyt wiele, więc nie zajmuje mi to zbyt wiele czasu, ale i tak postaram się wykorzystać wszystkie atuty.

Włączam radio - kiepski, bezpłciowy pop - nie za głośno, żeby nie przeszkadzać tenisistom, ale na tyle, by zagłuszyć ciszę pokoju, w którym dokona się transformacja. Przez najbliższe dwie godziny zadnego szlochania. Żadnych złych myśli o cellulitis, kurzych łapkach czy popękanych naczynekach. Żadnego fantazjowania o ustach Martina, o jego udach, o jego silnych ramionach. Żadnych rozważań o seksie z przeszłości. Jeśli już, to o seksie w przyszłości, oby jak najbliższej.

Rozłożyłam wszystko starannie, poczynając od nowej szminki i jednorazowej maszynki do golenia po pończochy, kapelusz i delikatną błękitną bieliznę. Potrząsnęłam sukienką tylko po to, by usłyszeć szelest jedwabiu, i postawiłam moje boskie buty tuż obok. Jeszcze nie wyjęłam ich z pudełka. Tkwiły w tekturowym gnieździe, miękka bibułka tłumiła ich kolor. Stanowiły ukoronowanie dzieła, najbardziej smakowity kąsek. Ostatni magiczny szczegół, zanim piękna i silna wyruszę w świat.

To sobie w każdym razie wmawiałam, kiedy szykowałam kąpiel i rozsmarowywałam na twarzy coś, co przypominało zielone masło orzechowe.

No i proszę, myślenie pozytywne zadziało. O ile pamiętam, ostatnio tyle radości sprawiło mi „szykowanie się”, gdy jako szesnastolatka stroiłam się z moją przyjaciółką Christine na sobotnie przyjęcie. Odżywka do włosów, pół godziny z maseczką na twarzy, broń Boże bez uśmiechu, żeby zadziałała. Staranne nakładanie najnowszego korektora, trzy różne cienie do oczu i każda rzęsa tuszowana osobno. Wszystko po to, by jakiś nabuzowany tanim piwem i tryskający testosteronem chłopak przykleił się do nas w ciemnym kącie. Byli zawsze tak napaleni, że to, co miałyśmy na sobie, ba, to, z jakiej planety pochodziłyśmy, nie miało dla nich znaczenia.

Zaplanowałam wszystko w ten sposób, żeby nie mieć zbyt dużo czasu na rozważania i ponure myśli, zanim będę musiała iść do kościoła.

Po tych wszystkich latach, kiedy szykowałam się do wyjścia, jednocześnie odgrzewając paluszki rybne i udzielając opiekunce do dzieci rad na temat jej egzaminów/chłopaka/fryzury, nadal najtrudniej mi przychodzi zwolnić i robić wszystko starannie i dokładnie.

Następnie przyszło mi się uporać z olbrzymim ładunkiem braku wiary w siebie. Musiałam zagłuszyć głos, który krzyczał: „Kogo chcesz oszukać?”. Nie poddawałam się, pomalowałam usta jaskrawą szminką i wtarłam więcej różu w policzki.

Pięć minut przed planowanym wyjściem makijaż był zakończony, fryzura idealna, bielizna na miejscu. Muszę tylko założyć sukienkę, kapelusz i Boskie

Buty. Teraz oczywiście zaczyna się faza najbardziej ryzykowna. Zepsuty zamek okaże się katastrofą. Za czasów Martina poziom zdenerwowania w takich sytuacjach rozgrzewał mnie do tego stopnia, że rajstopy topniały, gdy tylko ich dotknęłam.

Jednak dyscyplina, jakiej wymagał rytuał transformacji, nauczyła mnie spokoju. Minutę przed wyjściem wsunęłam stopy w pantofle. Otuliły mnie i wyniosły w górę, w nową stratosferę. Psiknęłam się perfumami i spojrzałam na efektowną kobietę w lustrze.

Wyszłam na dwór.

Nie przypuszczałam, że będę się czuła tak obnażona, jakby po tej stronie, gdzie zazwyczaj szedł Martin, wiał zimny wiatr. Na pewno zaraz ktoś do mnie podejdzie i skrytykuje, że noszę szpilki i jedwabie; złe siostry odeślą Kopciuszka do domu, zanim książkę zdąży z nią zatańczyć.

Nieco zbyt ostrożnie szłam w stronę kościoła. Chodzenie na wysokich obcasach wymaga praktyki, której nie posiadałam. Trzeba kręcić tyłkiem, wiem, że to najprostszy sposób poruszania się na wysokich obcasach. Wydaje mi się jednak, że nie mam prawa tego robić. Trzeba wierzyć w jakość tego, czym masz kręcić i potwierdzać niniejszym status osoby dorosłej. Tak więc drobiłam małymi kroczkami i modliłam się, żeby mi obcas nie utkwiał między kocimi łbami.

Ludzie wchodzili już do kościoła, więc i ja weszłam. Chciałam i zarazem nie chciałam poszukać znajomych twarzy.

W tylnej części kościoła całą ławkę zajmowali ludzie, których nie widziałam od co najmniej pięciu lat, odkąd przestałam publicznie molestować pluszowe misie. Była tam Julie, moja producentka, i jej mąż Charles. W kostiumie od Jaegera wyglądała na osobę stateczną i poważną; nikt by się nie domyślił, że potrafi naśladować połowę gwiazd telewizji i wydawać bardzo nieprzyzwoite odgłosy... spod pachy. Trudy i Kate, jej asyentki, w skromnych dziewczyczych sukienkach - trudno uwierzyć, że ich największe hobby to zaciąganie do łóżek wszelkich dostępnych mężczyzn w wieku niższym niż dwadzieścia cztery lata. Josh, nasz szef, dokładnie taki uroczy drań i hulaka, na jakiego wygląda; dzięki swemu trybowi życia doczekał się choroby serca w wieku lat trzydziestu. Rachel, jego żona, fantastycznie rozkwitła angielska róża, którą pociąg do alkoholu wyśle do grobu w ślad za mężem. I Peter. Drogi, cudowny, beznadziejny, rozkoszny Peter, którego żaden związek nie trwał dłużej niż pół godziny, mój partner przed kamerą i sympatia. Ciemnowłosa, teraz lekko łysiejący, szczupły, inteligentny i tak dowcipny, że po wspólnym dniu w studiu policzki bolały mnie ze śmiechu.

Ogarnęła mnie fala nostalgii za dawnymi czasami, za głupstwami, które wyprawialiśmy, żeby zachować rozum i resztki godności, robiąc programy dla widzów o zasobie słów mniejszym niż szympanśca Washoe. Śpiewaliśmy tekst na melodię „Bohemian rhapsody” albo fugi Bacha, układaliśmy kukielki w nader dwuznacznych pozycjach.

Ograniczyliśmy powitalne okrzyki do minimum i wcisnęłam się na skraj ławki, akurat kiedy Josie, niegdyś asyentka na planie *Mr Bounce'a*, pojawiła się w białej kreacji. Jej suknia wyglądała jak arcydzieło z waty cukrowej, stworzone

przez kucharza na tripie po LSD. Wszyscy, którzy wstali, by mnie uściskać, przybrali odpowiednio poważne miny. I wtedy zobaczyłam, kto siedzi na samym końcu ławki. Młodszy brat Petera, Stewart. Właściwie dostrzegłam nie Stewarta, tylko jego oczy. Jaśniały błękitem w półmroku kościoła.

Pamiętałam go. Kiedyś, przez jedne wakacje, pracował na planie *MrBounce'a* jako chłopiec do wszystkiego. Na jego widok ślinały się wszystkie kobiety w budynku. Nie był typem brutalnego przystojniaka, raczej, jak brat, dobrze zbudowanym piękniśm. Taki chart z domieszką rottweilera. Uśmiechem oczarowałby każdego, głosem topił najtwardszy lód z odległości stu kroków. Akurat wtedy durzyłam się w Peterze, a przecież nawet ja spłonęłam rumieńcem, kiedy Stewart niechcący ściągnął koszulkę razem ze swetrem.

Przypominałam sobie właśnie ten moment, patrząc w błękitne oczy na końcu ławki. W tej chwili zrozumiałam, dlaczego starzy, grubi pracodawcy zawsze zatrudniają kobiety ze względu na ich urodę, a nie talent. Gdyby to ode mnie zależało, Stewart dostałby każdą posadę, o jakiej by zamarzył. Twarz, w której tkwiły oczy, uśmiechnęła się, a usta wyszeptały bezgłośnie: „Pamiętasz mnie?”. Nie, wcale. W każdym razie, nie mógłbym.

Nie słyszałam marsza weselnego. Pławiłam się w morzu pożądania. I wdzięczności. Nawet jeśli szanse na numerkę ze Stewartem okażą się mniejsze niż na seks z moim mężem, cieszyło mnie, że pragnę kogoś innego poza Martinem, kogoś nie tak bliskiego jak Chris. Stewart, ma się rozumieć, pozostanie tylko marzeniem. Ile może mieć lat? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia pięć? Może dwadzieścia sześć. Jest co najmniej o trzynaście młodszy ode mnie. Urodził się w latach siedemdziesiątych, kiedy zdawałam egzaminy i upiłam się po raz pierwszy w życiu. I poznałam Martina.

Zanim ocknęłam się z marzeń o oczach Stewarta, jego brzuchu i innych częściach ciała, których niestety nie było mi dane zobaczyć, Josie i jej narzeczony wymienili ślubowania. Nawet z oddali widziałam, że patrzą na siebie z intensywnością zazwyczaj widywaną tylko w *Star Treku*. Nawet imiona pana młodego nie zepsuły uroczystej atmosfery tej chwili.

- Ja, Josie Louise, biorę sobie ciebie, Wayne'a Jarreda, za męża...

W kościele panowała absolutna cisza, jakby i tutaj dotarł spokój letniego dnia. Pojedyncza jaskółka uwijała się pod łukowatym sklepieniem, jak żywa mantra, jak błogosławieństwo dla pary, z przejściem składającej sobie tyleż romantyczne, co nierealne przysięgi.

- Na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy...

No, dobra, może. Oni mają przynajmniej lepszy początek niż ja. Pobraliśmy się z Martinem w urzędzie stanu cywilnego na zapleczu domu towarowego. Żałownie krótka ceremonia niemal ginęła w kakofonii dźwięków, zwłaszcza trąbienia ciężarówek, które przywoziły do Marksa i Spencera nową partię nylonowych majtek. Było mniej więcej tak romantycznie jak na taśmie produkcyjnej Forda. Gdybyśmy brali ślub w lecie, na zdjęciach na zewnątrz nosilibyśmy pewnie maski gazowe, bo na wszystkich fotografiach widnieją kubły ze śmieciami z publi-

skiej chińskiej budki. Na szczęście, była zima, więc uśmiechamy się radośnie do kamery, nieświadomi, co widnieje za nami.

Nie mogłam nie myśleć o tamtym dniu, patrząc na Josie w koszmarnej kreacji z tafty i tiulu, wspartą na ramieniu niedźwiedziowatego pana młodego. O tamtym dniu i o wszystkich kolejnych, gdy ścisnęłam Martina za rękę na cudzych ślubach. Co czuł, kiedy się pobieraliśmy? Że wpadł w pułapkę? Czy przez te wszystkie lata czekał na szansę ucieczki?

Rozplakałam się, początkowo cicho i dyskretnie. Łezki ciekły mi z kącików oczu. Na ślubach to normalne. Niedługo jednak poczułam narastający szloch, nie do opanowania, jak czkawka. I zaczęło mi ciec z nosa. Gdybym została w kościele, po minucie usmarkałabym się po pas. Coś takiego uchodzi za przesadę nawet na włoskim pogrzebie. Tak więc wybiegłam z kościoła stukając obcasami purpurowych szpilek.

Za dziedzińcem, w sporej odległości od drzwi kościoła, był mały ogródek, ot kilka grządek i ławeczka. Byłam tu poza zasięgiem uszu, więc szlochałam przez dłuższą chwilę. Dopóki Peter nie usiadł koło mnie.

- Pewnie nie pomyślałaś o chusteczkach? - zagadnął. - Trzymaj, zwinęłam całe pudełko z baru.

- Dzięki - wybełkotałam niewyraźnie. Zużyłam lwią część chusteczek, zanim otworzyłam torebkę w poszukiwaniu pudemniczki.

- Lepiej?

- T a k .

- Niewiele mi powiedziałaś, Jess. Napisałaś tylko, że Martin odszedł. Co się stało?

- Rzucił mnie. Poznał inną i odszedł. Nie ma tu nic do opowiadania.

- A ty? Jak sobie radzisz?

- Tak jak widzisz. Rozklejam się co jakiś czas i w kółko zadaję sobie pytanie, czy jeszcze kiedykolwiek pójdę do łóżka z czymś innym niż dobra książka.

Peter wydawał się zagubiony. Nie znał się na skomplikowanych uczuciach dorosłych, martwił się pewnie, że będzie musiał znowu iść ze mną do łóżka w akcie dobroci. Mogłoby być gorzej, pomyślałam. Mogłabym na przykład być na jego miejscu.

- Nic mi nie jest - zapewniłam go. - Słuchaj, poprawię makijaż i pójdziemy uwiecznić się na zdjęciach, a potem będę flirtowała z twoim bratem.

- On się nada. Ostatnio nie ma żadnej dziewczyny.

No tak, zawsze może być gorzej.

Jeszcze zanim dotarliśmy na farmę rodziców Josie, gdzie miało się odbyć przyjęcie, było jasne, że znajomi panny młodej z telewizji stanowili nieoficjalny gwóźdź programu. Dostaliśmy stolik tylko dla nas, pośrodku namiotu, tak, żeby wszyscy mieli dobry widok.

Nie sprawiliśmy im zawodu. Po pięciu latach niewidzenia się i kilku litrach koktajli, żeby uczcić ponowne spotkanie, brykaliśmy jak żrebaki na łące. Czy raczej brykali Josh, Rachel, Trudy i Kate, a pozostali włączali się z ochotą.

Zaczęliśmy od głośnych, rubasznym rozmów, potem przyszła kolej na żenujące wspomnienia i rozmaite gry, w których chodziło o picie. Następnie urządzi-

liśmy konkurs jedzenia truskawek parami bez użycia rąk. Poszczególne pary starały się przebić konkurencję. Nie byłam do końca zdecydowana, gdzie chcę siedzieć, więc Stewarta dzieliły ode mnie dwa miejsca. Peter natomiast siedział tuż obok i biorąc pod uwagę naszą współpracę przed kamerą było oczywiste, że został moim partnerem. I dobrze. Ze Stewartem oplułabym się z wrażeń.

Byliśmy niezli ja i Peter, ale nic w tym dziwnego, skoro w studio godzinami rozprawialiśmy o wszelkich aspektach seksu, czekając na nagranie. Wydawało się to bardziej fascynujące niż raczej nieudana jedna jedyna wspólna noc. Wygrali Charles i Julia - pokazali młodzieży, na czym polega prawdziwa zmysłowość.

Z wielkim zainteresowaniem obserwowałam Stewarta i Trudy. Niestety, Trudy ciągle chichotała i po dwóch kęsach było po wszystkim. Co za szkoda.

Im więcej piłam, tym bardziej prawdopodobne wydawało się, że ja i Stewart. ... „Nie, nie możesz - poinformowałam moje odbicie w szklance. - On jest od ciebie młodszy o trzynaście lat”. Odbicie uśmiechnęło się uwodzicielsko: „A właśnie że mogę”.

Kiedy nadszedł czas na tort i przemowy, nasz stolik osiągnął dno upadku. Bawiliśmy się w bardzo specyficzne muzyczne krzesła, z mężczyznami w roli krzeseł oraz Julią i Charlesem jako orkiestrą. Doskonale sobie radzili nucąc solowe przeboje. Przy odrobinie manipulacji wyładowałam na kolanach Stewarta, akurat kiedy zaczynały się mowy. Skoro już usiadłam, nie było sensu się ruszać, więc siedziałam spokojnie. Po dźwiękach Jarreda ojciec Josie dorzucił swoje trzy grosze, a Stewart objął mnie mocniej. O tak, mogę.

Po oficjalnych toastach tańczyliśmy, my, ludzie z telewizji, jedną wielką gromadą jak stadko szczeniaków. Dołączyli do nas wiekowi krewni i rozbrykane pięcioletki. W środku koła kiwała się bardzo już pijana Josie.

Czasami, dla złapania oddechu, wracaliśmy do naszego stolika i rozmawialiśmy, przy czym ja coraz częściej konwersowałam ze Stewartem. Opowiadał o studiach w Oxfordzie, o podróży do Indii, o jego planach telewizyjnej kariery, większej niż to się udało jego bratu, o nowej posadzie w BBC. Przynurzałam się bliżej. Oparłam stopy o jego krzesło. Wciągnęłam nosem jego zapach. Za nim, po przeciwnej stronie stołu, Rachel i Josh żartobliwie pogrozili mi palcem i szepnęli: „Niegreczna dziewczynka”.

Znowu tańczyliśmy, tym razem parami. Ja oczywiście tańczyłam ze Stewartem, a ilekroć podniosłam wzrok znad purpurowych butów, napotykałam jego spojrzenie.

Jak było do przewidzenia, po wiązance moich ulubionych piosenek didżej zaczął grać okropny dyskotekowy szmelc, którego nie cierpię. Zaczął od „Sex Machine” Jamesa Browna. Zostałam Stewarta i Josha na parkiecie, gdzie wykonywali dziwne, żeby nie powiedzieć żenujące ruchy, i przespacerowałam się na skraj trawnika. Otwarta brama kuśiła, by wyjść na pole. Oparłam się o pień drzewa i obserwowałam, jak émy i muszki uwijają się nad łąką słuchałam, jak muzyka niesie się echem. Byłam pijana, zmęczona i na szczęście spokojna.

Stewart pojawił się niespodziewanie, nawet nie słyszałam, jak szedł. Kiedy oderwałam się od studiowania owadów, był niebezpiecznie blisko. Pochylał się nade mną, a kiedy podniosłam głowę, jego twarz była tuż obok.

- Niemożliwe, żeby to był zegarek - stwierdził. Sięgnął po moją rękę i uważnie oglądał mój maciupęki złoty zegareczek.

Kiedyś byłam beznadziejna z chemii, międzyludzkiej ma się rozumieć. Chłopcy odwiedzali mnie w college'u, godzinami rozprawiali o niczym, rozwalając się na łóżku albo siedząc na biurku, a ja się głowiłam, czemu przychodzą na tak długo. Nie muszą się uczyć? Ale wiek, desperacja i trzy miesiące bez seksu uwrażliwiły mój układ nerwowy do tego stopnia, że prawdopodobnie byłabym w stanie narysować z pamięci odciski palców Stewarta.

Tak. Tak. To naprawdę możliwe. O ile nie palnę jakiegoś głupstwa. O ile przestanę się trząść jak galareta, może uda mi się zaciągnąć tego fantastycznego facecika do łóżka.

- Nie, to nie jest zegarek, to odbiornik radiowy. W każdej chwili mogę poprosić o pomoc kumpli z odległej galaktyki. Jeśli nadstawisz ucha, usłyszysz, jak szumi. - Zdjęłam zegarek z przegubu. Stewart nie drgnął nawet, nadal pochylał się nade mną z szerokim uśmiechem. Przysunęłam zegarek do jego ucha, tak że ręką dotykałam jego szczęki. Poczułam szorstki zarost i zastanowiło mnie, dlaczego nikt nie wpadł jeszcze na pomysł mierzenia czasu męskim zarostem. No tak, ale tempo pojawiania się zarostu zależy chyba od poziomu testosteronu. Sądząc po niektórych facetach, fajrant zaczynałby się jeszcze przed lunchem. Trzeba by obliczać to indywidualnie.

Sądząc jednak po zaroście czy nie, było późno.

Granatowa noc poza światłami lampionów. Na parkiecie panowie w rozluźnionych krawatach i panie z rozmazanym makijażem.

- Nie rozumiem, co mówią. Możesz przetłumaczyć? - mruknął Stewart.

Pochylił się jeszcze bardziej i przysunął mi zegarek do ucha. Koniuszki jego palców zawędrowały w moje włosy. Oddychaj spokojnie i głęboko - pamiętaj. Dyszenie byłoby bardzo nie na miejscu.

- Taak. Przetłumaczę, ale to złe wieści. Zostało nam bardzo mało czasu. Gigantyczny statek kosmiczny porwie Ziemię, żeby jej użyć jako bili w międzygalaktycznych zawodach bilarda.

- Jak myślisz, uda się nam zobaczyć ten statek?

- Tak, ale nie stąd. Musielibyśmy odejść dalej od światła, w ciemność.

- Jak myślisz, czy pole, na którym stoi mój namiot, się nada?

- Chyba tak.

- Mamy coś zabrać?

- Może butelkę szampana... Aż nie do wiary, jakie fantastyczne właściwości ma szkło w denku. Jest lepsze niż najdokładniejsze teleskopy.

Przyniósł do połowy opróżnioną flaszkę szampana. Przeleźliśmy przez bramę. Zdjęłam pantofle i szłam na bosaka. Ziemia była kamienista, nierówna. Potknęłam się i upadłam. Wypite drinki nie miały z tym nic wspólnego.

- A u !

- Oprzyj się o mnie, mam wygodniejsze buty. Wszystko w porządku? - Objął mnie opiekuńczym gestem. Po raz kolejny upomniałam się, że nie wolno mi dyszeć.

- Tak, zresztą cóż znaczy mały siniak na stopie, skoro to prawdopodobnie moja ostatnia noc na Ziemi?

- Może usiądziemy?

- Dobrze.

- Pamiętajsz, co mówiłaś o optycznych właściwościach butelek szampana?

- Mm.

- Czy nie powinny być puste?

- Tak... a ta jest prawie pusta. To znaczy będzie, jeśli ty się napijesz, a potem ja.

- Nie, najpierw ty.

Upiłam potężny haust, jakby to była oranżada. Stewart osuszył butelkę do dna.

- W którą część nieba mamy patrzeć?

- Prosto w górę.

- Więc może się położymy? O, na tym. - Rozpostarł marynarkę na trawie.

- Nie ubrudzi się?

- To ostatnia noc mojego życia. Nigdy więcej nie włożę garnituru.

Leżeliśmy obok siebie i gapili w niebo. Bardzo niewinnie dotykaliśmy się tylko ramionami.

Hmm, pomyślałam, trochę za bardzo jak Ania z Zielonego Wzgórza. Może i jest młody, ale nie aż tak młody, na Boga.

- Może spojrzymy przez butelkę?

- Nie ma sensu, dopóki się bardziej nie zbliżą. Posłucham, co mówi mój odbiornik.

- Chyba na nim leżysz. Jest w kieszeni marynarki.

Prowokowałam go tyle czasu, a on praktycznie nie wykonał żadnego ruchu, więc byłam w szoku, kiedy położył się na mnie i wsunął dłoń pod moje plecy, chcąc się dostać do kieszeni.

- Mam - szepnął. - Nie boisz się końca świata?

- Oczywiście, że się boję.

Nie było sensu upominać się dłużej, że mam nie dyszeć, skoro po raz pierwszy od, jak mi się zdawało, milionów lat poczułam na sobie ciężar męczyzny. Był tak blisko, że nie powstrzymałabym się, nawet gdybym wypila mniej.

- Czuję, jak twoje serce bije.

- Boję się.

- Nie trzeba.

Zawsze lubiłam się całować. Moim zdaniem powinni tego uczyć w szkołach. Gdyby ludzie umieli się porządnie całować, mniej byłoby niechcianych ciąż i chorób wenerycznych, a AIDS powstrzymano by w powijakach. Gdyby nastolatków nauczyć całowania, nie majstrowaliby przy rozporkach.

Teraz, po tylu tygodniach rozpacz i samotności, po tak długim czasie bez pożądania, bo przecież dwie minuty zapomnienia z Chrisem się nie liczą świadomość, że ktoś mnie całuje, była szokiem. Pewnie tak czuje się kaktus, kiedy spadają na niego chłodne krople deszczu, pierwszego od dwudziestu pięciu lat.

Stewart wiedział, co robi. Nie dorównywał co prawda Martinowi, ale nie był zły. Potrafił oddać ustami wszystko to, co być może dzieje się poniżej.

- Jeśli chcesz, możemy iść do mojego namiotu.

- Doskonale schronienie przed kosmitami.

Wstaliśmy raczej niepewnie i ruszyliśmy przez pola.

Kiedy ktoś wymykał się z namiotu obok, zabłąkany promień oświetlił płócienny dom Stewarta. Był to malutki namiocik, sięgał niewiele wyżej niż do kolan. Konstrukcyjnie pozostawiał wiele do życzenia, na środku zapadł się smętnie. Nie żeby sprawiało nam to jakąś różnicę. Wystarczyłoby nam jakiegokolwiek stosunkowo ciemne i ustronne miejsce, gdzie moglibyśmy się rozebrać. W *Angielskim pacjent*/ejest taka scena, jak Ralph Fiennes posuwa Kristen Scott Thomas opartą o ścianę, a tuż za ramię członkowie Klubu Rotariańskiego wcinają kanapeczki z ogórkiem. Nigdy do mnie nie przemawiała ta scena, aż do tej chwili przed namiotem Stewarta. W tej chwili zgodziłabym się z nim spać w śpiworze na środku parkietu.

Ukląkł i rozsunął zamek. Ten dźwięk wydał mi się bardzo seksowny. Stewart zajrzał do środka i natychmiast się wycofał. Przez ułamek sekundy myślałam, że inna napalona para nas uprzedziła.

- Cholera! - powiedział takim tonem, jakby się walnął młotkiem w kciuk.

Ukląklam obok i zajrzałam pod płócienną klapę. W ciemności, z godnością i powagą nie przypisywaną raczej jej rasie, stała owca. Bóg jeden wie, od jak dawna tak godnie i cicho siedzi w tym namiocie. Poprawka, oboje wiedzieliśmy, od kiedy - odkąd umieścił ją tu cholerny Josh Barton.

- Barton, wyrwę ci jaja i powieszę na drzewie, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię - obiecał Stewart.

- Pomogę ci nawlekać je na sznurek

Nie ma nic gorszego niż para, której pożądanie zgaszono jak kubłem zimnej wody. W ponurym milczeniu wyprowadziliśmy owcę z namiotu, przez pole, za furkę, do pobratymców. Zeszło nam na tym trochę czasu, bo owca nie miała żadnej obroży ani postronka, niczego, na czym dałoby się ją prowadzić. Musieliśmy ją pchać i ciągnąć z całej siły. W obronie owcy muszę dodać, że również w jej mniemaniu całe zajście było nader żenujące i niesmaczne.

Po powrocie do namiotu odkryliśmy, że nieszczęsne stworzenie musiało w nim przebywać od dłuższego czasu i nie zawsze zachowywało tak stoicki spokój, jak kiedy je odkryliśmy. Wyrzuciliśmy na zewnątrz posłanie i wszystkie bobki, które udało nam się znaleźć po omacku. Przemarznięci do szpiku kości i trzeźwi, biorąc pod uwagę ilość wypitego alkoholu, siedzieliśmy na progu namiotu. Prawdopodobnie nasz zapal wypalił się przy zadaniu pasterskim.

Oplotłam kolana ramionami. Moja być może ostatnia w życiu szansa na seks ulatywała wraz z oparami alkoholu.

- Nie jesteśmy tu bezpieczni. - Stewart przysunął się bliżej. - Wiesz, wściekłe owce i kosmici... Co prawda to tylko namiot, ale i tak w środku będzie bezpieczniej... - Objął mnie za szyję, a mnie się nagle przypomniały reklamy zapalniczek, takie, gdzie płomień pojawia się po jednym dotknięciu.

Erotyzm odsuwanego zamka pół godziny temu to nic w porównaniu z tym, co czułam, kiedy Stewart zasuwał zamek, kiedy weszliśmy do namiotu. Biwaki już nigdy nie będą takie jak przedtem, skoro namiot i zapach owczych bobków

nabrały nowego znaczenia. Niech mi Bóg wybaczy, ale po jednym numerze na polu nabrałam odruchów walijskiej studentki rolnictwa.

Wewnątrz było tak ciasno, że można się było jedynie położyć. Nie żebyśmy mieli ochotę na przykład grać w karty. Nie mieliśmy żadnej latarki, ale po godzinie na dworze całkiem niezłe widzieliśmy w ciemności. W każdym razie widziałam jego koszulę na tyle, że udało mi się rozpiąć guziki.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz miał rozmowę kwalifikacyjną z kobietą albo z gejem, włóż białą koszulę i nie zapinaj trzech górnych guzików.

- To nie takie proste, jak się jest w krawacie i w marynarce.

- Pieprzyć krawat i marynarkę. Zrób jak ci mówię z koszulą, a dostaniesz pracę bez względu na wszystko

Uwodzenie nigdy nie należało do moich największych talentów. Nigdy nikt nie podrywałam, więc zachwyt i tryumf, gdy dotarłam do ciała Stewarta, były dla mnie całkowicie nowym doznaniem.

- Czy sukienka przejdzie ci przez głowę? - zapytał.

- N i e .

- Rozumiem.

Rozbierał mnie z podnieceniem i zapalem ośmiolatka rozpakowującego ulubione cukierki. Dwa szarpnięcia za kolorowy celofan i byłam naga jak pralinka. I równie miękka w środku.

Wciągnął mnie na siebie. Chyba jęknęłam. Niedobrze, za wcześnie. Nagle zamarł. Zesztywniał akurat nie tam, gdzie powinien.

- Jezu! - jęknął z miną człowieka, który w samolocie na Bali przypomniał sobie, że zostawił mięso w piekarniku. - A jak się zabezpieczymy?

Parę minut temu przez chwilę zastanawiałam się nad prezerwatywą. Uznałam, że ryzyko schrzanienia być może ostatniego numerka w moim życiu nie jest warte mglistego niebezpieczeństwa ciąży. Czyli odpowiedź na pytanie Stewarta brzmiała: rosyjska ruletka.

- Nie martw się, biorę pigułki - skłamałam gładko. Nie dam się wykiwać w ostatniej chwili. Dwadzieścia lat temu te słowa uspokoiłyby każdego. Nikt nie słyszał jeszcze o AIDS.

- Ale nie wiem, z kim sypiałaś.

Ja? To śmieszne. Siedziałam na nim okrakiem, po obu stronach dotykałam nogami ścianek namiotu. W ogóle nie pomyślałam o HIV z tego prostego powodu, że kiedy ja zaczynałam karierę seksualną największym zmartwieniem była opryszczka na genitaliach. Tak więc podążyłam szlakiem myślenia, wybieranym przez tych, którzy w końcu lądują w szpitalu z pięcioma nietypowymi formami zapalenia płuc i receptami o objętości powieści Dostojewskiego: „Mój przyszły partner na pewno nie sypiał z wieloma osobami, nie wygląda na narkomana, jest miły i chyba zdrowy. Zresztą, nieszczęścia zdarzają się innym, nie mnie”. Mówiąc krótko, była to filozofia idiotki - chcę go teraz i pał sześć konsekwencje.

- Spałam tylko z Martinem przez większość twojego życia - poinformowałam go. Właściwie to prawda, jeśli nie liczyć jednej pijackiej nocy z Peterem po skończeniu zdjęć.

- A Martin? Z kim chodził do łóżka? - I kto twierdzi, że kampania a n t y - AIDS jest nieskuteczna?

- Dolores.

- No, ładnie. A ona z kim?

- Z całym cholernym Londynem, jeśli o mnie chodzi. Słuchaj, nic ci nie grozi. Z Martinem zawsze używaliśmy prezerwatywy.

- Po co, skoro bierzesz pigułki?

- Bo dopóki z nim byłam, nie brałam tabletek. Ginekolog mi je zapisał niedawno, żeby uregulować cykl. - Teraz chyba wreszcie się zamknie. Wierciłam się przez chwilę, a w końcu położyłam się na nim.

- Słuchaj, jeśli naprawdę ci na tym zależy, pójdę poszukać prezerwatywy - zaproponowałam, podnosząc się do pozycji siedzącej i wierząc się znacząco. Tym razem to Stewart zajęczał.

- Nie, nie, wszystko w porządku, przykro mi.

Już nie był taki sztywny. Płomień ogarnął nas ponownie.

- Jak przykro?

- Bardzo. Tak bardzo, jak tylko zechcesz. - No, wreszcie prezerwatywy straciły wszelkie znaczenie.

Ostania myśl, jaką zarejestrował mój mózg w formie werbalnej, to stwierdzenie, że Stewart wcale nie jest tak słodko niedoświadczony, na jakiego wygląda. Czy raczej jest słodki, ale doświadczony. Ostatnio jednak chyba niewiele się działo w jego życiu. Doszłam do tego wniosku słuchając jego zachwyków nad moim ciałem. W kółko plótł cudownie nieprawdziwe pochlebstwa, na przykład, że mam ciało nastolatki. Dziwnie się czułam robiąc to, czego nauczył mnie Martin, z innym mężczyzną. Rzeczy, które tak bardzo lubiłam. Doświadczenie i przyjemność pozwoliły mi nie zamartwiać się rozmażanym makijażem i obwisłym brzuchem.

Chociaż pod względem technicznym robiłam to już wiele razy, dziś było inaczej. Ja byłam kimś innym.

Dzięki licznym przerwom udało nam się wytrwać zadziwiająco długo. Przerwywaliśmy na chwilę, piliśmy wodę z jednej butelki, zmienialiśmy pozycję i znów, i tak w kółko. Zanim opadliśmy z sił, osuszyliśmy dwulitrową butelkę Evian. Wyczerpani leżeliśmy obok siebie i wpatrywali się w sufit.

Było zimno, pod plecami miałam garby i kamyki. Pewnie oboje będziemy posiniaczeni. Stewart okrył nas poszczególnymi sztukami ślubnej odzieży. Przytuliliśmy się do siebie i zaraz zasnął. Ja jednak nie posiadam umiejętności fakira i nie zasnę na łożu nabitym gwoździami, choćbym miała przed nosem najpiękniejszą klatkę piersiową na świecie. Ostrożnie pozbawiłam Stewarta części okrycia, ubrałam się pospiesznie i wymknęłam z namiotu. Gdzieś tam, na łące, we mgle po kolana, leżały purpurowe szpilki.

- Niedawno był tu pewien młody mężczyzna, panno Wallace - poinformowała mnie żywa lalka Barbie w recepcji, gdy wymeldowywałam się z hotelu. -

Zostawił coś dla pani. - Wyjęła purpurowe szpilki spod kontuaru i pozwoliła sobie na znaczący uśmiech. Dobrze, że to buty, a nie majtki.

W jednym z nich znalazłam pogniecione zaproszenie z nabazgraną pospiesznie notatką:

„Dzięki! Wezmę od Petera twój telefon. Pomyślałem, że chyba ci się przydadzą magiczne pantofelki, jeśli UFO jeszcze cię nie porwał. Do zobaczenia, Stewart". Może nie było to wyznanie płomiennej miłości, ale przynajmniej udał, że chce się ze mną spotkać.

- Dobrze się pani bawiła? - Recepcjonistka patrzyła mi prosto w oczy.

- Owszem, doskonale. - Tak jest, złociutka, ja i ten niebieskooki przystojniak, którego na pewno zapamiętałaś. Ja, taka starucha, z nim.

Wzięłam szpilki, jakby były bezcennym trofeum, i poszłam do samochodu.

Rozdział dwunasty

Sarah przeciągnęła się na trawie i zrzuciła buty. Są wakacje, studenci wyjechali, wreszcie może sobie pozwolić na trochę swobody.

- Zdajesz sobie sprawę, że ten twój Stewart jest rówieśnikiem moich studentów z trzeciego roku?

- Owszem, Sarah, wielkie dzięki, że mi przypominasz, i wcale mnie to nie cieszy, tylko uświadamia, że to wszystko nie ma sensu.

- Wcale nie, znam mnóstwo kobiet, które są szczęśliwe z młodszymi mężczyznami.

- Tak? Kto na przykład?

- Mercedes. Jej facet ma dwadzieścia trzy lata, a ona dobija do czterdziestki. Świata za sobą nie widzą. Całuje ziemię, po której ona stąpa.

- Chyba stracił mamusię we wczesnym dzieciństwie. Zresztą ona przez pół roku siedzi w Madrycie. Pewnie kiedy jej nie ma, posuwa szesnastolatki.

- Jess, skąd w tobie tyle cynizmu? - Kath była naprawdę oburzona. - Jest wiele par z różnicą wieku. A ja i Gerry, to co?

- Kath, u was wszystko jest w porządku. Nikt nie widzi nic złego w sytuacji, gdy to mężczyzna jest starszy.

- Ale to bzdura.

- Ja o tym wiem, ty również, ale nie recepcjonistka w hotelu, do którego pojedziemy na rozpustny weekend. Nie bawi mnie świadomość, że potraktuje mnie jak staruchę, która sobie ściąga żigolaków.

- Na Boga, Jess. On ma dwadzieścia pięć lat, jest pełnoletni. Recepcjonistka będzie zazdrosna, bo z tego, co mówisz, on jest boski. Dlaczego wszyscy moi studenci płci męskiej nie myją się, mają trądzik i okulary ze szklami jak denka od butelek?

- To i dobrze. Pomyśl, jak bardzo by cię kusilo - uświadomiła jej Kath. - W naszym hotelu dwa lata temu pracował taki jeden pomocnik kucharza. Dwa-dzieścia dwa lata. Z Kolumbii. Ilekroć wchodził do mojego gabinetu, otwierałam okna na oścież, żeby się ochłodzić. Bardzo się ucieszyłam, kiedy wyjechał. Jeszcze miesiąc, a zaczęłabym chodzić do pracy w pończochach i bez majtek.

- Jakkolwiek by było, trochę za wcześnie na te rozważania. Minęło już tyle czasu, a Stewart nie zadzwonił. Wie, ile mam lat. Wytrzeźwiał, policzył i dał sobie spokój. Koniec, kropka.

- Gdyby nie chciał, nie zawracałby sobie głowy notatką.

- Kath ma rację. Pomyśl logicznie. Młody facet posuwa fantastyczną starszą doświadczoną kobietę na weselu. Przecież to jak męska fantazja. Pewnie boi się do ciebie zadzwonić. Ty to zrób.

- Ta historyjka ma jeden błąd - słowo „fantastyczna”.

Obie jęknęły jednocześnie. Kath zerwała się na równe nogi, otrzepała spódnice z trawy.

- Dobra, idę do domu, nakarmić dzieciaki.

- Ja też - zawtórowała Sarah. - Jeśli nawet seks z facetem młodszym od ciebie o jakieś piętnaście lat nie poprawia twojej wiary w siebie, to nie możemy ci pomóc.

Nie dziwię się, że się zdenerwowały. Zachowywały się jak czternastolatka po pierwszym obściskiwaniu w ciemnym kącie dyskoteki. I tak długo wytrzymały. Cierpliwie znosiły cłkliwe marzenia, którąś z kolei próbę opisanego błękitu jego oczu, nie kończące się paniczne opisy tego wszystkiego, co się działo w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, który ja pamiętam doskonale, a którego Stewart pamiętać nie mógł. Znosiły to, bo kamień spadł im z serca. Uznały, że po nocy w namiocie śmierdzącym owczym gównem nastąpiła remisja choroby. Przestałam szlochać. Lepiej sypiam. Ba, nawet jadam. Uśmiecham się. Nie budzę się z rozszalałym sercem i gruczołami potowymi bijącymi światowy rekord produkcji. Znowu bawi mnie towarzystwo dzieci. Teraz, kiedy mają wakacje, urządzamy sobie różne wycieczki: do zoo, na plażę. Co noc śpią w moim łóżku. Robimy rzeczy, których Martin nie pochwałiał: śniadanie w łóżku i przed telewizorem, filmy na wideo w łóżku, popołudniowe cłkliwe melodramaty w łóżku. Odzyskałam siły. Może uda mi się utrzymać naszą trójkę razem.

Początkowo nie chciałam nawet się zastanawiać, co to oznacza. Nie chciałam analizować faktu, że dzięki jednej nocy z nieznanym przestałam wypłakiwać sobie oczy za mężczyznę którego kocham. Mogło się przecież okazać, że jestem płytka i powierzchowna. Traktowałam to więc jedynie jako dowód na to, że żyję, że udało mi się pozbierać do kupy i trwać dalej po odejściu Martina.

Nie zepsuł tego nawet kolejny znak życia od Martina. Faks z tego samego hotelu w Nowym Jorku.

„Jess, wieść niesie, że wracasz do pracy. (Co za wieść? Ano taka, która działa w obie strony: po pierwsze, dzieciaki dumnie informują, że mamusia ma pracę,

a potem Martin wydzwania do wszystkich znajomych w telewizji, żeby poznać szczegóły.) Wnioskuje więc, że przynajmniej przez pewien czas nie będziesz potrzebowała finansowego wsparcia. (No, poczekaj tylko, aż moja pani adwokat dorwie się do twojego portfela.) Interesy zatrzymały mnie chwilowo w Stanach. Muszę lecieć na tydzień do Los Angeles. Chyba nie wrócę przed wrześniem. (No, bomba. Nie tylko mam zarobić na utrzymanie trzech osób, lecz także wychowywać dwoje dzieci sama.) Napiszę do dzieci osobno. Chyba zrozumiały, że nie chcę, żeby moja tak długa nieobecność odbiła się negatywnie na moich z nimi stosunkach. (Chyba zrozumiały, że nie chcę, żeby kupa śmierdziała.) Martin".

Faks przyszedł w nocy, po trudnym wieczorze, który spędziłam w roli worka treningowego dla dzieci. Fakt, że ze mną było lepiej, oznaczał dla nich pozwolenie na okazanie swojej złości.

Poświata, którą zdawałam się emanować po tym ślubie, była dla nich sygnałem, że mogą dać upust uczuciom, które dotychczas bali się ujawniać. Kiedy ciągle szlochałam, obawiali się mojego załamania, kiedy oni też zaczęli wrzeszczeć i płakać. Za to teraz nadrabiali to z nawiązką, bo uznali, że już się nie załamam. Dan tłukł mnie pięściami i krzyczał, że jestem najgorszą matką na świecie, bo po raz drugi poprosiłam, żeby umył głowę. Frankie ukryła się za drzwiami i bombardowała mnie lalkami Barbie, gdy zasugerowałam więcej ćwiczeń na skrzypcach. Skończyło się jak zwykle: leżeli na mnie, szlochając rozpaczliwie, i przepraszaali. Oczywiście zanim do tego doszło, odbyliśmy dwie godziny wrzasków, trzaskania drzwiami, obelg i też.

Zabrałam ich do łóżka, ale oddzieliłam się od nich murem z poduszek, żeby wyraźnie oznaczyć swoje terytorium. Ukołysałam oboje do snu. Chciałabym, żeby ktoś tak samo zatroszczył się o mnie. Nawet w najbardziej szalonych marzeniach nie wyobrażałam sobie, by Stewart utulał mnie do snu, ocierając przy tym łzy z moich policzków.

Faks od Martina był jeszcze ciepły. Tym razem nie pisał go ręcznie, tylko wystukał na komputerze, pewnie się spieszył, żeby zdążyć na kolację. Poczulałam się nieważna, krucha, jak strach na wróble w sercu huraganu. Nie byłam gotowa na tę falę wściekłości, która mnie ogarnęła, kiedy czytałam wiadomość od niego. Usiadłam na podłodze, a moim ciałem wstrząsały fale morderczych zapędów. Bez słów wypluwałam z siebie potoki klasycznych „jak on to sobie wyobraża” i „łstwo mu mówić”. W rzeczywistości wszystko sprowadzało się do tego: pieprzyć mnie, pieprzyć dzieci, ma to, czego chciał: jest wolny, może iść, gdziekolwiek mu każe praca albo penis.

Trzęsłam się tak ze złości przez dobrą godzinę. Kiedy mi przeszło, nie płakałam. Byłam spokojna i opanowana, jak po przyjęciu z bandą nadętych bubków. Dostrzegłam zachowanie Martina we właściwym świetle i zrobiło mi się za niego wstyd. Wszystko, co mówił przez minione dwadzieścia lat, stanęło nagle pod znakiem zapytania.

Pękła kolejna pępowina, łącząca mnie z nim, ale powstała nowa krwawiąca rana.

Uznałam, że to, co czułam do Stewarta, nie liczyło się. To tylko nic nie znaczące płomienne fantazje o nieznanym. Nie był księciem z bajki, który zjawia

się na białym koniu i usuwa wszelkie przeszkody z mojego życia jednym ruchem kopii.

Jednak tamta noc miała olbrzymie znaczenie. Fakt, że zdobyłam pracę, że kupiłam te głupie buty, że poszłam z kimś do łóżka, wszystko to świadczyło o tym, że można zacząć od nowa. Chociaż może jeszcze nie teraz, kiedy jestem tak nabuzowana agresją że rzymscy gladiatorzy przy mnie wysiadają. I nie z człowiekiem zbyt młodym, by pamiętać, jak Arthur Ashe grał w finale Wimbledonu.

Tak więc kiedy Stewart zadzwonił dzień później, on sam z pomocą Martina bardzo mi wszystko ułatwił. Wyobrażałam go sobie na drugim końcu kabla, był taki radosny i zdyszany, pełen entuzjazmu. Lekko zdenerwowany, rozpaczliwie młody i jakże daleki od zrozumienia.

- Cześć, to ja, Stewart. Jak się masz? - Odkąd wróciłam z wesela, mój puls przyspieszał, ilekroć zadzwonił telefon, tak bardzo czekałam na wieści od Stewarta. Teraz byłam spokojna i opanowana.

- Doskonale, a ty?

- Mam masę roboty. Zaproponowali mi pracę do grudnia, niewykluczone także, że podpiszą ze mną kontrakt na następne trzy lata. - Słodki, porządny chłopak. Pełen marzeń o przyszłości. Martwi się pewnie, że okażę się drzazgą o którą wszystko się podrze, ale jednocześnie jest pełen obaw, że mnie skrzywdził. Po czułam się jak wiekowa krewna.

- To super.

- Wiesz, chciałem... chciałem do ciebie przyjechać w ten weekend

- Naprawdę? To bardzo miło z twojej strony.

- Tylko że, widzisz, mam tyle roboty, a na dodatek przenoszę się do nowego mieszkania...

- Nie martw się, Stewart. Kiedyś pójdziemy razem na obiad.

- Bardzo chętnie. - Nie wierzył własnym uszom. Odpuszczenie grzechów. Zero pokuty za pijacką pomyłkę.

- Świetnie. Zadzwon za jakiś czas, ja też będę miała wtedy więcej czasu. Słuchaj, muszę kończyć. Świetnie się bawiłam w sobotę.

- Dziękuję. Ja też.

- Odezwij się kiedyś. Cześć.

- Cześć, Jess.

Nie do wiary, wcale nie bolało. Zostawiłam go w przekonaniu, że jestem/e/n-*me fatale*; tym sposobem oboje będziemy zawsze się uśmiechać pod nosem na widok owcy.

A więc tak. Motylca Jess rozwinęła skrzydła. Nie ma męża. Nie ma kochanka. Nie ma idealnego sposobu na wszystkie problemy. Co najgorsze, nie ma opiekuńki do dzieci. Zdjęcia do *Zwierzaków* zaczynają się za dziesięć dni i potrwać do Bożego Narodzenia. Przez cztery dni w tygodniu będę wychodziła o ósmej rano i wracała o dziesiątej wieczorem, czasami później. Muszę znaleźć kogoś na moje miejsce, kto mnie choćby chwilowo zastąpi. Kogoś, kto ma prawo jazdy, własny samochód i ochotę na pracę w najdziwniejszych godzinach, i to za nieduże pieniądze.

Ktoś taki nie istnieje. Zamieściłam ogłoszenia we wszystkich lokalnych gazetach stąd do Devizes plus jedno w „Lady”. Otrzymałam trzy odpowiedzi. Jedną od niani z Knightsbridge, której znudziło się życie w mieście i nie miałyby nic przeciwko odrobinie wiejskiego powietrza, ale życzy sobie mieć do wyłącznej dyspozycji salonik i łazienkę. Autor drugiej, mężczyzna, był ciekaw, jakiego koloru bieliznę noszę najczęściej. Trzecią odpowiedź nadesłała kobieta, zapalona cyklistka od, jak napisała, pięćdziesięciu pięciu lat. Pojedzie po dzieci na rowerze, a sześć kilometrów do domu moje pociechy przebiegną za jej pojazdem.

Nie najlepszym pomysłem byłoby również zdać się na przyjaciółki. Kath i Sarah i tak z trudem sobie radziły, dziećmi Jo zajmowała się jej matka. Nie byłaby zachwycona, gdyby nagle doszła jej jeszcze dwójka. Nie wolno mi także zapominać o uczuciach Dana i Frankie. Do niedawna podchodzili ze stoickim spokojem do moich jednodniowych wypadów do Londynu, do Martina czy do czyjegós ogrodu, jednak odejście Martina postawiło ich świat na głowie, więc byli zachłanni na własne terytorium.

- Nie chcę w kółko siedzieć u kogoś. Chcę być u siebie w domu.
- Nie chcę ciągle bawić się z chłopcami.
- Rosie nie jest chłopcem.
- Nie, jest niemowlakiem. Nie chcę się bawić z chłopcami i niemowlakami.
- Dlaczego nie chcesz się nami zaopiekować, mamo, powiedz?

Ugryzłam się w język. Nie powiem im przecież: „30 wasz tatuś przysiągł sobie uroczystość, że nigdy w życiu nie wykaże się odpowiedzialnością”. Wytłumaczyłam spokojnie, że to tylko na kilka miesięcy, że muszę pracować, jeżeli chcemy mieć dach nad głową i coś do zjedzenia jednocześnie. Mimo wszystko pytanie, gdzie się podzieją kiedy ja pojedę do pracy, było jak nabrzmiały wrzód; nie można było poruszać tego tematu, bo prędzej czy później ktoś zaczynał szlochać. Przez ostatni tydzień zazwyczaj byłam to ja. Dręczyłam się wizjami koszmarnych jazd na zdjęcia z dziećmi na tylnym siedzeniu, czytającymi komiksy i wymiotującymi. Został mi tydzień na zorganizowanie czegoś, zanim, zgodnie z obietnicą zabiorę je na wakacje do Francji. Dzień później czekał mnie wywiad przed kamerą z hodowcą szynszyli.

Leżałam niespokojna i zła, wyobrażając sobie krwawe jatki: dzieci w tragicznym wypadku samochodowym, pogryzione przez wilczury albo skulone na koźce u psychiatry, opisujące, jak bardzo cierpiały i jak ogarniało je uczucie zagubienia, ilekroć jechałam do pracy. I wyobrażałam sobie Martina, jak przez telefon załatwia sobie następne zlecenie, rezerwuje samolot, nie mając na głowie innych zmartwień prócz troski o odpowiednią liczbę czystych skarpetek.

Znowu zaczęłam uprawiać nocne spacerunki, dzięki którym zmartwienia uchodziły ze mnie jak dżin z butelki, kiedy zadzwoniła Kath.

- Co u ciebie?
- W porządku, tylko że jestem w panice, bo nie wiem, co zrobię z dziećmi, kiedy zaczną się zdjęcia.
- Kiedy zacznie się szkoła, możesz na mnie liczyć, ale do początku roku szkolnego wysyłamy Joego i Louisa do mojej mamy. Tkwię po uszy w robocie, a Gerry'emu szykuje się duże zlecenie.

- Nie ma sprawy, Kath, nie martw się o mnie.
- Wiesz, może to chociaż trochę pomoże.
- C o ?
- Już dawno chciałam z tobą porozmawiać na ten temat i ciągle zapomniałam, a teraz może już być za późno. Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła, Jess. Ale ty też będziesz coś z tego miała...
- Kath, zwolnij trochę. O czym ty mówisz?
- Przepraszam, wstyd mi po prostu, że taka gapa ze mnie. Niedługo przyjedzie nowy ogrodnik do hotelu. To specjalista, fachowiec w planowaniu ogrodów. Holender. Przyjedzie na kilka miesięcy, może trochę dłużej, żeby zaplanować nasz ogród. Musi gdzieś mieszkać, a że nie mamy wolnych pokoi dla pracowników, prosił, żeby mu znaleźć kwatery prywatną. Nie możemy przyjąć go do nas, bo jeszcze się nie uporaliśmy z przybudówką. Hotel za niego zapłaci, i to całkiem nieźle. Wiem, że teraz już nie potrzebujesz tyle pieniędzy, ale może dzięki temu łatwiej znalazłabyś kogoś do dzieci... Myślałam, że Gerry ci o tym mówił jakiś czas temu - dokończyła niemrawo.
- Nie będzie mnie w domu, nie będę mogła mu gotować. Nie jestem nawet w stanie wykarmić własnych dzieci, co dopiero obcego faceta.
- Wcale nie jest obcy. To znaczy, ja go znam. Ma na imię Pieter. Był u nas w zimie. Jest miły, taki słodki. Zatrzymał się u nas i bez przerwy nam gotował. Jest całkowicie udomowiony. Zresztą i tak będzie jadał w hotelu, tylko śniadania u ciebie. Zgodzi się nawet popilnować dzieci.
- Dlaczego go nie poznałam, skoro był u was?
- Miałaś wtedy zapalenie gardła, a Martin był w Afryce. Nie byłaś w najlepszym humorze.
- Kiedy przyjeżdża?
- No... niedługo. Nie wiem dokładnie. Chyba za kilka dni. Błagam cię, Jess, zgódź się.
- Dobrze. Po tym, co ty i Gerry zrobiliście dla mnie tego lata, jestem wam winna dużo więcej. Przyślij go do mnie, dorobię mu klucze. Przez tydzień będzie miał cały dom dla siebie. Podczas naszej nieobecności może karmić kury.
- O ile go znam, zajmie się również Suką.
- Taki ideał nie istnieje.
- W takim razie my ją weźmiemy.
- Cóż... w takim razie możesz mi przysłać cały tabun holenderskich ogrodników.

Oto przykład na to, jak wiele się zmieniło, odkąd Martin odszedł. Dawniej za żadne skarby świata nie zgodziłabym się na sublokatora - na okrągło doprowadzałabym wszystko do idealnej czystości, uciszała dzieci, knebłowała kury, dezynfekowała lodówkę. Teraz jest mi to po prostu obojętne. Kiedy Kath mnie namówiła, zajrzałam do pokoju gościnnego. Wyniosłam stamtąd dwa popsute krzesła, zdjęłam nasze ślubne zdjęcie ze ściany i pozbierałam klocki lego z podłogi. Dobra, może być, stwierdziłam.

Zanim Pieter przyjechał, zdążyłam całkowicie o nim zapomnieć. Częściowo spowodowało to ustawiczne odrętwienie po odejściu Martina, z cyklu: mąż mnie opuścił i teraz już nie sprzątam w lodówce, a częściowo dlatego, że świętowa-
liśmy.

Zwłaszcza ja. Mary rozwiązała mój problem z dziećmi. Zabrałam je do niej z krótką wizytą. Wszyscy rozkoszowaliśmy się wolnością: dzieci, że nie muszą iść do szkoły, ja - że nie mam nic na głowie. W głębi serca jednak byłam na granicy hysterii; przed chwilą rozmawiałam z kolejną agencją i nikt nie chciał mi pomóc. Mary krzątała się w ogrodzie, psy falowały u jej kolan jak żywy dywan.

- James naprawił stary domek na drzewie w zeszłym tygodniu - poinformowała Dana i Frankie. - Może rzucicie na niego okiem? - Popędzili w głąb ogrodu, a ich śladem pospieszył żywy dywan z dodatkiem Suki.

- Gotowa do wyjazdu, Jess?

- Ja? Mary, nawet nie wiem, gdzie mój paszport.

- Cóż, właściwie niewiele więcej ci potrzeba. A co z opiekunką do dzieci?

- Nadal nic. Snobka, zboczeniec i wariatka. W agencjach nie chcą nawet w mną rozmawiać, kiedy się okazuje, że nie mam specjalnego apartamentu dla niani z boksem dla jej kucyka.

- Więc przywoź je do mnie. Kiedy wrócicie z Francji, zostanie tylko tydzień wakacji, a w czasie roku szkolnego to kwestia paru godzin.

- Nie, Mary, nie mogłabym prosić o tak wiele.

- Ty nie prosisz, to ja proponuję. Zresztą, jeśli chcesz, możemy do tego podejść bardziej profesjonalnie. Za tydzień Georgina wraca z Grecji. Nie wie, co ze sobą zrobić, ale z pewnością chętnie zarobi parę groszy. Jej college zaczyna się dopiero w październiku. Zapłacisz jej, a my już podzielimy się pracą. Co ty na to?

Nie odpowiedziałam, tylko z płaczem rzuciłam się jej na szyję.

- Czy w ten sposób chcesz powiedzieć „zgoda”?

- Zgoda.

W drodze do domu dzieci nie posiadały się z radości. W nieco sztywnym sposobie bycia Mary, w jej staroświeckim ogrodzie jest coś, co je fascynuje i pociąga. Georginę widzieli tylko raz, w zeszłym roku. Podbiła ich serca bez reszty zabierając każde po kolei na przejażdżkę swoim motocyklem. Wrócili pokryci grubą warstwą błota, z błyszczącymi oczami i uśmiechem od ucha do ucha.

Postanowiliśmy uczcić to piknikiem na plaży i wspólnym łowieniem makreli. I jeszcze głośną muzyką. Puściłam Michaela Boltona, który na dobre opuścił kryjówkę w szufladzie z moją bielizną. Pakowaliśmy się na piknik przy muzyce na pełny regulator, wyjmowaliśmy plastikowe talerze, ser, koc. Ciskałam je Danowi, jeden po drugim. Jest zwinny, więc łapał je zgrabnie i rzucał do Frankie, kręcąc piruet po każdym kawałku plastiku. A Frankie układała je w koszyku, kręcąc biodrami tak energicznie, że sama Marilyn byłaby z niej dumna. Śpiewaliśmy przy tym na całe gardło. Powtórzyliśmy całą procedurę ze wszystkim, co nam było potrzebne; dodając nowe kroki i ruchy rąk, znajdowaliśmy takie zastosowanie dla sprzętów kuchennych, że Tom Cruise w filmie *Cocktail* zzieleniałby z zazdrości.

Po trzeciej piosence byliśmy gotowi do drogi, zdyszani, rozchichotani. Suka, której udzielił się nasz entuzjazm, z głośnym ujadaniem polowała wokół stołu na wymaginowane muchy. Odwróciłam się, żeby wyłączyć odtwarzacz CD, i zobaczyłam mężczyznę w proggu. Opierał się wygodnie o framugę, jakby stał tam już od jakiegoś czasu. Był wysoki... nie, długi. Miał długie ciało, długie ręce, długie nogi. Krótkie były jedynie włosy na bardzo okrągłej głowie. Uśmiechał się długimi ustami w opalonej twarzy i wyglądał przy tym, jakby był pozbawiony wieku. Równie dobrze mógł mieć pięćdziesiąt lat co trzydzieści. Wyprostował się i spoważniał.

- Dzień dobry. Jestem Pieter, znajomy Kath. - Mówił powoli, starannie dobierając angielskie słowa.

- Dzień dobry. Ja jestem Jess, a to Dan i Frankie, moje dzieci. My... zazwyczaj się tak nie zachowujemy.

- Szkoda.

- Przepraszam, ale nie wiedziałam dokładnie, kiedy przyjedziesz.

Dan i Frankie stali do niego tyłem i robili do mnie przerażające miny, mające oznaczać: „Co z naszym piknikiem?”.

- Mogę sobie pójść i wrócić później. Poczekam w hotelu. Nie ma sprawy.

Dan i Frankie gorliwie kiwali głowami. Dlaczego dzieciom wydaje się, że jeśli one nie widzą ciebie, ty także nie widzisz ich?

- Nie - odparłam, ignorując ich godny pogardy brak gościnności. - Wybieramy się na piknik nad morze. Może pojedziesz z nami? - Równie dobrze mogę i w ten sposób lepiej poznać faceta, który zamieszka pod moim dachem.

- Czy to daleko?

- Nie, jakieś czterdzieści minut, w każdym razie mniej niż godzina.

- Bardzo chętnie - odparł z poważną miną jak każdy dobrze wychowany człowiek, po czym, bez żadnych min, równie uroczyście, dodał: - O ile dzieci nie mają nic przeciwko temu. Czy mogę z wami pojechać?

Tym samym wytrącił im broń z ręki. Odwrócili się w jego stronę i niewyraźnie wyrazili zgodę.

Niewiele czasu upłynęło, zanim niechętna akceptacja przerodziła się w ciekawość, a od tego już tylko krok do bałwochwalczej czci. Pieter awansował do roli bóstwa najpóźniej po tym, jak im powiedział, że ma dom na palach, przy ujściu rzeki, i może sobie wędkować przez okno. Dzieci nie zdziwiłyby się, gdyby wyciągnął łososia ze schowka przy kierownicy. Zanim dojechalśmy na plażę, otwarcie już rywalizowały o jego uwagę. Później też.

- Pieter, zobacz, złapałem taką dużą!

- Pieter, żyłka mi się zaplątała.

A on ze stoickim spokojem chodził od jednego do drugiego, jakby rozplątywanie żyłki i podziwianie srebrnobłękitnych rybek sprawiało mu wielką przyjemność.

Równie dobrze mogłoby mnie tam nie być.

Tradycyjnie każdego lata można na plaży wynająć małą łódkę za kilka funtów, do której dorzucają sprzęt wędkarski. Zazwyczaj jednak nie starcza mi czasu, by rozkoszować się odpoczynkiem na wodzie; mam pełne ręce roboty z rozplątywaniem linek, zakładaniem przynęty, poprawianiem humoru. Tego dnia było inaczej. Naprawdę

mogłam łowić, bo dzieci i sublokator zajmowali się sobą wzajemnie. Usiadłam sobie na rufie i zarzuciłam wędkę w zielononiebieską przejrzystą wodę. Rozmarzyłam się patrzeć na morze i skały, brązowe, kruszące się, wilgotne, jak ciasto czekoladowe.

Wróciliśmy na brzeg z sześcioma makrelami, jeszcze lśniącymi niedawnym życiem.

- Zabierzemy je do domu i zjemy na kolację - zdecydowałam. Przejęłam kontrolę, ponownie wcieliłam się w rolę uprzejmej pani domu. Angielka i jej Sublokator z Zagranicy. Pieter jednak nie wszedł w rolę. Przyjechał tu z nami, bo sam tego chciał, nie dlatego, że tak wypada. A teraz zaproponowałam coś, co wcale mu nie przypadło do gustu.

- Dlaczego? - zapytał z taką miną, jakbym plotła straszne bzdury.

- Nie lubisz ryb?

- Bardzo. Ale dlaczego do domu? Czy nie wolno napalić na brzegu?

- Rozpalić ognisko? Wolno.

- To dobrze. - Uśmiechnął się tymi długimi ustami. - Więc upiekę te ryby. - Wyjął mi makrele z ręki i bez pytania powędrował plażą. Był spokojny, pewny siebie. Robił to, na co miał ochotę i wiedział, że nam również się to spodoba.

Upiekł makrele na ognisku, nadziane na patyki. Najpierw wypatroszył je w morzu, scyzorykiem. Zjedliśmy wszystkie sześć, ja też jadłam. Pochłonęłam całą rybę, łącznie ze zwęgloną skórą. Była słodkawa i sucha, nie miała nic wspólnego z makrelą ze sklepu.

Mało się odzywałam. Uprzejme pogawędki o niczym to niepotrzebne strzępienie sobie języka w towarzystwie człowieka tego pokroju. Głowiłam się, jak wytrzymam pod jednym dachem z facetem, który nie uznaje żadnych towarzyskich gier.

Pojedzeniu dzieciaki uganiały się po plaży z Suką rzucały jej patyki i starały się namówić ją na kąpiel. Zawsze jednak moczy tylko czubki łapi uciekaz głośnym ujadaniem. Pieter rzucił ostatnią ość do ogniska i ułożył się na piasku, splótłszy dłonie za głowę. Zmrużył oczy.

- Dobra ryba - stwierdził.

- Tak. Dzięki, że je upiekłeś.

- Nigdy nie piekłeś ryb na plaży?

- Tylko raz, dawno temu. Z Martinem, moim mężem.

Przewrócił się na bok, podparł na łokciu i popatrzył na mnie uważnie, jak pediatra na niemowlaka z wysypką.

- Martin, tak. Kath mi o nim mówiła. Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Wystarczy, że mnie jest przykro.

- Nie rozumiem.

- Chciałam powiedzieć, że nie musi ci być przykro, boja... och, nieważne.

- Kochasz go? - Holendrzy to chyba naród nordycki, w innym wypadku nie byłiby aż tak bezpośredni.

- Tak, ale muszę przestać.

- Nieprawda. Można kochać to, czego nie można mieć. Nie możesz mieć morza, a przecież je kochasz, prawda?

- Tak. Aż tak bardzo to widać?
- Patrzysz na fale, jakby to był przystojny aktor. - Wyprostował się i zrobił zabawną minę. Śmieliśmy się razem przez dłuższą chwilę.

Dzieci zasnęły w drodze do domu. Skupiłam się na prowadzeniu, nie zwracałam sobie głowy czynnościami, które zazwyczaj wykonuję z manickim uporem wioząc nieznanym, czyli pokazywaniem co ładniejszych widoków czy komentowaniem mijanych miejsc. Jechałam w milczeniu, tylko co jakiś czas zerkałam na niebo.

- Chciałbym posłuchać muzyki, a ty? - odezwał się Pieter.

- Dobrze, wybierz coś.

Swobodnie grzebał w moich kasetach, a mnie nie obchodziło, co sobie pomyśli o moich upodobaniach muzycznych, zwłaszcza kiedy wybrał kasetę zatytułowaną „Top Hits”.

Spice Girls, Hot Chocolate, The Drifters, Chumbawumba, Village People, Madness.

Puścił „Baggy Trousers” i roześmiał się głośno.

- Przepadam za tą grupą. Uczyłem się angielskiego z jej piosenki, jeszcze w szkole.

Wtórował taśmie przez całą piosenkę, słowa wychodziły mu znakomicie, melodia dużo gorzej. Dołączyłam się przy refrenie i okazało się, że przez tyle lat plątałam słowa.

Chodził do szkoły, kiedy zespół Madness zdobywał listy przebojów, czyli ma, zaraz, ile lat? Trzydzieści trzy, coś koło tego. Właściwie dlaczego liczę? Długo, obcy, niemal łysy z tą króciutką fryzurą pasował do mojego nowego wcieleń: Królowa Jess - żadnych skrzydeł, tylko praca i wychowywanie potomstwa.

A jednak w piątkową noc do domu zawitało ciepło i spokój. Zjawiły się wraz z nowym lokatorem. Kiedy obudziłam się o drugiej, chrapanie Pietera dobiegające z pokoju gościnnego dodało mi otuchy. Owinęłam się kołdrą przewróciłam na drugi bok i zasnęłam z uśmiechem na ustach.

Rozdział trzynasty

Ani Lawrence z Arabii, ani Redmond O'Hanlon nie byliby bardziej dumni z zaplanowanej podróży niż ja tamtego ranka, gdy popijałam kawę czekając na prom do Francji o szóstej rano. Wyruszyłam w świat sama, na czele mojej malutkiej gromadki, która z apetytem wciniała rogaliki na tylnym siedzeniu.

Zapach morza i ropy silnikowej, potężny korpus promu i morze przed nami, wszystko to napawało mnie poczuciem siły. Jeśli zechcę, udam się na koniec świata z moimi dziećmi i nikt nie zmusi mnie do powrotu.

Śmieszne, biorąc pod uwagę fakt, że z trudem udało nam się dojechać do portu nie gubiąc po drodze rowerów z bagażnika, a Frankie ostatkiem sił powstrzymała się od wymiotów. Nie miało to nic wspólnego z chorobą lokomocyjną, po prostu jest nieodrodną córeczką swojego tatusia i jak Martin uważa ranne wyjazdy za najgorszy koszmar na ziemi. Trochę to niewygodne dla fotografa, skoro podobno najlepsze światło jest o świcie.

Wsiadliśmy na prom, gdzie natychmiast otoczył nas tłum matron w sweterkach i ich dzieci w bluzach i dresach. Wszystko było takie zwyczajne, codzienne, zdawało się mówić, że przejażdżka promem to właściwie to samo co jazda podmiejskim autobusem. Ja tymczasem nadal czułam się niepokonana. Przebiegła jak Moriarty, skoro wynajęłam domek. Oryginalna jak Einstein, że wybieram się do Francji. Odważna jak Livingstone, skoro sama zabieram dwoje dzieci do kraju, w którym nie będę nawet umiała zapytać, która godzina, że już nie wspomnę o wyjaśnieniu, że poszły mi hamulce w samochodzie albo że córka ma anginę.

We własnych oczach byłam ogromna, trójwymiarowa, a nie mała i płaska. Nie chwilowo nabuzowana, lecz solidna, mocna, władcza.

Wszystko to reakcja na panikę przyjaciół. Wszyscy przekonywali mnie, że lepiej byłoby pojechać do Kornwalii pod namiot.

Czułam się spokojna, jeśli chodzi o nasze wakacje. Nietrudno było wszystko załatwić i niewiele mnie to kosztowało, bo mieliśmy zamieszkać w domku znajomych Jamesa, za darmo, a bilety na prom kosztowały grosze, ponieważ kupowaliśmy je w ostatniej chwili. Tymczasem wszyscy inni nagle wpadli w panikę. Sarah przybiegła wczoraj wieczorem, kiedy nadzorowałam pakowanie i starałam się ograniczyć ilość odzieży, którą dzieci chciały zabrać.

- Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?
- Co, dwie pary szortów zamiast trzech?
- N i e . Ta wycieczka do Francji, samotnie.
- Przecież nie jadę sama.
- Jess, nie błaznuj. Wiesz, o co mi chodzi. Przecież jeśli tam ci się, no wiesz, pogorszy, nie będziesz miała nikogo, z kim mogłabyś pogadać. Żadnej rozrywki.
- Oprócz taniego alkoholu, pięknych plaż, cudownych widoków... absolutnie nic.
- A jeśli znowu zaczniesz płakać?
- To pójdę na zakupy i zaraz będzie mi lepiej.
- A jazda samochodem? Co zrobisz, jeżeli nagle zasłabniesz?
- Do cholery, Sarah, posłuchaj tego, co mówisz! Od przystani do domku jest niecałe osiemdziesiąt kilometrów!
- No dobrze, dobrze, przepraszam. Martwię się o ciebie, i tyle, tak samo jak Kath.

Potem zadzwonił Chris.

- Jess, muszę ci coś powiedzieć, coś bardzo ważnego.
- T a k ?
- Zakochałem się. Codziennie dzwonię do Jo i jest coraz lepiej. Przyjadę się z nią zobaczyć w połowie tygodnia, zanim polecę do Aberdeen.

- Aberdeen?
- Doskonale miejsce na fotografowanie zimowej mody, zawsze zimne i jakieś takie brutalne. W każdym razie mogą wpaść?
- Owszem, ale zastaniesz tylko Pietera, mojego lokatora. Jedziemy do Francji.
- Wspaniale. Z kim?
- Z dziećmi.
- Jess, zwariowałaś. Nie możesz jechać sama. Zabierz kogoś ze sobą.
- Chris, jadę do Francji, nie do Sudanu. Aberdeen jest dalej niż wioska, gdzie się zatrzymamy.
- Zapisz sobie mój numer komórkowy i dzwoń w każdej chwili.
- Nic mi nie będzie. Jadę na urlop, do cholery. Dlaczego nikt się nie cieszy?

Flic sprawiała wrażenie zadowolonej, ale tak samo jak pozostali, zmieniła zdanie, kiedy się okazało, że wyruszam sama z dziećmi.

- To cholernie głupie - powiedziała. - Ockniesz się we Francji z dwójką rozwyrzonych bachorów, gotowych mordować i grabić, i nie będzie przy tobie nikogo.
- Wiesz, od tego są telefony, przecież nie cofnę się w czasie.
- W każdym razie nie dzwoń do mnie z płaczem, bo ci powiem: „A nie mówiłam?”.
- Dzięki, Flic, to miło z twojej strony.
- Proszę bardzo. Czemu do Francji? Czemu nie pojedziesz w jakieś sensowne miejsce, na przykład do Kornwalii czy do Norfolk?
- Tak jak ty, prawda? Gdzie ostatnio byłaś, na Kubie czy w Kostaryce?
- To co innego. Ja nie podróżuję z dwójką dzieci.
- Francja to nie dżungla Amazonii, na Boga. Skoro nie mogę zapewnić moim dzieciom rodziny z prawdziwego zdarzenia, chcę im chociaż zafundować małą przygodę.
- Jasne, matka z tendencjami samobójczymi to przygoda, że hej.

Nie dałam zbić się z tropu. No, może tylko troszeczkę. A kiedy Dan i Frankie wychylali się przez burtę i z wypiekami na twarzach pokazywali palcami łódki w porcie St Malo, wierzyłam święcie, że wszystko się uda. Byłam szczęśliwa. W tej chwili miałam wszystko, czego chciałam: turkusowe morze, podekscytowane dzieci i Francję przed nami.

Oczywiście przez cały ten czas udawało mi się lekceważyć drobny problem, czyli ruch prawostronny. Tylko raz prowadziłam samochód we Francji - na wakacjach z Martinem. Dan i Frankie byli jeszcze w powijakach. Martin zaciskał pięści i syczał na mnie na każdym zakręcie. Wzdychał. Zamykał oczy. Naciskał nie istniejący hamulec. Po pół godzinie zalałam się łzami i oddałam mu kierownicę. Jazda po prawej stronie drogi przekraczała moje możliwości. Może Leonardo da Vinci dałby sobie z tym radę albo pilot RAF-u, ale nie ja.

Jednak widok owych matron w pulowerach, które dzielnie siadają za kierownicą dodał mi animuszu. Skoro im się to udaje, uda się i mnie. Jakby nie było, robią to durni francuscy wieśniacy...

Na pierwszych rondach jechałam w ślimaczym tempie, cały czas w panice, że zrobię coś nie tak i wpakuję nas prosto pod ciężarówkę z kilkunastoma tonami najlepszej francuskiej cielęciny.

Ale o niczym nie zapominałam. Zaakceptowałam, że wszystko dzieje się jak w lustrzanym odbiciu, jakbym była Alicją. Kiedy dojeżdżaliśmy do autostrady, odważyłam się nawet wyprzedzać. Dan i Frankie głośno wyrazili swoje uznanie:

- Super, mamo!

- Udało ci się!

Wspaniale. Mam całą Europę u stóp. Szkoda, że nie jedziemy w Pireneje, że domek czeka na nas niecałe osiemdziesiąt kilometrów od wybrzeża.

Miałam klucz ze sobą więc nie musiałam się obawiać żmudnych pertraktacji z wiekowym dozorcą w mojej szkolnej francuszczyźnie. Mieliśmy zamieszkać w połowie starego gospodarstwa. Rolnik i jego żona nadal mieszkali w swojej części domu, za starannie przystrzyżonym żywoplotem. Do zagrody prowadziła wiekowa brama, jakby żywcem wyjęta z kart *Pani Bovary*, z kutego *żelaza*, pomalowana obłazającą niebieską farbą. Klucz był olbrzymi, bajkowy. Pasował jednak i weszliśmy do środka. W środku szalał huragan: wyburzono wszystkie ściany, rozebrano połowę pierwszego piętra. Część sufitu straszyla połamanymi deskami i smętnymi resztkami linoleum. Podłogę natomiast pokrywały nowe, drogie kafelki, w okna wstawiono nowiutkie szyby. Przyjaciel Jamesa zajmował się handlem nieruchomościami. Ilekroć dokonał korzystnej transakcji, inwestował w remont domku. Zdjęliśmy okiennice i słoneczne światło załało nas z trzech stron. Cudownie znaleźć się w miejscu tak pustym i tak jasnym. Dopóki nie popatrzysz w górę.

W kąciuku ukryła się kabina prysznicowa i toaleta za zielonym parawanem. Po drugiej stronie panoszyła się stara lodówka, stół i kuchenka turystyczna na butle gazowe. Pod ścianą- sterta materacy. Na środku pokoju, tam, gdzie niegdyś stała ścianka działowa, piękny kominek piął się do góry, w stronę dachu. Polana poniewierała się obok, jak tor przeszkód na podłodze.

Po remoncie będzie tu cudownie. Ciekawe, czy ten znajomy Jamesa jest kawalerem. Może chciałby, żeby ktoś doglądał prac remontowych?

Dzieci aż piszczały, żeby się rozpakować, więc przytaszczyliśmy bagaże z samochodu, wyciągnęliśmy materace na środek, koło kominka, i włączyliśmy lodówkę, która skrzypiała i trzeszczała jak stare pianino.

Nawet o czwartej było jeszcze gorąco. Poszliśmy na plażę. Kilka francuskich rodzin pochylało się wdzięcznie nad koszami zjedzeniem, ale żółta piaszczysta przestrzeń zdawała się dziwnie pusta, a morze aż zbyt niebieskie.

Ścigaliśmy się z falami. Pisaliśmy nasze imiona na piasku. Goniliśmy mewy, bawili się w berka.

Wydawało mi się, że znowu mam dziesięć lat. Byłam lekka, wolna, jak nigdy nie byłam z Martinem. Moi mali towarzysze są zadowoleni z mojej obecności;

przynajmniej przez najbliższe dwa lata mogą na nich liczyć. Z Martinem nigdy nie miałam tej pewności. Zawsze patrzył w dal, na horyzont, jakby widział coś na widnokręgu. Szalejąc z dziećmi byłam szczęśliwa, zadowolona z życia. Ani śladu niepewności i wahania, jak zazwyczaj z Martinem. Zrozumiałam też, skąd się brały te uczucia - obawiałam się tego, co już się stało. Najgorsze za mną nie muszą już czekać na cios.

W drodze do domu kupiliśmy chleb i wino. I *moules* a bardzo grubej kobiecie w czarnej sukni. Udusiliśmy je w maśle, z dużą ilością czosnku. Dzieciaki pałaszowały, jakby nie jadły od tygodnia, pochłonęły też dwie bagietki. Potem napaliliśmy w kominku i opowiadałam im bajki.

Kiedy zasnęli, siedziałam w półmroku i nuciłam sobie cichutko. Płakałam, ale nie były to gorzkie łzy.

Było to najlepsze dwanaście godzin mojego życia w ciągu ostatnich piętnastu lat.

Oczywiście, taki stan nie mógł trwać wiecznie. Dwa dni. Jeździliśmy na rowerach, pływaliśmy, budowali zamki z piasku, zbierali kwiaty. Dzieci nauczyły się kupować chleb i ser po francusku i napawało je to taką dumą jakby *du pain* czy *du fromage* było magicznym zaklęciem.

Trzeciego ranka wybraliśmy się na rowerach do klasztoru położonego kilka kilometrów dalej. Otwarty dla turystów, którzy mogą tu również kupić miód własnej roboty. Żle to zaplanowałam. Wyruszyliśmy zbyt późno, by poranny chłód umiłał nam podróż. Już w drodze w tamtą stronę pot łał się nam z czoł. Z ulgą zanurzyliśmy się w chłodnym półmroku murowanej kaplicy. Nie wiem, czy wrażenie to wywołała fizyczna ulga, czy atmosfera - kremowe ściany, zakonnice w jasnych habitach, o przegubach szczupłych jak ręce modelek, w każdym razie dzieciaki uległy czarowi natychmiast. Stąpały na paluszkach, jak staruszki zwiedzające wiejską rezydencję wiedząc, że jaśnie pan akurat jest w domu.

Co prawda podaję się za ateistkę, ale tak naprawdę wierzę, że istnieje jakaś istota mądrzejsza ode mnie. Wierzę we wszystko, poczynając od chińskich przepowiedni w ciasteczkach szczęścia, po kolędy. Mam dziwne wrażenie, że gdzieś kryje się odpowiedź. Że naprawdę dobre i złe uczynki ktoś gdzieś zapisuje. Że gdzieś tam jest plaża, a na niej dwa imiona wypisane patykami. Chciałabym tylko wiedzieć, czyje to imiona.

Dlatego zrobiłam coś, czego nie robiłam, odkąd przez przypadek spędziłam dwa semestry w szkole katolickiej. Zapaliłam świeczkę za Martina, a potem zmówiłam „Zdrowaś Mario” za Martina i za mnie, za to, żeby to nasze imiona widniały na piasku. Nie modliłam się tymi słowami od dwudziestu pięciu lat, jednak surowa siostra Ignatia na dobre wbiła mi je do głowy.

*Zdrowaś Mario, laskiś pełna,
Pan z tobą,
Błosiawionaś między niewiastami
I błogawiony owoc żywota Twojego, Jezus.*

Kiedy byłam mała, zawsze mnie peszył ten fragment o „owocu żywota”. Niewłaściwy wydawał mi się taki entuzjizm zakonnic dla czyjejś ciąży. Tym razem jednak wypowiedziałam je bez rumieńca, zapaliłam świeczkę i postawiłam ją obok innych migoczących prośb o pomyślność, o dzieci, o zdane egzaminy.

Tylko że życzenia to działanie bardzo bierno. Tym samym znowu oddałam się w ręce losu - usiadłam obok Martina na siedzeniu pasażera, zamiast samej pchać się na autostradę. Wyszłam z kaplicy ze łzami w oczach. Dzieci również pociągały nosem. Udzieliła im się atmosfera miejsca i przeraził widok matki, palącej świeczkę za ich przyszłość.

W minorowych nastrojach kupiliśmy miód i świece, także wyrabiane przez zakonnice, i w milczeniu zjedliśmy kanapki w cieniu, pod wiekowym murkiem.

Powinniśmy byli tam poczekać, aż się choć trochę ochłodzi, jednak w klasztorze nie było nic innego do roboty oprócz modlitwy, więc ruszyliśmy w drogę powrotną. Wzdłuż szosy nie było praktycznie żadnych drzew. Przy czwartym wzgórzu kursowałam od Dana do Frankie i z powrotem, pocieszałam, zachęcałam, rozśmieszałam. Sytuację pogarszał fakt, że z bidonu spadła zakrętka i zostaliśmy bez wody. Zbuntowali się na szczycie wzgórza, w cieniu małego krzaczka.

- Dlaczego nie sprawdziłaś zakrętki? - Dan, czerwony ze złości, wymachiwał w moją stronę pustym bidonem.

- Zaraz się odwodnię - oznajmiła Frankie, gotowa zalać się łzami.

Wytrzymali jeszcze dwa wzgórza. Potem Frankie ryczała już bez przerwy, a Dan denerwował się coraz bardziej.

- Jesteś taka głupia. Dlaczego nas do tego zmuszasz? Jedź po samochód. - Wpadał w histerię.

- Nie mogę, nie mogę was zostawić, to niebezpieczne.

- Idź po samochód, mam - szlochała Frankie.

- No, idź już! - zawtórował Dan.

Wtedy zrozumiałam coś, co przeczuwałam już w kaplicy. Martin mnie zostawił właśnie tutaj, na końcu świata, z dziećmi, bez wody i bez cienia. Utkwiłam w środku życia, za daleko, by zawrócić, zbyt dużo bagażu, by zmienić kierunek. Jakim cudem liczę na nowe życie? Kto weźmie sobie na głowę histerię na środku francuskiej szosy, zmarszczki i cellulitis?

- Nie mogę! - wybuchłam. Plułam jadłem przeznaczonym dla Martina. W moim głosie było tyle trucizny, że zwałiłoby z nóg dorosłego, co dopiero dwoje dzieci. - N i e mogę i tyle. Rozumiecie? Nie zostawię was samych. A może jesteście za głupi, żeby to zrozumieć?

- Świetnie, jeszcze nas obrażaj. Super. - Ironia zniknęła i Dan się rozplakał. Ze szlochaniem cisnął rower na ziemię. - Nienawidzę tego, nienawidzę!

- A ja nienawidzę ciebie! - pisnęła Frankie do mnie i pobiegła za bratem.

Odwrociłam się na pięcie i wskoczyłam na siodelko. Naciskałam na pedały z całej siły, chciałam, żeby mi pękły mięśnie, puściły ścięgna. W tej jednej chwili chciałam uciec od tego wszystkiego.

Dotarłam do domu w pięć minut. Właściwie nie wiem, czemu nie kazałam dzieciom poczekać w klasztorze i nie pojechałam po nie samochodem, co zrobi-

łam dopiero teraz. Zobaczyłam je na ostatnim wzgórzu, czerwone z wysiłku, zapłakane. Bali się, bo wiedzieli, że przez moment chciałam od nich uciec.

Załadowałałam rowery na bagażnik i wróciliśmy do zagrody. Frankie nie chciała wysiąść z samochodu. Dan włączył do śpiwora. Nie mogłam powiedzieć ani zrobić nic, co zmieniłoby ich humor.

Usiadłam przy samych drzwiach i obserwowałam, jak cienie w ogrodzie stały się coraz dłuższe.

O zmierzchu Frankie zasnęła w samochodzie, a Dan w śpiworze. Osiągnęłam dno butelki i szykowałam się do dalszej degustacji francuskiego piwa, kiedy nad żywoplotem pojawiła się mała twarz, oświetlona zachodzącym słońcem. Krągła, rumiana i pomarszczona jak zimowe jabłko, zakończona płaską czapczką. To mój tymczasowy sąsiad, emerytowany rolnik. Jak większość Anglików, którzy mieli francuski w liceum, jestem w stanie wykrztusić zaledwie kilka słów w tym języku, więc nie rozumiałam ani słowa z jego szybkiej paplaniny. Nie musiałam się nawet wysilać, by wygłosić moje nieśmiertelne: *Je ne parle pas Français*; od razu zobaczył, że nic nie pojmuję. Podniósł gruby palec, powiedział: *Moment* - i znikł.

Zza żywoplotu dobiegła mnie ożywiona rozmowa z, jak zakładałam, jego żoną. Kroki. Odgłos korka wyciąganego z butelki. Brzęk kieliszków. A potem pojawili się oboje, niosąc między sobą butelkę wina i trzy kieliszki na metalowej tacy. Natychmiast przypomniały mi się karły z *Yellow Brick Road*, ta dwójka miała w sobie coś takiego. Zresztą oboje byli niscy, niżsi nawet ode mnie, okrągli, ubrani w identyczne granatowe dresy. Różniły ich jedynie głowy. Jego wieńczyła czapczka, jej - czarne loki. Z uśmiechem usiedli przy stole, naleli wina.

- Zah pani dobreh zdrrowieh - mężczyzna zachęcająco podniósł swój kieliszek.

- Na zdrowie! - odparłam.

Przechylił głowę na bok:

- Jeszcze raz.

- Na zdrowie.

- *Ah bon* - odezwali się jednocześnie. - *N a h zdrrowieh*.

Wypiliśmy jeszcze kilka „nah zdrrowieh”, po czym przedstawili mi się, pokazując palcem na klatkę piersiową i z przesadną starannością wymawiając swoje imiona.

-François. Fran... çois. François François.

- Bonjour, François.

- Marie. Mar..ie. Marie.

- Bonjour, Marie. *Je m'apelle Jess*. - Entuzjastycznie kiwali głowami. Uściliśmy sobie dłonie. François dołał nam wina.

- Przejechała pani samma?

- Tak... nie, właściwie nie. Z dziećmi, *mon fils et ma filie*. - Niewiarygodne, jak dużo się pamięta po alkoholu. Marie i François rozpromienili się słysząc moje próby. Nabrałam odwagi.

- *J'ai un mari, mais il a départ* - pomogłam sobie gestem, który w moim przekonaniu wyrażał, że mnie rzucił. Rozgrzewałam się coraz bardziej i przypo-

minałam coraz więcej. - *Il a trouvé une femme qui a les cheveux rouge. Et les jambes très longues. Elle est plus jolie que moi. Et plus jeune. Elle n'a pas les enfants. Elle est libre.* - Jeśli sądzić po głębokiej koncentracji na ich twarzach, szkolna francuszczyzna nie na wiele się zdała. Ale skoro już zaczęłam... - *J'aime mon mari. Beaucoup. Beaucoup. Mon coeur est cassé, totalment. Cassé. Je suis désolée.*

Marie miała łzy w oczach. Albo zroszyła, albo reagowała jak moja nauczycielka, ilekroć słyszała mój akcent. Wydobyła chusteczkę z granatowej kieszeni i otarła oczy. Poklepała moją dłoń.

- Gdzie jest pani mąż? - dopytywał się François.

- W Londynie. Z ... *avec sa fille nouvelle.*

- To barrrdzo smutne. *Triste-* stwierdził. Marie dalej głąskała mnie po ręce. Szlochała już otwarcie. Zaczęłam się całkiem poważnie obawiać, że powiedziałam coś niestosownego i nieświadomie sprawiłam im przykrość.

François objął Marie ramieniem.

Nagle, nieoczekiwanie, podnieśli się z krzesel.

- Dobrrranoc - pożegnał się François.

- *Bonsoir* - chlipnęła Marie. Ciągle ukrywała się za chusteczką.

Zabrali tacę i zniknęli za żywopłotem, jakby ktoś cofał film na podglądzie.

- Dlaczego płakała? Co jej powiedziałaś? - Dan wynurzył się z cienia. Chyba stał tam od dawna.

- N i e mam pojęcia, wiem tylko, co chciałam jej powiedzieć. Może załamała się słysząc mój akcent. - Puścił żart mimo uszu.

- Dostanę coś do jedzenia?

- Oczywiście, ale najpierw wyciągnijmy Frankie z samochodu.

Nie musieliśmy tego robić, wysiadła sama i ostrożnie szła ku nam boso po kamienistej dróżce.

- Kto to był? Wyglądali jak karzelki z bajek.

Tajemnicza wizyta i nagłe odejście François i Marie pozwoliły nam zapomnieć o wydarzeniach poranka. Upiekliśmy ziemniaki w popiele i po ciemku opowiadaliśmy sobie różne historie. Ułożyłam materace w ten sposób, że mogłam objąć oboje naraz.

- Przepraszam za dzisiaj - odezwałam się.

- Myśleliśmy, że nas zostawiłaś. - Na samo wspomnienie Frankie była gotowa się rozplakać.

- Kochanie, tak mi przykro. Nie chciałam was przestraszyć. Nigdy was nie zostawię.

- Było za gorąco i już - uciął Dan. - Nie chcę więcej o tym rozmawiać.

Jak wrześniowa pogoda nie wraca do letnich upałów, tak bezpowrotnie odszedł beztroski nastrój pierwszych dwóch dni. Sytuacji nie poprawiały codzienne

spotkania z Francois i Marie, która na mój widok zalewała się łzami i uciekała do domu, a zmartwiony Francois spieszył za nią.

Chodziliśmy na plażę, ale wszędzie widzieliśmy eleganckie francuskie rodziny, przystojnych mężczyzn, piękne kobiety, szczęśliwe dzieci. Odbierałam to jako wyrzut sumienia - mnie nie udało się uratować małżeństwa. Siedziałam z nosem w książce, Dan i Frankie klócili się o drobiazgi i nudzili jak mopsy. Kiedy akurat nie czytałam, krzyczałam na nich. Nie wiem nawet, co czytałam. Nic nie pamiętam.

Zaczęłam wszędzie widzieć Martina. Tamtego trzeciego dnia wydało mi się, że widzę, jak wsiada do samochodu przy supermarkecie. U jego boku siedziała rudowłosa piękność. Biegłam za nimi, wołałam. Po powrocie do naszego samochodu zastałam dzieci we łzach. Wtedy zrozumiałam, że to nie Martin. Jednak widywałam go wszędzie - jeszcze raz tego dnia, dwukrotnie następnego. Czasami był z nią, czasami sam, zawsze poza zasięgiem. Znikał w tłumie, stawał się niewyraźną sylwetką.

Dnie przerodziły się w zlepkę godzin koszmarnie zniekształconej rzeczywistości. Wszystko mnie drażniło. Kwitnące geranium i lobelie, które tak mnie zachwyciły po przyjeździe, teraz zdawały się tandetne i brzydkie. W samochodzie wystarczył najcichszy szmer, bym zjeżdżała na pobocze i przeszukiwała cały wóz w poszukiwaniu winowajcy. Nocami chodziłam tam i z powrotem, gdy dzieci spały i płakały przez sen. Za dnia woziłam je po okolicy, ciągałam po malowniczych miasteczkach, jak żywe trupy ukrywające się wśród ludzi.

W drodze powrotnej piątego dnia przyłapałam się na tym, że tęsknie spoglądam na dno wąwozu i rozważam, jak miło byłoby odpocząć. Powstrzymał mnie chór przyjaciół, grzmiący: „A nie mówiłem?” na pełny regulator w mojej głowie. Zamiast skrócić i docisnąć pedał gazu, zawróciłam, znalazłam budkę telefoniczną i zadzwoniłam do towarzystwa przewozowego. Tak, na dzisiejszym promie są jeszcze miejsca, nie ma sprawy, mogę zmienić rezerwację.

O siódmej rano zjechaliśmy z promu w Plymouth. Powitał nas szary piątkowy ranek. Od razu poprawiły się nam humory. Kupiliśmy sobie obrzydliwe kanapki na stacji benzynowej i zachwyciliśmy się ich tekturowym smakiem. Dzieci natychmiast zaczęły wspominać wakacje; pamiętały *moules* i plażę, i zakupy, wszystkie cudowne szczegóły pierwszych dwóch dni. Zanim dotarliśmy do domu, zapomnieli o wszystkim, co złe.

- Dzięki, mamo. To jedno z najfajniejszych wakacji w moim życiu - stwierdził Dan wysiadając z samochodu.

- Cieszę się, że wróciliśmy do domu - oznajmiła Frankie cichutko.

- Ja też - mruknęłam.

Dopiero w domu, na własnym trawniku upstrzonym stokrotkami, uświadomiłam sobie, jak daleką drogę przebyłam podczas podróży do Francji. Dotarłam na skraj przepaści i wróciłam stamtąd, z krawędzi czerni z powrotem do światła.

Rozdział czternasty

To, że podczas kręcenia serialu o zwierzętach kogoś z nas coś pogryzie, było nieuniknione. Może Steve podsunie rottweilerowi mikrofon pod nos albo Rob ustawi kamerę na kocim ogonie.

Do tego czekała nas pokuta za to nieszczęście z chomikiem.

Najwyraźniej bóstwo opiekuńcze gryzoni ma spore znajomości na tamtym świecie, a może mały tłusty chomik był jakimś czworonożnym guru, bo podczas pierwszego tygodnia na planie wszystko szło nie tak jak trzeba.

Zaczęło się od szynszyli. Nigdy za nimi nie przepadałam. Osobiście uważam, że połączenie głupoty i wielkich siekaczy to nie jest idealna kombinacja na domowego pieszczołka. I jeszcze do tego ta ich pozycja: siedzą pochylone, jakby czaatowały na pierwszą lepszą okazję.

Marge, właścicielka hodowli tych stworzeń, wybrała do nagrania Anthony'ego, młodego samca, o, jak zapewniała „nienaganych manierach”. Co prawda nie bardzo wiem, na czym miałyby polegać manieri szarego kłębka futra z twarzą Bilii Gatesa. Dopiero spotkanie z Anthonyem otworzyło mi oczy.

Było gorąco, Marge obawiała się, że Anthony się za bardzo zmęczy, więc nalegała, żebyśmy kręcili w cieniu, pod markizą. To, oczywiście, nie przypadło do gustu Robowi, ze względu na pasy w kontrastowych kolorach na tejże markizie. Odbył pospieszną szeptaną naradę z Judith. Słyszeliśmy tylko fragmenty, między innymi jego obawy, że będziemy wyglądały jak więzienne ubranka. Judith chyba przekonała go, że to jej najzupełniej wystarczy, bo wkrótce zaczęliśmy kręcić.

Jak wszystkie zwierzęta, które ponoć nie rozumieją ludzkiej mowy, szynszyłe rozpoznają jedno jedyne słowo - akcja, i rozumieją je bardzo dosłownie. Ledwie to słowo padło, Anthony zeskoczył z kolan Marge i ukrył się za donicami.

Marge prośbami i groźbami wywabiła go z kryjówki, ale teraz przeszkadzał nam lokalny klub spadochroniarski. Ich samolot krążył bardzo nisko, pewnie jakiś niedoświadczony skoczek szykował się do pierwszej próby. Teraz przyszła kolej Steve'a, żeby się wkurzyć. Steve wychował się w Adelaide, na owczej farmie; biedna Marge chyba nie przywykła do tak soczystego języka, jakiego używał, kiedy po raz czwarty przerwaliśmy przez ogłaszający huk samolotu.

Gdy w końcu mieliśmy i ciszę, i szynszyłe w obiektywie, Anthony uznał, że znudziło mu się to głupie pozowanie. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, pochylałam się, żeby go pogłaskać za uchem. On tymczasem skoczył mi na ramię i ugryzł mnie w ucho. Gdyby nie obawa, że równie łatwo upora się z tętnicą zerwałabym drania z siebie i tłukła dumą czaszką o gustowne gliniane donice.

Marge, niewiasta słusznych rozmiarów, wpadła w histerię, zerwała się na równe nogi i rzuciła na Anthony'ego sweter, wskutek czego natychmiast, jak to szynszyła, uznał, że jest noc i się uspokoił. Przy okazji Marge wyrwała kabel łączący mikrofon z bateriami ukrytymi w kieszeni jej sukienki. Steve przeszedł samego

siebie. Judith błyskawicznie przeszła metamorfozę z pani reżyser w matkę trójki dzieci i kazała mu wyjść na ulicę i się uspokoić. Ja stałam bez ruchu, krwawiłam i zapewniałam wszystkich, że nic mi nie jest, po czym zemdlałam. Jedynie Rob nie stracił zimnej krwi i kręcił całe zajście.

- Cięcie! - krzyknął w końcu. - Kręciłem, Judith, będziemy mieli superkawalek na gwiazdkowe przyjęcie.

Sfilmowaliśmy Anthony'ego i jego kumpli w przestronnych klatkach, a kiedy przestałam krwawić, przeprowadziłam wywiad z samą Marge, w blasku słońca, na tle jej pięknych kwiatów.

- Marge, czy szynszyle stanowią dla ciebie jakąś pociechę po odejściu męża?

Nic dziwnego, że po krwiozerczych szynszylach o poranku byliśmy pełni obaw co do królików po południu. Czekaliśmy na spotkanie z Marstonami, całą rodziną hodowców tych zwierzątek. Hodowanie chyba działa w obie strony; moim zdaniem również króliki hodują Marstonów. Bracia-bliźniacy, seniorowie rodu, Geoff i Derek, mieli po dziesięcioro dzieci każdy, i to tylko z pierwszego małżeństwa, z czasów, gdy mieli głupie dwadzieścia parę lat. Obecnie panowie Marston byli już po czterdzieście i obaj posiadali nowe, młode, płodne żony i nowe dzieci, odpowiednio czworo i troje.

Jakimś cudem Marstonowie, ich żony i wszystkie dwadzieścia siedmioro dzieci mieścili się w małym niepozornym bliźniaku. Nie wyobrażałam sobie, jak cały klan może mieszkać w takim malutkim domku, chyba że spiąją na piętrowych łózkach albo czarodziejsko znikają jeden w drugim, jak te śmieszne rosyjskie laleczki, puste w środku.

Kwatery królików były ludzkie domostwo na głowę. Żadnej ciasnoty, każda mała rodzinka miała własny domek i wybieg. Cztery alejki długie po pięćdziesiąt metrów, mnóstwo małych domków, wszystko pomalowane w odcieniach tęczy - najstarsza Marstonówna pracowała w sklepie z artykułami AGD.

Jakby sami Marstonowie nie mogli nam zapewnić odpowiedniej liczby dzieci w każdym wieku, Judith ściągnęła dziesięcioro uczniów z pobliskiej podstawówki, żeby sfilmować ich „spotkanie z królikami”. Dzieciaki miały wybrać, który zwierzak podoba się im najbardziej, a miały z czego wybierać, skoro Marstonowie dochowali się chyba ze dwudziestu odmian.

Geoff i Derek w towarzystwie liczego potomstwa oprowadzali dzieciarnię po wybiegach, a w ślad za nimi wędrowali Rob i Steve z kamerą i mikrofonem. Kilka razy o mało nie doszło do katastrofy, bo ktoś zaplątał się w kable, ale generalnie wszystko szło jak po maśle, aż Judith przestała odhaczać coś na kartce i schowała różowy flamaster.

W końcowym ujęciu miałam stać wśród dzieciaków, z których każde trzyma ulubionego królika i tłumaczy, dlaczego wybrało akurat tego. Rob i Judith ustawili dzieci i przeprowadzili próbę bez czworonogów. Wspaniale.

Geoff i Derek wcisnęli każdemu królika. Ja dostałam maluszka, z małymi zębami, tak na wszelki wypadek. Był czarno-biały, ze śmiesznie obwisłymi uszami. Wyobrażam sobie, jak słodko ta scena wyglądała w obiektywie: dziesiątka rozpromienionych dzieciaków z rasowymi królikami w ramionach. Króle były najróżniejsze: arystokratycznie długie, brązowe; śliczne, małe, okrągłe, szare kłębuszki; białe olbrzymy; króliki w ciapki, kropki, ze sterzcącymi i z obwisłymi uszami. Aż się w głowie kręciło od takiej różnorodności.

Ledwie z ust Judith padło sakramentalne „akcja”, wszystkie, co do jednego, słodkie króliczki przeszły metamorfozę - zmieniły się w krwawe wilkołaki. Po kolei, jeden po drugim, zatapiały potężne siekacze w dziecinnych rączkach. Wystarczyły niecałe trzy minuty, by z rzędu roześmianych maluchów z królikami w objęciach zrobiła się gromadka dzieci zapłakanych i krwawiących. Króliki natomiast, niespodziewanie wolne, kicały radośnie, łączyły się w pary i robiły to, co króliki lubią najbardziej. Geoff i Derek, targani obawami o czystość rasową rzucili sieje rozdzielać z zapalem co najmniej dziwnym u mężczyzn tak jawnie popierających intensywną prokreację. Jedynie mój królik mnie nie ugryzł, za to ze strachu dostał rozwolnienia. Jakim cudem tak dużo się mieści w tak małym stworzeniu? Pewnie zasada jest taka sama, jak z domami Marstonów.

Pod koniec pierwszego dnia wydawało nam się to zabawne, ale później, po spotkaniu z: pekińczykiem, który uszczuplił mikrofon Steve'a i kostkę Judith (właściciel Rodney, rozwiedziony w dziewięćdziesiątym pierwszym, niepalący, wykształcony, desperat), konikiem górskim, który mnie kopnął i uszczęśliwił siniakiem wielkości talerza na udzie (właściciele Jane i Mark, szczęśliwe małżeństwo od piętnastu lat, alleluja!), szczurami, które gryzłyby wszystko w zasięgu zębów (właścicielka Louise, nimfomanka, porzuceni narzeczeni zaludniają nasze miasta) i tarantulami, które obrzucały wszystkich włoskami powodującymi uporczywe swędzenie (właściciel Marcus, niedomyty, lat czterdzieści siedem, dziewica po dziś dzień) - jakoś przeszła nam ochota do żartów.

Kiedy w czwartkowy poranek stawiliśmy się na progu podupadłej wiktoriańskiej plebanii, nie było nam do śmiechu. Dobrze chociaż, że tutaj odwiedzamy ptaki, one przynajmniej nie mają zębów.

Judy, nasza rozmówczyni, otworzyła nam drzwi i od razu wyczuliśmy, że przed nami kolejny ciężki dzień. Była po sześćdziesiątce, wysoka, o długich siwych włosach upiętych na czubku głowy w coś, co wyglądało jak nieużywane gniazdo. Miała na sobie szyty na miarę kostium z bardzo wąską spódnicą i pantofle na szpilkach, upaprane błotem. Wyglądała, jakby dopiero co wyszła z herbatki dla wyższych sfer w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Przemknęło mi przez myśl, że być może gdzieś w tym domu czeka od czterdziestu lat ucztą weselna. Na obu ramionach miała białe epolety z ptasiego łąjna, dowód uczucia dwudziestu papug, latających po całym domu. Fruwały nad naszymi głowami i wrzeszczały, jakby wyskubywano im wszystkie pióra. Ledwie przeszliśmy przez hol, zdążyliśmy się przekonać, że nie zawsze tak starannie celują białym paskudztwem.

Przedpokój urządzone w klasycznym wiejskim stylu angielskim. Można to było poznać po liczbie obrazów, które dziedziczy się tylko po przodkach z dużą ilością pieniędzy i brakiem gustu. W wysokich oknach wisiały ciężkie aksamitne zasłony, wokół same antyki, prawdopodobnie prototypy tego rodzaju urządzeń, ale wszystko kontrolowały ptaki, a te, jak wiadomo, nie darzą zbytnim szacunkiem adamaszku (sześćdziesiąt funtów za metr) ani komódki po ciotecznym pradziadku George'u. Na każdej poziomej powierzchni piętrzyła się warstwa białej substancji, na tyle gruba, że zadowoliliby pracowników niewielkiej kopalni giano w Peru.

- Alfie, Josephina, Paatrrrick! - zaczęła Judy, czule wpatrując się w ptasie kłębowisko. - Są jak dzieci - oznajmiła, trzepocząc przy tym rzęsami i wydymając usta tak samo, jak to robiła na swoim debiutanckim balu czterdzieści lat temu. - Będą psocić, ale państwa polubią. Przygotowałam skromny poczęstunek. Może zjemy na werandzie?

Zostawiwszy całą chmarę ptaków wewnątrz, wyszliśmy na dwór. Podobnie jak pani domu, ogród kiedyś był klasycznie piękny. Teraz jednak piękna, szeroka weranda była zaniedbana, poręcz popękana, na stopniach wysiały się chwasty. Nagle pożałowałam tych zarośniętych grządek. Pewnie kiedyś pyszniły się liliami, różami i oczywiście szafirkami. Teraz widniały tam tylko chwasty, pokrzywy i jeżyny, wijące się u stóp dwóch potężnych cedrów libańskich.

Pośrodku czekał na nas czerwony stoliczek turystyczny i cztery zielone krzesła, a na stoliczku - dzbanek zielonkawego płynu i cztery szklanki.

- Kompot agrestowy własnej roboty! - oznajmiła Judy z dumą gdy zbliżyliśmy się do stolika. Wszyscy pomyśleliśmy o tym samym; wyobraziliśmy sobie, jak Judy krząta się po kuchni pełnej ptactwa, dzięki któremu we wszystkich potrawach jest jeden wspólny składnik.

Judith na szczęście nie straciła zimnej krwi i zaproponowała, żebyśmy od razu zaczęli kręcić. Rob i Steve zgodzili się entuzjastycznie, więc tylko mnie miał przypaść zaszczyt degustacji kompotu.

Uratowały mnie, w pewnym sensie, ary. Sfrunęły z cedru, ledwie usiadłyśmy; pojawiły się w jednej chwili, z trzepotem skrzydeł i głośnym wrzaskiem, oburzone wkroczeniem na ich terytorium. Dwie usiadły na stoliku, jedna na głowie Judy, dwie inne na poręczy. Były piękne, dorodne, intensywnie niebieskie i żółte, z dziobami potężnymi jak hak kapitana Hooka. Zachowywały się jak *macho*, jak południowoamerykańscy baronowie narkotykowi, ukrywający spluwę w kieszeni garnituru od Versace. Nagle największa, zirytowana, walnęła dziobem w jedną szklankę, inne po kolei pozrzucała na ziemię.

- Eroll! - okazała Judy lekką dezaprobatę. - Czy to ładnie?

Drugie ptaszysko zainteresowało się dzbankiem. Chciało stanąć na krawędzi, przeważało, dzbanek się przewrócił, zielona ciecz popłynęła na ziemię, a banda na poręczy wyraziła swoje zadowolenie głośnym wrzaskiem. Następnie zainteresowały się gośćmi. Zlekcewały sprzęt, wszystkie te fascynujące przyciski i kable; od razu skupiły się na ludziach. Domyślałam się, że chcą nas zastraszyć, ale zajęta rozmową z Judy, nie widziałam, co robią skupione przy stopach filmowców.

Zaznałam tego na własnej skórze, kiedy przyszła moja kolej. Zakradły się od tyłu i nagle któreś ptaszysko dziobnęło mnie w ścięgno Achillesa, na tyle mocno, że zabolalo. Zrozumiałam ostrzeżenie: „Przerwać takie ścięgno to dla mnie pestka. Tym dziobem rozwalam orzechy brazylijskie, więc miej się na baczności”. Teraz zrozumiałam, dlaczego Judy oddała ptakom dom. Nie miała wyboru.

Ara na jej głowie bawiła się w Vidala Sassoon i energicznie zmieniała jej fryzurę. Ja siedziałam bez ruchu i zadawałam kolejne pytania. W życiu nie przeprowadziłam gorszego wywiadu. Odpowiedzi Judy przeplatały się z uwagami, wygłaszanymi arystokratycznym akcentem, który w tym kontekście brzmiał absurdalnie: „Eddie, kochanie, to doprawdy niewłaściwe. Marylin, Marylin, przestań natychmiast”.

Na zakończenie jeden z łobuzów, Eddie albo Marylin, wskoczył mi na kolana i w ciągu kilku sekund pozbawił moją koszulę guzików sprawnie jak krawcowa. Po tym pokazie siły i władzy ary odleciały z powrotem na drzewo, gdzie zwykle zabijają czas strasząc biedne wróble.

Judy okazała się ich niewolnicą. Pokazywała nam inkubatory najajka, karmiła bezbronne pisklęta, opatrywała ich rany. Kiedy filmowaliśmy to wszystko, banda śledziła nas czujnie, ciągle w pobliżu, zawsze w gotowości, by zerwać ścięgno albo wydziobać oko za nieposłuszeństwo.

Zanim wyszliśmy późnym popołudniem, byliśmy wykończeni nerwowo, jak po spotkaniu z Szakalem. W ostatniej chwili, kiedy przekraczaliśmy próg, rozważałam, czy nie złapać Judy za rękę i nie wciągnąć z nami do samochodu. Jednak aby wymknąć się bandzie, musiałaby się poddać operacji plastycznej i mieć fałszywy paszport, a budżet naszego programu starcza zaledwie na kanapki.

Tak naprawdę jestem wdzięczna losowi za ten tydzień. W końcu nie sposób myśleć o Martinie i Dolores, splecionych w gorącym uścisku na tropikalnej plaży, kiedy nerwowy gryzoń przegryza ci ucho. Chwilowo jestem losowi wdzięczna za wszystko, bo po Francji wszystko wydaje mi się wspaniałe.

- Chyba pokonałaś pierwszy zakręt - stwierdziła Mary, kiedy wczoraj odbierałam od niej dzieci. - Wyglądasz dużo lepiej.

- Najwyraźniej służy mi wystawianie się na ataki żywych stworzeń.

- Więc zacznij hodować pszczoły.

Ma rację, nie co do pszczoł, ale co do zakrętu. Martin został za rogiem, więc nie widuję go już tak często. Mam coś w rodzaju nowego życia: pracę, dzieci, chwilowy brak problemów finansowych. Nic mi się nie śni, czasami budzę się w dobrym humorze. Jedzenie smakuje jak jedzenie. Nieważne, że czuję się jakbym wymieniła mercedesa kabriolet na półciężarówkę datsuna. Nadal żyję, nadal do czegoś dążę.

I mam dosyć płaczu. Może wkrótce przestanę. Mam nawet dosyć rozmów na ten temat. Wczoraj zadzwonił Chris. Opowiadałam mu o Francji.

- Było wspaniale. Kiedy tylko będzie mnie na to stać, znowu wyjadę z dziećmi.

- Boże, Jess, tak się cieszę!

- Ja też. Dzieci przyznają mi gwiazdkę za każde pół dnia bez płaczu. Od soboty zdobyłam dwie.
- To prawie jak rzucanie palenia. Albo alkoholu.
- Tak. Założę organizację SA - Szlochacze Anonimowi. Cześć, mam na imię Jess i jestem beksą.
- Raz dziennie, dobry Boże - jęknął Chris.
- Tak jest.
- Jo też jest w lepszej formie.
- Tak, i oboje wiemy, dlaczego.
- W ten weekend przyjeżdża do mnie do Londynu. Jej mama na pewno zajmie się dziećmi.
- Chris, czy to oznacza, że mam sobie sprawić nowy kapelusz na wielki dzień?
- Jesteś niepoprawna, Jess. Zresztą wezmę ślub tylko pod warunkiem, że będziesz moim drużką!

Być może te chwile spokoju to naprawdę tylko chwile, ale rozkoszuję się nimi ze wszystkich sił. Pierwszego wolnego dnia, w piątek, w ostami dzień wakacji, odpuściłam sobie sprzątanie. Ukryłam się w ogrodzie. Wyrzywałam chwasty, pielłam grządki, zbierałam zielony groszek. Napełniłam wodą małe basenik i dzieci pluskały się z entuzjazmem. Pozwoliłam im samodzielnie skomponować posiłek i nie narzekałam, że za dużo w nim pustych kalorii. O piątej pobiegli na piknik składający się z kanapek z miodem i czekolady, nie wierząc własnemu szczęściu.

W pustym ogrodzie mogłam oddać się walce z jeżynami, posługując się sekatorem i przekleństwami z równym zapałem. Jeżyny są okropne. Rąbiesz je i tniesz, a one odpowiadają kłującymi pędami, zdolnymi przebić nawet skórę nosorożca. Denerwują mnie bardziej niż pokrzywy. Byłam do tego stopnia pochłonięta pracą że nie usłyszałam skrzypienia furtki.

Pieter odezwał się tuż za mną.

- Ładny ogród.

Znowu wyglądał, jakby stał tak już od dawna. Odkąd wróciliśmy z Francji, przychodził do domu późno i od razu szedł do swojego pokoju. Kilka razy słyszałam, jak bawi się z dziećmi. Powoli, nieśmiało zaczęliśmy razem gotować, rozmawiać o jedzeniu i roślinach. Czasami gawędził z dziećmi. W ich oczach jest bohaterem od tamtego pierwszego dnia na plaży. Ciągłe o nim opowiadają kiedy nie ma go w pobliżu. „Pieter pozwolił nam grać w taką fajną grę na jego komputerze”. „Pieter mówi, że można hodować rosiczki w doniczce”. „Jako mały chłopiec, Pieter miał psa ogromnego jak koń”. „Pieter powiedział, że możemy iść do hotelu i popatrzeć, jak będą osuszali staw i wyciągali karpie. Podobno niektóre są wielkie jak koty”.

W stosunkach ze mną jednak Pieter ciągle zachowuje dystans. Jest miły, przyjazny, czasami nawet żartuje, ale zachowuje rezerwę, której nie rozumiem. Chyba uważa mnie za gospodynię. I za krótko z nami mieszka.

Natomiast między nim a Suką nie ma żadnego dystansu. Troskliwie się nią opiekował podczas naszego wyjazdu. Szczerze mówiąc, Suka zwariowała na jego punkcie.

Moja pierwsza rozmowa z Pieterem, po powrocie z Francji, dotyczyła właśnie jej. Było bardzo wcześnie, szósta rano. Pieter siedział w kuchni, popijał kawę i drapał Sukę za uszami, a ona miłośnie patrzyła mu w oczy.

Byłam ciągle zaspana, w innym wypadku nie pozwoliłabym sobie na tak dwuznaczną uwagę, którą łatwo opacznie zinterpretować, zwłaszcza jeśli rozmawia się obcym języku.

- Nie urodzi ci dzieci, wiesz o tym - poinformowałam go.

- Wiem - westchnął. - Ale możemy razem chodzić na spacer.

Nawet nie podniósł głowy. Żadne z nas się nie roześmiało, a mimo to wspomnienie tej sceny bawiło mnie przez cały dzień. Byłam pod wrażeniem. Mój lokator nie jest taki zły.

Teraz jednak, kiedy patrzył fachowym okiem na mój ogródek, poczułam się nieswojo.

- O tej porze roku nie wygląda najlepiej, a jeżyny... - paplałam bezładnie.

- Wygląda bardzo ładnie. Ale masz za mało roślin jesiennych. W czerwcu kwitnie tu dużo kwiatów, a teraz prawie nic. - Oboje ze smutkiem popatrzyliśmy na zielone rabaty. Cisza przedłużała się.

- Jess, chciałbym cię o coś zapytać.

- Tak?

- Co to znaczy syf?

- C o ?

- Syf. Użyłaś tego słowa podczas pielienia. Kiedy wchodziłem. Dwa razy, może trzy. Chciałbym wiedzieć, co to znaczy.

Wyprostowałam się ostrożnie, bolał mnie kręgosłup. Przyjrzałam mu się podejrzliwie. Miał śmiertelnie poważną minę.

- No, cóż... to przekleństwo

- Tak, oczywiście, jak duppek, fiut i chromolić. Ale co to znaczy?

- To taka choroba. - Dlaczego właściwie się czerwienię? - Ale oznacza także brud, bałagan, coś nieprzyjemnego.

- Czyli jest to rzeczownik.

- Tak. Ale można też stworzyć czasownik. Można gdzieś nasyfić. Gdybyś nasyfił w kuchni, byłabym na ciebie zła. Pewnie czasami krzyczysz na ogrodników, kiedy nasyfią przy pracy.

- O tak, czasami mam na to ochotę. Ale rzeczownik bardziej mi się podoba. Syf. Syf. Dziękuję, Jess. Może napijesz się wina? Kupiłem. - Nie czekał na odpowiedź, od razu zawrócił do domu. Kroczył energicznie przez trawnik: długie nogi zginają się i prostują zginają i prostują jakby chodzenie było najnowszym szaleństwem w dyskotekach. - Syf, to mi się podoba. - Po chwili już machał do mnie butelką przez otwarte okno kuchni. - Masz druta?

- W szufladzie po lewej stronie, koło zlewu - odrzyknęłam. Dzięki Bogu, że o tej porze pani E. doi swoje krowy i znajduje się poza zasięgiem głosu.

On, to znaczy Pieter, przyczynił się do moich chwil spokoju. Lubię słyszeć, jak fałszuje rano przy goleniu i wieczorami słucha muzyki w swoim pokoju. Jest spokojny i mało wymagający, ale tajemniczy. Do tej pory wiem o nim niewiele więcej ponad to, że jest architektem zieleni przejawiającym żywe zainteresowanie niecenzuralną angielszczyzną.

- To się nazywa „korkociąg” - wytłumaczyłam. - No, ten drut. Korkociąg. Drut to prosty kawałek metalu.

- No tak, przecież wiem.

- Ale drut oznacza również coś innego. W końcu jesteś dorosły i nie się nie stanie, jeśli poznasz wszystkie angielskie wulgaryzmy. Drut to to samo co fiut, tylko mniej wulgarnie.

- Zarumieniłaś się. Zawstydyłem cię. Przepraszam.

- Nie, nie, sama się zawstydyłam. Nie musiałam ci tego tłumaczyć. Ale jeśli będziesz się darł przez okno, czy mam druta, możesz wpaść w tarapaty. - Zachichotaliśmy jak przedszkolaki rozmawiające o puszczeniu bąków.

Pieter dolał wina.

- Bardzo mi się podoba twój dom.

- Kiepska ze mnie gospodyni.

- A ze mnie kiepski lokator. Późno wracam. Oboje jesteśmy kiepscy. Zaraz się poprawię. Przygotuję dla ciebie kolację.

- Nie musisz.

- Lubię gotować. Przyniosłem bardzo dobre jarzyny z hotelu.

- W domu, w Holandii, też gotujesz? - Czy może masz kogoś, kto to robi za ciebie, zastanawiałam się.

- Cały czas. Jesteś w dobrych rękach. Pij wino, szybko się uwinę. Smażone mięso z jarzynami?

- Pycha. Sos sojowy i przyprawy są...

- W i e m, wiem. Pij.

Kiedy tak siedziałam i piłam, i wahałam smakowite zapachy, zadzwoniła Georgie, córka Mary.

- Jess, twoje dzieci są u nas.

- O Boże, Georgie, pewnie masz ich po dziurki w nosie.

- Nawet nie. Charles, mój chłopak, do nas przyjechał, i chcielibyśmy, żebyś nam wypożyczyła dzieci na wieczór. Przesłali mu nowy tekst i chce sprawdzić, jak na niego reaguje publiczność. A ja mam ochotę ugotować coś niezdrowego i brudzącego. Potem przepśimy się w domku na drzewie.

- Georgie, naprawdę chcesz brać sobie na głowę dwoje dzieci, akurat kiedy przyjechał twój chłopak?

- Co za problem? Doskonały trening, zanim dorobimy się własnych.

- Czy masz już aureolę i skrzydła? A gdzie harfa?

- Nie mam pojęcia. Odwieziemy je rano, podeksycytowane, obzarte czekoladą aż mnie znienawidzisz.

- Do zobaczenia. Dzięki, Georgie. Niech będą grzeczne. I niech nie wejdą wam na głowy.

Zabrałam drugą flaszkę z martinowego stojaka na wino, mój własny nabytek we Francji, za dziesięć franków.

- W samą porę. Weź talerze, dobrze? - poprosił Pieter.

Osuszaliśmy dwie i pół butelki i rozmawialiśmy do pierwszej, a ja nadal wiedziałam o nim niewiele. Nie wiedziałam, czy ma dziewczynę, gdzie dokładnie mieszka, czy często odwiedza rodziców, czy ma rodzeństwo. Wiedziałam za to, że nauczył się sadzić szczypiorek zanim umiał mówić. Wiedziałam, jakie krzewy najbardziej lubi w żywopłotach i że jego ulubionym kwiatem jest lilia królewska, przy czym poczułam się, jakbym usłyszała, że ulubionym daniem znanego smakosza są jajka na miękko. Wiedziałam, że ma kłopoty z garderobą bo nigdy nie może dostać dostatecznie długich spodni; że odkąd zatruł się na Krecie, nie bierze do ust homara. Przypuszczam, że nigdy w życiu nie robił nic, na co nie miał ochoty. Wiem, że mnie bawi. Podejrzewam, że ograniczył się do kilku kochanek. Nie ma szans na dziesięć punktów, w najlepszym razie - siódemka, a i to w dobrym świetle, zaledwie przez kilka minut w ciągu wieczoru. Nie mam natomiast pojęcia, skąd to wszystko wiem. Gadaliśmy przez pięć godzin, o czym dokładnie i w jakiej kolejności, Bóg raczy wiedzieć. Ale odpoczęłam przy tym bardziej niż w gorącej kąpieli.

Poszliśmy spać przy otwartych oknach, więc ukołysało mnie do snu jego chrapanie.

Następnego dnia miałam lekkiego kacą więc nie byłam zdolna do czynności bardziej skomplikowanych niż powierzchowne sprzątanie. Tym sposobem natknęłam się na te bilety w szufladzie z bielizną gdzie je wsadziłam po przyjęciu u Francisca Weatona. *Sen nocy letniej* w Ettington Hall, część festiwalu. Na śmierć zapomniałam o didżeju Morganie, grubym geju (chyba), projektancie kostiumów, i o trupie pięknych chłopców. Dwa bilety. Chyba uda mi się wmówić bramkarzowi, że dwoje dzieci to jeden dorosły. Spektakl odbędzie się pod gołym niebem, więc i tak będzie dużo miejsca.

- Dzieciaki! Co powiecie na odrobinę kultury?

- Co? - Siedzieli w swoich pokojach, wykończeni po nocy spędzonej na krytyce literackiej i konsumpcji czekoladowego *fondue*, ale i tak zbiegli jak mogli najszybciej.

- Mam dwa bilety na przedstawienie. - Zaraz, zaraz, może się okazać, że nie tak łatwo będzie je na coś takiego namówić. - To taka opowieść o wrózkach i elfach, magii i... - Chwileczkę, o czym właściwie jest *Sen nocy letniej*? - Ale jest bardzo śmieszne.

- Dziecinada - skrzywiła się Frankie.

- Dla maluchów.

Dobra, teraz zagram asem z rękawa.

- Nie, nie, to dla dorosłych. Dzieci właściwie nie powinny tam iść, ale człowiek z obsługi dał mi bilety. Będę musiała was przemieścić.

- Ojej. Super, mamó!
Bingo. Trafiony, zatopiony.

Dzień był idealny na taką wyprawę. Słoneczny, ciepły, bezwietrzny. Poszliśmy wcześniej, żeby dzieciaki przesiąkły atmosferą. Kupiłam jedzenie w barze i usadowiliśmy się na trawniku. Festiwal Sztuki w Ettington to coś pomiędzy prawdziwym festiwalem a warsztatami. To święto hipisów z klasy średniej, ludzi, którzy mieszkaliby w komunach i grali na skrzypkach albo gitarach, gdyby nie zarabiali tyle pieniędzy jako lekarze, księżowie, wykładowcy i bankierzy. Ettington to ich ucieczka i raz do roku korzystają z niej skwapliwie.

Pałaszowaliśmy sałatkę z brązowego ryżu i kurczaka po marokańsku, a w oddali chórek śpiewał stare pieśni pod wielką brzozą. Za nimi afrykańscy dobosze wybijali rytm na bębnach wielkości pojemników na śmieci. Brzmiało to, jakby cierpieli na rozwolnienie, ale czy ja się na tym znam? Dwie pulchne dziewczyny w obcisłych bluzkach ćwiczyły głosy wśród róż, a wszędzie uwijali się śliczni chłopcy Morgana w fantastycznych kostiumach z koronek, aksamitów i jedwabi. Zmierzała w stronę amfiteatru. Dzieciom oczy wylażyły z orbit, a uszy kręciły się jak wojskowe radary. Do tego stopnia pochłonęło ich obserwowanie otoczenia, że Frankie z rozpędu zjadła zielony groszek w sałatce, a Dan nie zauważył pomidorów.

Na festiwal ściągają nie tylko widzowie. Pojawiają się również tubylcy. Ettington Triangle to miejsce dla dziwaków, którzy nie zamieszkają w domu na żyłce wodnej. Jeśli tu mieszkasz, bez trudu znajdziesz w sąsiedztwie chiromantę, specjalistę od akupunktury i uzdrawiania aury, kupisz wiklinową pokrywkę na patelnię wok, śmietankę pochodzenia roślinnego, pełnoziarniste ciasto. Jeśli jednak szukasz hydraulika czy zwykłego mleka, nic z tego.

Niedaleko nas rozłożyła się właśnie grupka miejscowych. Zajadali pasztet z tofu i rozprawiali z przejęciem o czyimś mężu, homeopacie, który uciekł do Cork ze specjalistką od wyrobu świec, czy coś takiego.

Jedna z kobiet cały czas starała się pochwycić mój wzrok. Ilekroć na nią spojrzałam, patrzyła mi w oczy. Przestraszyłam się, że mam śmietanę na nosie, ale zazwyczaj dzieci informują mnie o takich rzeczach.

Miała bardzo oryginalną urodę. Być może właśnie tak wyglądałaby Tytania, gdyby dała Oberonowi kopa w cztery litery i założyły Komunę Magiczną. Po jakimś czasie, gdy dzieci poszły odnieść talerze, podeszła do mnie.

- Przepraszam, że panią niepokoję - zaczęła cicho. - Mam na imię Marcella. Jestem jasnowidzem. Czy mogę pani coś powiedzieć?

- Proszę bardzo, o ile to coś miłego.

- Nie wiem, co to dla pani znaczy, ale przez cały czas słyszałam te słowa, ilekroć na panią spojrzałam: Martin nie jest pewny co do Dolores.

Pobladałam. To oszustka, jak oni wszyscy. Na pewno słyszała, jak wymieniałam ich imiona. Albo już mnie kiedyś widziała. Albo zna Martina. Nie wiem zresztą a nie ma sensu jej pytać, przecież nie zdradzi tajemnic zawodowych. Podzięko-

wałam jej uprzejmie i powiedziałam, że te słowa rzeczywiście mają dla mnie duże znaczenie. Staralam się zachowywać, jakby takie wiadomości z zaświatów były dla mnie czymś najnormalniejszym w świecie. Niestety, kiedy dzieci wróciły i szliśmy na nasze miejsca, okazało się, że chwieję się na nogach.

Nie było żadnych kłopotów z biletami. Poczekalam, aż zacznie się przedstawienie, a akcja i muzyka pochłonęły dzieci, i dopiero potem zaczęłam w kółko analizować tajemniczą wiadomość. Wiedziałam, że to sztuczka, ale miałam nadzieję, że jest inaczej. Zresztą wiadomość jako taka nie zawierała nic rewelacyjnego. Nic, czego bym nie wiedziała albo nie zgadywała. A może kryje się w tym coś więcej? Nie jest pewny? Do jakiego stopnia? Na tyle, żeby wrócić? Kiedy? Dzisiaj? Czy będzie na nas czekał w domu?

Pod koniec pierwszego aktu stworzyłam całą skomplikowaną fabułę powrotu Martina, nie zabrakło nawet terapii dla załamanej Dolores, ba, posunęłam się do urzędzenia wielkiego przyjęcia za rok, dla mnie, Martina i Dolores z nowym mężczyzną. Planowałam takie zmartwychwstanie naszego małżeństwa, że Łazarz mógłby się przy nas schować. A wszystko w oparciu o urywki zdań, osnute na dziwacznej logice, która rządzi naszymi umysłami o drugiej w nocy. Wmawiałam sobie, że nierealne staje się możliwe. Niestety, rzeczywistość zawsze jakimś cudem zakrada się w moje fantazje i ściąga mnie na ziemię, a marzenia rozplywają się jak bałwan polany wrzątkiem.

Tym razem rzeczywistość wtargnęła delikatnie. Już-już miałam iść z Martinem do łóżka zaraz po jego powrocie do domu, kiedy usłyszałam chrapanie. Pieter w pokoju gościnnym. Również z kuchni dobiegały głosy: James i Mary, Chris i Jo, Kath i Gerry, Alex i Sarah... pichcili coś razem i wołali, żebym do nich przyszła. Zanim zdążyłam zareagować, Martin wpadł w szał i wyrzucił wszystkich z domu. A potem pocałował mnie na pożegnanie i wyruszył do Timbaktu.

I tak byłoby, gdyby naprawdę wrócił. Tak samo. Pusty dom i cmoknięcie na pożegnanie w chłodny poranek. Ciekawe, co duchy mówią Martinowi?

Dan i Frankie dotrwali do końca pierwszej w życiu sztuki Szekspira zasnąwszy tylko raz czy dwa. Co więcej, prawie zrozumieli, o co w tym wszystkim chodzi.

Byli pod wrażeniem, kiedy jeden z aktorów zaprowadził nas do Morgana. Okazało się, że nie tylko projektuje kostiumy; jest również reżyserem i producentem. Gawędził z grupką fanów, a wokół pracownicy techniczni demontowali dekoracje. Kojarzył mi się z wielkim tłustym pajakiem pośredni diemci. W eleganckim ciemnym garniturze wyglądał mniej grubo i mniej pedalsko.

Na mój widok uśmiechnął się, jakbym była kremówką. Może się pomyliłam przypisując go do mniejszości seksualnej.

- Pewnie nie pamiętasz, przy jakiej okazji mi to pożyczyłeś. - Z tymi słowami wręczyłam mu latarkę. - Ale sumienie nie dałoby mi spokoju, gdybym jej nie zwróciła.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się szeroko. - Właśnie że pamiętam. Czy sukienka bardzo się podarła?

- Nie, wcale, dzięki tobie.

- Jak się wam podobało przedstawienie? - zapytał Dana i Frankie.

- Bardzo! - odparli jednocześnie.
- To najlepsza recenzja sezonu! - zażartował. - A tobie? Przepraszam, nie wiem, jak masz na imię.
- Jess. Jess Wallace.
- Jess. Co sądzisz o spektaklu?
- Mało brakowało, a zapytałabym: „Jakim spektaklu?”. Nie widziałam nic, nie słyszałam ani słowa, do tego stopnia pochłonęły mnie marzenia.
- Bardzo mi się podoba.
- Może dasz się zaprosić na drinka? Wybieram się do baru.
- Bardzo chętnie, ale muszę zabrać tę dwójkę do domu. Oczy im się kleją.
- Nieprawda. - Frankie stłumiła ziewnięcie.
- Może innym razem? Za mniej więcej dwa tygodnie będziemy w The Court, tam zakończymy sezon. Mieszkasz tam niedaleko, prawda, gdzieś koło Francisa?
- Rzut kamieniem.
- Zdarza ci się zajrzeć do Court?
- Za drogo jak na moją kieszeń, ale mam tam znajomych.
- Tak? Może spotkamy się po przedstawieniu, o wpół do dziesiątej będę wolny. Jeszcze lepiej zjedźmy razem lunch. - Włączył urok osobisty na pełny regulator. Biorąc pod uwagę obecność dwójki dzieci i robotników, bardzo się starał.
- Nie wiem. Zadzwoń, kiedy już tam będziesz. - Nabazgrałam mój numer telefonu na starym rachunku ze sklepu. Sama nie wiedziałam, co myśleć o zalotach grubasa w drogim garniturze.
- Kiedy szliśmy do samochodu, Dan i Frankie chichotali i znacząco tręcali się łokciami.
- Całkiem miły - zauważył Dan.
- I przystojny - dodała Frankie.
- Tylko trochę gruby - to znowu Dan.
- Twój narzeczony, człowiek Słoń. - Frankie krztusiła się ze śmiechu. Poczucie humoru ośmiolatek to jeden z powodów, dla których dobrze być dorosłym.

Rozdział piętnasty

Najgorsze, co może się zdarzyć, to spokój, przekonałam się na własnej skórze. Wystarczy, że na chwilę się odprężysz, a już dzieje się coś złego. Podnosisz głowę, żeby popatrzeć w błękitne niebo, a na chodniku już czai się psia kupa. Po niemal dwóch dekadach z Martinem myślałam, że nic mi nie grozi. Znosi mnie tyle czasu, tłumaczyłam sobie, a więc mnie kocha. Odprężyłam się. I proszę bardzo, jak się to skończyło? Wylądowałam w stercie psiego nawozu godnej całej sfory.

Na dodatek nigdy się nie nauczę. Od ostatniego faksu Martina odprężałam się stopniowo, bowiem teraz, kiedy jest tak bardzo zajęty w Ameryce, nie ma

czasu na komunikowanie się. W każdym razie nie ze mną. W pewien sobotni poranek na podłodze znalazłam pocztówki do dzieci, artystycznie niewyraźne ujęcia neonów Los Angeles. Prawdopodobnie dzieło szanownego tatusia, chociaż nie chciało mi się sprawdzać autora.

Dan przeczytał swoją na głos: „Kochany syneczku, bardzo za tobą tęsknię. Przykro mi, że się z tobą nie widziałem podczas wakacji. Niedługo wracam, wymyślimy razem coś fajnego. Kocham cię, tata”.

- Super. Powieszę ją sobie nad łóżkiem. - Zrobił to. Słyszałam, jak szlocha w poduszkę.

Frankie tylko rzuciła okiem na swoją kartkę i podarła ją na kawałki.

- Jakie to głupie - krzyknęła. - On jest głupi. Pisze, że za mną tęskni. Skoro tak, to dlaczego go tutaj nie ma? - Cisnęła szczątki pocztówki do kosza na śmieci i na godzinę zaszyła się w kurniku.

Nie odzywałam się, niech same się z tym uporają. Szorowałam podłogę w kuchni, pucowałam lodówkę. Obawiałam się, co mogłabym powiedzieć, gdybym starała się pocieszyć. Podejrzywałam, że wypsnęłaby mi się kąśliwa uwaga w stylu: „Och, kochanie, oczywiście, że tatuś za tobą tęskni. Zwłaszcza kiedy mu się nudzi”. - Albo: „Jak to dobrze, że powiesiłeś kartkę od tatusia nad łóżkiem. Tym sposobem nie zapomnisz o nim, nawet kiedy nie odezwie się przez kolejne dwa miesiące”.

Mówię o nim same dobre rzeczy, bo nie chcę dać mu najmniejszego powodu do traktowania mnie z góry. Nawet nie z góry, ale z górki, z kretowiska. Nie. Teraz siedzi w piwnicy i niech tam zostanie.

A mnie to ocaliło od rozdrapywania strupów. Zaczęłam wcielać w życie politykę świadomego zapomniania. Ilekroć pomyślę o Martinie, zaczynam biegać w miejscu albo podśpiewuję jakąś głupią dziecięcą piosenkę.

Kiedy zaśpiewa się kilka razy na całe gardło „Włazł kotek” w niecenzuralnej wersji, nie sposób się rozczulać nad sobą. Jeśli przypadkiem znajdę w szufladzie zdjęcie, natychmiast odwracam je na drugą stronę i odkładam na bok. Zmieniłam trasę po supermarkecie tak, że teraz omijam półki z jego ulubionym piwem i chipsami.

Pozbyłam się starych ciuchów, tym razem nie Martina, lecz moich.

- Pieter, zabierzesz to do hotelu? - Wtaszczyłam do kuchni stertę ubrań. - Może jakaś pokojówka coś sobie z tego wybierze.

Pieter studiował plan ogrodu, mrucał coś pod nosem w swoim języku z głową opartą na rękach. Otaczały go katalogi ogrodnicze, wykresy, notatki, a pośrodku tego bałaganu stała pusta do połowy butelka wina, resztki po naszym obiedzie.

- Dlaczego, Jess? To dobre ubrania. Ta skórzana kurtka jest bardzo droga.

- Dostałam je od Martina. - Powoli traciłam opanowanie. - Nie chcę na nie patrzeć.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- N i e .

- Dobrze, zaraz załaduję je do samochodu.

Pieter jest mistrzem świata we wspieraniu i okazywaniu zrozumienia. Ostatnio bardzo mi pomógł przy mojej umyślnej amnezji. Spędzamy razem większość wieczorów. Przez dwa tygodnie kręciliśmy w okolicy, zwiedzaliśmy farmy pełne błota i burkliwych rolników, ale dzięki temu wracałam do domu na kolację. Pieter nadzoruje prace na budowie, a dla robotników fajrant punktualnie o piątej to rzecz święta, więc kiedy wracam z dziećmi do domu, nie czekają na nas puste ściany. Jego papiery zaścielają stół w kuchni, z jego pokoju dobiegają dźwięki muzyki.

Jeśli jest na górze, krzyczy coś na powitanie i biegnie na dół.

- Czy coś cię dzisiaj ugryzło, Jess? Mała myszka?

- Nie, tylko kamerzysty. Bolał go ząb i strasznie marudził. Obawiałam się, że biedna Judith zacznie płakać.

- Dzieciaki, mam nową grę w komputerze. Chcecie zobaczyć?

Robi to niemal co wieczór. Pozwala im grać na swoim laptopie, niedbale stojącym na komódce. Potrzebne mu porządne biurko.

- Konia z rzędem za filiżankę herbaty. Napijesz się?

- Nie, dochodzi szosta. Czas na alkohol. Tak, tak. Szklaneczkę wina? Przyniosłem.

- Ciągłe poisz mnie winem.

- No i co? Mam dużą zniżkę w hotelu. Chodź, usiądź na słońcu. Jest wrzesień, zaraz przyjdzie jesień.

I tak siedzimy na dworze i gadamy. Jego angielszczyzna poprawia się z dnia na dzień. Opowiada mi o leniwych robotnikach, o polityce kadrowej hotelu, o kucharzach i menedżerach. I o projekcie nowego ogrodu, o tym, jak będzie wyglądał na wiosnę, a jak latem. Nie rozmawiamy o Życiu, o Filozofii, nie omawiamy Wielkich Spraw, tylko te malutkie. Omawianie codziennych smuteczków z tym cudzoziemcem sprawia, że czuję się z nim związana trwalszymi więzami rodzinnymi niż kiedykolwiek z Martinem.

Z pokoju na górze dobiegają odgłosy wojen międzygalaktycznych, a Pieter opowiada o kucharzu, którego ulubioną rozrywką są bójki w barach. Pospiesznie pichcę kolację z trzech puszek i torebki makaronu. W tym wszystkim coraz trudniej rozmyślać o udach Martina, o jego plecach i głosie.

Tak więc na nowo rozkoszuję się codziennością: śpię, wstaję, rozmawiam. Wydawało mi się, że najgorsze już minęło. Wyobrażałam sobie, że będę mogła rozmawiać z Martinem spokojnie, że może nawet umówimy się kiedyś na lunch. On opowie mi, co nowego w pracy, ja rozbawię go opowieścią o Bóstwie Grubych Chomików. Oboje będziemy piękni i radośni, ciągle siebie spragnieni, jak starzy kochankowie.

Odprężyłam się.

Tak było aż do dnia, w którym otrzymałam wezwanie do sądu na orzeczenie rozwodu.

Judith, jak wiadomo, wiedziała, na czym to polega, więc zaplanowała zdjęcia w ten sposób, że miałam wolny ranek. Pytała w kółko, czy na pewno chcę tam iść sama. Nie pojmowałam, o co jej chodzi. Oczywiście, samo wezwanie to nic przyjemnego, nie czułam się też najlepiej widząc nasze małżeństwo sprowadzone do

dwóch linijek tekstu z niewyraźnym podpisem Martina pod spodem. W kopercie jednak wydawało się nieszkodliwe. Wyobrażałam sobie, że orzeczenie rozvodu to krótka formalność, podczas której grubas w todzie i peruce podpisze dokumenty. Pięć minut i po sprawie. Nawet jeszcze przekraczając próg sądu myślałam, że wszystko pójdzie jak z płatka. Może nie będzie to przyjemne, ale i niebolesne, tak jak przeglądy u dentysty, po których mówi „wszystko w porządku”, a twoje pieniądze płyną na jego konto.

Wnętrze budynku było ciemne i ponure jak wiktoriańska trumna. W ciągu zaledwie trzech sekund zmieniałam się w szlochającą kupkę nieszczęścia. To było jak katastrofa samolotu: w jednej chwili sączysz drinka i wyobrażasz sobie, jak szalejesz na parkiecie w dyskotecie, a w następnej lecisz setki metrów w dół i masz do siebie żal, że poprzedniego wieczoru nie powiedziałaś mamusi, jak bardzo ją kochasz.

Facet przy drzwiach wyglądał jak nieboszczyk i, jako taki, był nieczuły na cierpienia żywych. Wskazał mi korytarz jakby żywcem wyjęty z powieści Kafki. Szłam wsłuchana w echo własnych kroków. Minął mnie tylko jeden facet, błądy jak z Muncha, dla odmiany. W końcu doszłam do ciężkich mahoniowych drzwi. Pchnęłam je mocno. Spodziewałam się dalszych pogrzebowo-dickensowskich rekwiizytów, a tu, ku memu zdumieniu, powitały mnie lata siedemdziesiąte w całej krasie. Poczulałam się jak w małomiasteczkowym banku, była nawet szklana przegródka z niewielkim otworem na dokumenty.

Zapukałam w szybę. Dziewczyna przy kości, z kołnierzem ortopedycznym na szyi i płamą z jajka na dzersejowej bluzce, podniosła głowę.

- Słucham?

- Przyszłam po orzeczenie rozvodu. Mam złożyć przysięgę...

- Dobrze. - Głośno pociągnęła nosem i odwróciła się na pięć. Nie widziałam co prawda jej stóp, ale dałabym sobie rękę uciąć, że miała na nich różowe bambosze.

- Proszę położyć prawą rękę na Biblii i przeczytać to, co na kartce. - Przepchnęła przez małe okienko Biblię z oślimi uszami i wytłuszczoną tekturkę.

Musiałam przysiąc na Biblię, że podpis na orzeczeniu naprawdę złożył mój mąż, co zmusiło mnie do wyciągnięcia kartki z koperty. Popatrzyłam na zamasyście czarne pismo. Ciekawe, czy on również musiał składać taką przysięgę. Pewnie zabrał ze sobą Dolores i butelkę szampana, żeby oblać odzyskaną wolność. Na pewno nie zalewał się łzami.

- Może pani przyjdzie kiedy indziej?

Pokręciłam głową.

- Nie, dam sobie radę.

Oto, do czego sprowadzało się nasze małżeństwo. Oto, do czego doprowadziły wszystkie wspólne lata... kochanie się w niedzielne poranki, zabawy z dziećmi, budowanie zamków z piasku na plaży, pijaństwa z przyjaciółmi, oglądanie domów w ulewnym deszczu, kolacje w restauracjach nie na naszą kieszeń, własnoręczne remonty, słuchanie muzyki i snucie planów... doprowadziły mnie do tego posępnego biura. Przyjście na świat naszych dzieci, nasz dom i ogród zostały sprowadzone do wytłuszczonej kartki ze słowami umarłej kultury:

„Przysięgam na Boga Wszechmogącego.

Panienska przybiła odpowiednie pieczęcie. Wysłałam na dwór. Za sześć tygodni będę wolna. Oto początek nowego życia. Dlaczego jednak miałam wrażenie, że to koniec starego? Ostatni kawałek szosy, zanim zaczną się wyboje i pękną resory.

Pieter, jak zwykle, starał się wspierać i rozumieć, kiedy wróciłam wieczorem do domu. Wypytywał o ulubione kwiaty, tłumaczył, jak przycinać jabłonie, kazał siekać cebulę. Płakałam ze spokojnym sumieniem.

Odebrał telefon i niemal z żalem oddał mi słuchawkę.

- Mężczyzna.

Świadomość, że mam rozmawiać z Martinem, była jak zapalenie pęcherza: wiesz, że musisz, choć wiesz, jakie to będzie bolesne. Długa droga przede mną zanim umówimy się na beztroski lunch!

- Słucham? - Ochryłam nagle.

- Jess? Tu Morgan.

- O, Morgan.

- Co się stało? Spodziewasz się telefonu od kogoś innego?

- Owszem, od pana Hyde'a, wiesz, tego od doktora Jekylla.

- C o ?

- Nieważne. Jak tournée?

- Doskonale. Właśnie dlatego dzwonię. Mam dzień wolnego, zanim pokażemy się w Court. Jutro, dokładnie mówiąc. Dałabyś się zaprosić na obiad?

- **Chętnie**, ale niestety pracuję do siódmej.

- Aha. A może kolacja?

- No... dobrze.

- Wpadnę po ciebie o wpół do ósmej.

- Świetnie.

- Więc do zobaczenia.

Gdyby nie to, że kamień spadł mi z serca, że to nie Martin, prawdopodobnie spławiłabym go. Chodzenie na randki zawsze wydawało mi się bezsensowną stratą czasu. Idziesz do restauracji z człowiekiem, którego praktycznie nie znasz i obserwujesz go przez cały wieczór, żeby się przekonać, czy chcesz iść z nim do łóżka, czy nie. Niestety, ludzie samotni tak właśnie spędzają wolny czas. Jest to ludzki odpowiednik psiego obwąchiwania okolic ogona. Takie obwąchiwanie to prosta sprawa w czasach studenckich; ma się mnóstwo okazji do ukradkowego pociągnięcia nosem, siedząc obok siebie na wykładach, w kinie, w knajpie. Niepotrzebna jest sztuczna instytucja randki. Inaczej ma się sprawa z dorosłymi, obarczonymi pracą domem, dwójką dzieci i rachunkami do zapłacenia, kiedy takie okazje zdarzają się nader rzadko. Trzeba wówczas z nich korzystać, nawet jeśli okolice do wążchania nie są zbyt atrakcyjne.

Pierwsze, o czym pomyślałam odkładając słuchawkę, to jak ja to powiem Pieterowi? Dlaczego wydawało mi się, że go zdradzam, umawiając się z innym mężczyzną? Bzdura. Pieter jest kochany, ale to tylko mój lokator.

Tak? W takim razie dlaczego poczułam się lekko urażona, kiedy bez mrugnienia okiem zgodził się zająć dziećmi?

- Masz coś przeciwko temu, żebym nie podnosił dachu? - zapytał Morgan.
- Powiem ci, jeśli mi będzie zimno. - Po raz pierwszy siedziałam w prawdziwym kabrioletcie, niech tam, to warte nawet hipotermii.

Facet coraz bardziej mnie intrygował. Dyrektor małej trupy teatralnej nie zarabia tyle, by go było stać na kabriolet mercedesa. Może jedyne, co łączy go z Francisem, to pieniądze; obaj mieli ich w bród.

- Znowu ta sukienka! Jest bardzo ładna. Buty też.

- Z butami wiąże się cała historia, miały małą przygodę w Oxfordshire.

- Opowiesz mi?

- Nie. Musiałabym się upić, zanim to komukolwiek opowiem.

- Zobaczymy, co się da z tym zrobić. O której wychodzi opiekunka do dzieci?

- Nie wychodzi. To mój lokator.

- Aha. Więc możesz nie wracać przez całą noc?

- To zależy, co miałabym robić. - Dlaczego od razu flirtuję? Dlaczego nie mogę zachować dystansu? Równie dobrze mogłabym powiedzieć: „Zjedźmy na pobocze i odwalmy mały numerek w drodze powrotnej”. To, co prawda, raczej mi nie grozi, Morgan nie tyle siedzi w, co ma na sobie swój samochód. Szanse na to, że z kocim wdziękiem pochyli się nad skrzynią biegów, by mnie skonsumować, są mniej więcej równe temu, że Demis Roussos wygra bieg z przeszkodami.

- Jeść? Tańczyć? Ale nie tak, jak do tego przywykłaś.

- Co masz na myśli? - Przez jedną okropną chwilę obawiałam się, że zabiera mnie do speluny w stylu country and western.

- Umiesz tańczyć walca?

- Tak. Nie rewelacyjnie, ale sobie radzę. Tango wychodzi mi lepiej. W szkole strasznie nas tym męczyli.

- To dobrze. Zarezerwowałam stolik we właściwym miejscu. - Zerknął na mnie kątem oka. Uroczy, pewny siebie. Może ma tylko trzydzieści kilo nadwagi. No i przynajmniej jest wysoki.

Zabrał mnie do „Dinner Dance”. To jeden z tych lokali, do których moi rodzice chadzali z Ludźmi z Pracy. Mama narzucała wówczas na ramiona etolę z nerek, zazwyczaj ukrytą w pudle na szafie, wkładała jedwabną sukienkę, czyściła torebkę z paciorków. Lokal mieścił się w bardzo ekskluzywnym hotelu. Panowała tam atmosfera z lat czterdziestych. Dziś była tu kolacja i bal na cele dobroczynne, więc goście stanowili taki sam typ ludzi, jaki widziałam na urodzinach Francis Weatona. Wydawało mi się nawet, że poznaję kilka twarzy, jednak nikt do mnie nie podszedł i nie opowiadał o nieudanym małżeństwie, nikt również nie poznał Morgana.

Zjedliśmy kolację, a potem tańczyliśmy. Dostarczyłam mojemu mózgowi takiej ilości wina, że bez trudu przypomniał sobie, czego się nauczył w wieku lat

jedenastu. Morgan radził sobie równie dobrze, jak wówczas na dyskotece, w hawajskiej koszuli. Po kilku pierwszych tańcach przestałam się obawiać, że podziurawię mu stopy obcasami. Tańczyłam i rozmawiałam jednocześnie. Podzialała na mnie mieszanka sztywnych kroków i fizycznej bliskości; nikt o tym nie uprzedza dziesięciolatek uczących się walca z koleżanką w sali gimnastycznej. Taniec jest jak seks, oko w oko, dłoń przy dłoni, biodra przy biodrach.

Nigdy nikt mnie nie uwodził. Nie czarował. Nie podrywał. Przez cały wieczór Morgan odnosił się do mnie z galanterią która, moim zdaniem, przetrwała już tylko w Amerykanach z dobrych rodzin. A on pochodził z bardzo dobrej rodziny. Z Alexandrii, w Wirginii, gdzie jego rodzice mieli biały dom z kolumnkami. Dorastając łowił ryby w strumieniu taty, zimą polował na jelenie. Przyjechał do Anglii studiować w Oxfordzie i został. Był zdolnym rozmówcą powiedział mi akurat tyle, ile chciał, żebym o nim wiedziała.

Kiedy wsiadaliśmy do mercedesa, zmiękłam jak wosk. Byłam, delikatnie mówiąc, wstawiona, miałam głowę pełną opowieści brzmiących jak współczesna wersja Hucka Finna i wzmianek o złamanym sercu. Zaczynałam wierzyć, że jestem tak uwodzicielska, jak Morgan mi to przedstawiał. Dochodziłam do wniosku, że okrucieństwem byłoby odmówić mu czegoś, na czym mu tak zależy. Omamił mnie wizją mnie samej jako cudownego obiektu pożądania dla mężczyzny z przeszłością. Kupiłam to, więc nie zaprotestowałam, kiedy wiozł mnie do domu okrężną drogą

- Dasz radę przejść kawałek w tych butach? Nie ma tu chodnika, ale jest sucho. - Przytrzymał mi drzwiczki.

- Dokąd idziemy?

- Zobaczysz. Jesteśmy w klubie lotniczym. Chciałbym ci coś pokazać.

Szliśmy przez trawiasty pas startowy, suchy i smutny, w stronę hangaru. Morgan otworzył kłódkę, pchnął drzwi, wszedł w chłodną ciemność i kiwnął na mnie palcem.

Poczułam zimno i przestrzeń.

- Poczekaj. - Zniknął w głębi hangaru. Słyszałam, jak odchodzi coraz dalej i nagle stanął mi przed oczami obraz mojego poćwiartowanego ciała w pojemnikach na śmieci.

Coś trzasnęło, jakby ktoś złamał gałązkę, i hangar zalało światło. Na samym środku pomieszczenia stał spitfire. Wiedziałam, że to spitfire, bo kiedy zaczęłam spotykać się z Martinem, ciągle miał kolekcję modeli do sklejania. Spitfire był w kiepskim stanie, tylko do połowy odmalowany. Wyglądał smutno i staro.

- Oto główny powód, dla którego nie wracam do Stanów. Nie stać mnie na przewóz tego cacka.

Podeszłam bliżej. Moje obcasy stuknęły absurdalnie głośno w pustej hali.

- Chcesz usiąść w środku?

- Tak. - Co innego miałam odpowiedzieć? „Nie, nie interesują mnie militaria? Proszę, zawieź mnie do domu?”. Morgan nie zdawał sobie sprawy, jak mało brakowało, by stracił u mnie wszelkie szanse, wszystko to, na co tak pilnie pracował przez cały wieczór. Kolekcjonowanie działa na mnie jak kubek zimnej wody. Frak w garść i w nogi. Trzeźwiałam z każdą chwilą.

Najwyraźniej jednak niedzielne popołudnia przed telewizorem, podczas których oglądałam kiepskie filmy o Bitwie o Anglię, wywarły na mnie większe wrażenie niż sądziłam. Przypomniały mi się cklive opowieści o młodziutkich, dziewiętnastoletnich pilotach, doskonale wykształconych chłopcach, którzy śmigali po niebie w tych samolocikach i staczali ostatnie prawdziwe pojedynki. I siedząc na skórzanym fotelu doświadczyłam czegoś nowego, po raz kolejny tego wieczora, po kabriolecie, tańcu i komplementach. Morgan mną manipulował, w pewnym sensie programował mnie, z nadzieją że w scenie finałowej spleciemy się w miłosnym uścisku w ciasnej kabine spitfire'a. No i co z tego? Czytam książki, chodzę do kina. To tylko inna forma ucieczki. Odkąd Martin odszedł, moja zdolność koncentracji ograniczyła się do poziomu konika polnego, więc filmy i książki odpadają. Czemu nie mały romans?

Morgan wspiął się na drabinkę, tak że patrzyliśmy sobie w oczy. Był tak blisko, że czułam jego oddech na karku.

- I co ty na to? - szepnęła. Prawie dotykaliśmy się policzkami. Nie miał na myśli samolotu, ale nie zdecydowałam jeszcze, czy scena finałowa będzie taka, jak tego pragnął. Odsunęłam się trochę.

- Samolot jest super. Tyle razy widziałam je na filmach. Nie wiem jednak, co myśleć, kiedy w nim siedzę.

- Chcesz zejść?

- Tak, zimno mi.

Kiedy wchodziłam na górę, grał dżentelmena i wbijał wzrok w czubki swoich butów, ale teraz jawnie się na mnie gapił.

- Niewiele kobiet nosi pończochy w dzisiejszych czasach.

- To pończochy samonośne. Zdziwiłbyś się, ile kobiet je nosi.

- Prawie to samo co tradycyjne pończochy. - Przesunął dłonią po mojej nodze wysoko, aż pod sukienkę. Stałam na najniższym szczeblu drabinki, tak że dorównywałam mu wzrostem.

- Nie muszę się z tobą kochać tylko dlatego, że zabrałeś mnie na kolację. To tylko randka.

- Myślisz, że przywiozłem cię tutaj, żeby cię uwieść?

- Morgan, nie chrzań. Właśnie w tym celu mnie tu przywiozłeś. Cały ten wieczór to wielka romantyczna fantazja. Nie mam nic przeciwko temu. Lubię pofantazjować, do pewnego stopnia. Przekonałeś mnie... prawie. Ale domagam się także odrobiny szczerości. Nie udawaj więc, że dopiero przed chwilą przyszło ci to do głowy.

Popatrzył na mnie i roześmiał się cicho. Opuścił wzrok na lśniące półbuty i znowu podniósł oczy.

- No dobra, przyznaję, chciałem cię uwieść. Ale słuchaj, jestem gruby, muszą się starać bardziej niż inni. Więc co, będziemy... no wiesz?

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

Morgan odwiózł mnie do domu o czwartej nad ranem.

- Będę wolny o wpół do dziesiątej. Przyjadę po ciebie o dziesiątej.

- Dokąd pojedziemy?
- Coś wymyślę. Jest ciepło, może na plażę?

Wstałam o siódmej. Czekał mnie ciężki dzień z prosiakami i stadkiem gęsi. Pieter krzątał się po kuchni, ziewał i drapał w okrągłą głowę. Nie uśmiechnął się, kiedy podałam mu kubek kawy.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytał, patrząc na Sukę.
- Nieźle.
- Tylko nieźle? Wróciłaś bardzo późno.
- Obudziłam cię?
- Tak. - Chyba nie jest zazdrosny? Przecież sam zaproponował, że popilnuje dzieci.

- Przepraszam, starałam się nie hałasować.
- Nie spałem, nie ma sprawy. - Ciągle gapił się na Sukę. Miał smutny głos, bez zwykłej iskierki humoru.

- Źle spałeś?
- T a k .
- Dzisiaj wrócę bardzo późno. Dzieci przenocują u Mary.
- Podniósł głowę, wyjął z kieszeni kluczyki, spojrzał na mnie uważnie.
- A ty gdzie? - Z tymi słowami wyszedł.

Oskarżenie, wyrzut - tak sobie to tłumaczyłam przez dwadzieścia minut po jego wyjściu. Szykowałam śniadanie klnąc pod nosem głupich lokatorów, którym się wydaje, że są aniołami stróżami. W głębi duszy wiedziałam jednak, że było to nie pytanie, a zagadka, którą Pieter zadał i mnie, i sobie.

- Światła się pał a w domu nikogo nie ma, co? - zagadnął Rob. Przycupnął koło mnie na kopie siana. Judith zarządziła chwilę przerwy, a sama wybierała prosiaka do następnego ujęcia.

- Tak, przepraszam, niewiele masz dzisiaj ze mnie pożytku. Ledwo żyję. - Podrapałam prosiaczka za uszami. Z wdzięcznością otarł się o moje nogi.
- Dla mnie i Steve'a nigdy nie jesteś taka miła.
- Bo nie kwiczycie tak ładnie.
- No więc, czemu ledwie żyjesz?
- Przez pół nocy obściskiwaliśmy się w hangarze z uroczym grubasem.
- Tylko obściskiwaliś? Co ty!
- Co na to poradzę, skoro mi nie wierzysz?

Wstał, żartobliwie pociągnął mnie za włosy i odszedł.

Właściwie nie zmęczenie sprawiało, że byłam spokojna i wyciszona, i ściśle trzymałam się tekstu. W kółko analizowałam minioną noc. Pożegnałam się z Morganem o czwartej, szczęśliwa, ale spokojna. Kontrolowałam sytuację. Okazałam się dużą mądrą nowoczesną dziewczyną która sama o sobie decyduje. Jednocześnie mam następną okazję, by wypełnić pustkę w łóżku po Martinie. Rozstali-

śmy się z Morganem pewni, że oto zaczął się nasz romans. Jedyny kłopot to ustalić czas i miejsce. Fakt, że nie pieprzyliśmy się na pierwszej randce, tylko utwierdzał nas w przekonaniu, że zrobimy to na drugiej, trzeciej, pięćdziesiątej.

Jednak w południe, po trzech godzinach snu, śmierząca chlewiec, zaczęłam zmieniać zdanie. Cienka warstwa niezależności odpadała ze mnie wielkimi płatami. Jazda kabrioletem w świetle księżyca, urok osobisty Morgana, nasza jakże dorosła rozmowa na drabince spitfire'a. Wszystko to było tylko przykrywką dla przyjemnego tarzania się na piachu z kupą tłuszczu. Byłam o krok od nawiązania bardzo dorosłego romansu z człowiekiem, który, o ile wiedziałam, miał osobowość równie głęboką jak basenik dla dzieci. Z człowiekiem, który nawet nie widzi własnych stóp. I to tylko dlatego, że sprawił, iż poczułam się atrakcyjna i uwodzicielska. Jeśli pójdę z nim do łóżka, będę się kochała z własnym ego.

Po południu, między prosiakami a stadkiem gęsi, pożyczyłam telefon komórkowy od Roba.

- Halo? Kath De Freya - usłyszałam.

- Cześć, to ja. Słuchaj, czy jest jeszcze u was trupa teatralna?

- Tak, od rana szykują się do przedstawienia.

- Mogłabyś przekazać Morganowi Lindseyowi, reżyserowi, że nie mogę się z nim spotkać wieczorem?

- Interesujący facet. Skąd go znasz?

- Poznałam go na urodzinach Francisa Weatona. Więc powiedz mu, że nic z tego. Mieliliśmy się spotkać na drinku i pogadać o Charlatan TV.

- Dobrze. Rozmawiałam z nim przy obiedzie. Wyobraź sobie, studiowałam razem z jego żoną. Jess? Jesteś tam?

- Przykro mi, Kath, rozmawiam z komórki, a baterie są bardzo słabe. Muszę już kończyć.

Moja umowa z Mary i George'em obowiązywała nadal. Gościli u nich jacyś małoletni krewni Jamesa, których szkoła się jeszcze nie zaczęła, i powitali towarzystwo rówieśników z otwartymi ramionami. Pozwoliłam, żeby dzieci zostały tam na noc i nie szły w piątek do szkoły. Nie chciałam się z nikim widzieć, łącznie z własnymi dziećmi. Było mi niedobrze.

Opowiadałam Morganowi o Martinie. Niewiele: że byliśmy razem od wielu lat, że mnie rzucił. Nie zapytałam, czy ma żonę, a on mi o tym nie powiedział.

Zachowałam się jak Dolores. Wyrządziłam żonie Morgana to, co Dolores zrobiła mnie podczas pierwszej nocy z Martinem. Ciekawe, jak to było między nimi? Po raz pierwszy sami w mieszkaniu Martina, zakłopotani na myśl, że lada moment będą kochankami. Czekali na tę chwilę, wiedzieli, że nadejdzie.

Czyją oszukał? Może i ona nie zapytała? A może świadomość, że istnieję, tylko potęgowała ich rozkosz, jako przyjemność zakazaną i grzeszną?

Myślałam o żonie Morgana. Pewnie, jak ja, prasuje w domu koszulki i składa skarpety parami, a jej mąż jest kreatywny i aktywny zawodowo. I niewierny. Rozważałam, czy nie powinnam jej jakoś ostrzec, uprzedzić, przeprosić. Halo?

Nie zna mnie pani. Dzwonię, żeby panią przeprosić. O mały włos poszłabym do łóżka z pani mężem. Halo? Moje nazwisko nic pani nie powie, ale uważam, że powinna pani wiedzieć... Halo? Nazywam się Jess Wallace. Chciałabym z panią porozmawiać o pani mężu i jego zdradach. Halo? Proszę mi powiedzieć, czy mąż zdradza panią stale, czy tylko czasami?

Z drugiej strony, gdybym nigdy nie dowiedziała się o Dolores, gdyby Martin dalej prowadził podwójne życie, miałabym chociaż namiastkę męża, a dzieci ojca, za którym przepadały. Nie mogłam nic zrobić, wyłącznie gryźć się wyrzutami sumienia.

Siedziałam na dworze i sączyłam wino. O zmroku otuliłam się kołdrą. Suka domagała się pieśszcot, ale jej ciepło nie było w stanie mnie rozgrzać.

Koło północy zadzwonił telefon. Myślałam, że to Morgan, szykowałam się nawet do tej rozmowy. Byłam gotowa na odległość dokonać operacji, z której zastępowała pani Bobbit.

A to był Martin, w doskonałym humorze, jak zawsze po powrocie zza oceanu z lekką naleciałością amerykańskiego akcentu.

- Cześć, Jess.
- Cześć, Martin. Skąd dzwoniisz?
- Znad morza. Wróciłem dwa dni temu. Zostanę tu do wtorku, Tim dał nam klucze do swojego domku.
- Zdawało mi się, że miałaś wrócić we wrześniu.
- Już mamy wrzesień, Jess. - Znudzony ton. Biedny Martin musi tłumaczyć durnej żonie, jaki miesiąc mamy.
- Czego chcesz?
- Chciałbym zabrać dzieci na weekend. Przyjadę po nie w sobotę rano. Pogoda chyba się nie zmieni.
- Dobrze. Jeśli to wszystko...
- Chciałbym, żeby poznały Dolores. Uważam, że powinny poznać moją partnerkę.
- Najwyższy czas, moim zdaniem.
- Nie interesuje mnie twoje zdanie na ten temat. Wspomniałem o tym z uprzejmości.
- Wiesz, z uprzejmości również mogłeś nam powiedzieć, że się w niej zakochałeś.
- Widzę, że ciągle niejesteś w stanie zachowywać się jak człowiek dorosły. Przyjadę po dzieci o dziewiątej, a odwiozę w niedzielę wieczorem.
- Ona przyjedzie z tobą?
- Nie, poczeka tutaj.
- Czy planujesz ponownie odwiedzić dzieci w najbliższej przyszłości? Za trzy tygodnie są urodziny Dana.
- Jessico, nie będę z tobą rozmawiał na ten temat. Kwestię moich spotkań z dziećmi ustalą nasi prawnicy.

- Pytam tylko, czy wpadniesz na urodziny Dana.
- Przykro mi, Jess. Nie odpowiem na to pytanie. Wszystko musimy ustalić w obecności prawników.
- Do cholery, rozmawiamy o urodzinach naszego syna. Nie pytam, ile alimentów masz płacić!
- Jess, znowu histeryzujesz. Jeśli nie można z tobą spokojnie porozmawiać, skontaktuję się z twoim prawnikiem.
- Dobrze, dobrze, nie mówmy o dzieciach. Porozmawiajmy o Dolores. Chcę cię o coś zapytać, jeśli dzieci mają ją poznać.
- Nie odpowiem na żadne pytanie natury osobistej.
- Czy wiedziała, że jesteś zonaty, kiedy po raz pierwszy szliście do łóżka?
- Na Boga, Jess, jakie to ma znaczenie?
- Wiedziała?

W słuchawce zapanowała długa cisza. W końcu westchnienie. Nigdy nie zrozumiałem, czemu odpowiedział. Może po raz ostatni naprawdę się komunikowaliśmy.

- Nie, nie wiedziała. - I odłożył słuchawkę.

A więc Dolores nie wiedziała, że ma żonę, aż było za późno. Zabierał ją do restauracji. Rozmawiali, przy czym żona i dzieci były tak nieistotną częścią jego życia, że przez dłuższy czas pomijał nas milczeniem. Byliśmy czymś odległym i przebrzmiałym, jak zwierzaki z dzieciństwa, mamine ciasto, pierwsze zauroczenie; byliśmy szczególnie, o którym wspominasz po wielu wspólnych nocach, przy nudnym filmie w telewizji.

Przystojny, szarmancki, podniecający Martin - co dziwnego, że się w nim zakochała? A kiedy to się stało, wmówiła sobie, że stracić go to zbyt wysoka cena za szczęście trzech osób, których nawet nie zna, o których nawet on zapominał. Gdybym zakochała się w Morganie, być może dokonałabym tego samego wyboru.

Stojąc w ciemnym salonie, przy jego biurku, przypomniałam sobie jedną scenę sprzed dwóch lat. Wrócił wtedy z trzytygodniowej podróży do Tanzanii. Zanim przyjechał do nas, spotykał się w Londynie z wydawcami, więc był bardzo elegancki, w garniturze, i krawacie. Czekaliśmy na niego na dworcu. Wziął Frankie na ręce, jego silne palce otoczyły jej zębra. Brązowe palce, porośnięte jasnymi włosami, na tle jej białej koszulki. Nie miał obrączki.

- Zgubiłeś obrączkę, kochanie - powiedziałam. - Nie martw się, kupię ci drugą.

- Nie trzeba, schowałem ją do kieszeni, kiedy myłem ręce w pociągu.

Teraz jednak, gdy analizowałam tę scenę w pamięci, gdy przypominałam sobie silne palce na białej bluzeczce, zauważyłam, że nie było na nich białego paska w miejscu, gdzie obrączka chroniła go przed słońcem. Martin nie nosił obrączki podczas podróży. Może nigdy jej nie nosił? Może miał zwyczaj zdejmować ją ledwie wszedł do pociągu? Był zonaty tylko w domu. Z dała ode mnie stawał się kimś innym. Z nikim nie związany. Do wzięcia. Nie okłamywał Dolores, jedynie prezentował jej siebie w takim świetle, w jakim sam się widział.

Stałam ze słuchawką w dłoni, gdy zapaliło się światło. Oślepiło mnie.

- Jess, co ty robisz?
- Zapomniałam odłożyć słuchawkę.
- Wszystko w porządku?
- Nie.
- Chcesz porozmawiać?
- Nie wiem.

Pieter bardzo delikatnie wyjął mi słuchawkę z ręki i odłożył na widelki.

- Zmarzłaś. Chodź, zaparzę ci herbaty. - Posadził mnie przy stole kuchennym i przyniósł moją kurtkę z przedpokoju.

- Co się stało, Jess? Płakałaś.

- Co za pieprzony melodramat. Martin nie kochał mnie od dawna. Nie chciał nas od Bóg wie kiedy. A teraz nie mogę liczyć na nic więcej niż intensywna sesja obmacywania z górą tłuszczu. Żonatają górą tłuszczu - mówiłam szybko, przez łzy, nie byłam w stanie wymyślać prostych zdań bez kolokwializmów, więc mało prawdopodobne, by Pieter mnie zrozumiał.

Domyślał się, jak się czuję, nawet jeśli nie pojmował słów, bo powiedział cichutko:

- Spotka cię coś dobrego, Jess.
- Nieprawda. Już po wszystkim. Przegapiłam moją szansę.
- Masz, wypij.
- Co to?
- Herbata.

Szlochałam w głos, starając się nie utonąć w morzu rozpacz. Wszystko i tak działo się okropnie dawno. Rozczulałam się nad przeszłością.

Pieter obserwował, jak piję. Zdawał się na coś czekać.

- Myślałam, że... - zawahał się - ...że nocujesz dzisiaj poza domem.

- Nie. On jest okropny. I do tego żonaty, ale przede wszystkim okropny. Wolę nocować w domu.

- Nie powinienem był cię pytać, wiesz, rano. To nie moja sprawa.
- Owszem, twoja. Mieszkasz tutaj. I jesteś moim przyjacielem.
- Tak? Nie jestem nudnym lokatorem?
- Ale syf.
- No dobrze, syf. - Roześmiał się cicho, dolał mi herbaty. - Kath dzisiaj słyszała, jak to mówiłem, i stwierdziła, że wie, kto mnie nauczył tego słowa. —

Usiadł naprzeciwko i przyjrzał mi się uważnie.

- Rozmawialiśmy o tobie.
- I do jakich doszłście wniosków?
- Że jesteś bardzo dzielna. - Opuścił wzrok. - I że jeszcze kogoś poznasz.

Wszyscy mówią to samo, jakby ludzkie serce regenerowało się z łatwością dżdżownicy. Znowu ogarnęła mnie fala współczucia dla samej siebie, wypełniła mnie jak ciepła woda wannę.

- Taak, pewnie. Kogo? Faceta, który ma ochotę na mały numer, i tyle. - Ukryłam twarz w dłoniach i szlochałam na cały głos. - Kto chciałby kobietę w śred-

nim wieku, z dwójką dzieci i kurzymi łapkami, bez przyszłości, za to z cellulitem? Miałam szansę, ale ją przegapiłam.

Pieter położył mi rękę na ramieniu.

- Jess... Wiesz... - Nagle zacisnął dłoń. - Wiesz co? To, co mówisz o straconej szansie, to syf. Denerwuje mnie, że tak myślisz. - Puścił mnie i wstał. Włożył kurtkę.

- Ubieraj się, Jess. Idziemy na spacer. Jest jasno, księżyc świeci. - Rzucił mi na kolana paczkę chusteczek. - Wytrzyj nos i chodź. - Był tak stanowczy, że przestałam płakać. Wytarłam nos, włożyłam kurtkę i wyszliśmy.

Suce zdawało się chyba, że umarła i trafiła do psiego nieba: spacer z Przywódcą Stada, w środku nocy, gdy króliki żerują! Biegała jak opętana, czarny cień na drodze, bezładna płatanina łap i uszu. Pieter objął mnie ramieniem i ruszyliśmy bez słowa w ślad za nią.

Szedł tak szybko, że na pierwszym wzgórzu zabrakło mi tchu, prawie biegłam, chcąc dotrzymać mu kroku. Zatrzymał się przy żelaznej furtce prowadzącej na pole pani E.

- Włącz - polecił. Posłusznie wspięłam się na najniższe szczeble. W świetle księżycy metal był bardzo zimny i bardzo lśniący. Nowiutkie aluminium.

- Nie, nie. Wyżej. - Postukał najwyższą belkę. Posłuchałam go. Niepewnie stałam na górze. Wyprostowałam się powoli.

- Boję się, Pieter.

- Nie bój się, złapię cię. Stój tam i patrz. Rozejrzyj się dokoła.

Przestałam gapić się na ziemię i rozłożyłam szeroko ramiona, żeby utrzymać równowagę. Z tej wysokości niebo zdawało się okrągłe, jak namiot, napięte do granic możliwości. Rośliny oddychały nocnym powietrzem, więc ciemność pachniała zielenią. W oddali trzy jelenie przechadzały się leniwie, zatrzymywały, by skubnąć trawę, i ruszały dalej. U stóp wzgórza złote światło z kuchni spletało się z czarnymi konarami drzew. Tuż poniżej mnie okrągła głowa Pietera i czarny nos Suki, węszącej z zapałem. Pieter podniósł na mnie wzrok.

- Co czujesz?

- Że żyję.

- Więc nie mów, że straciłaś szansę.

- Dobrze.

- Poczekaj, idę do ciebie.

Po chwili stanął obok. Chichotaliśmy jak dzieci. Na tle nieba, z dala od grządek i krzeseł, wyglądał jak w domu. Widziałam go takim, jaki jest naprawdę, bez upiększeń i kłamstw.

- Uwielbiam to, uwielbiam poczucie, że ziemia wzywa mnie z powrotem. - Nie znam nikogo, kto mówiłby takie rzeczy. Któż inny zawraca sobie głowę przyciąganiem ziemskim? Może Newton też włąził na ogrodzenie pod osłoną nocy, a jego frak powiewał na wietrze.

Nawet stojąc niżej niż ja, Pieter stanowił pewne zagrożenie. Gdy rozpostarł ramiona, cała brama poruszyła się niebezpiecznie.

- Jeśli przyciąganie ziemskie nagle sobie o nas przypomni, czeka nas długa droga na dół.

- Dobrze, już się nie ruszam.

Zastygliśmy w absurdalnej pozycji. Prawie twarzą w twarz, na wiejskim ogrodzeniu, w środku nocy. Ciekawe, co sobie o nas myślały jelenie. Chyba nie uważały nas za ludzi.

Twarz Pietera była bardzo blisko mojej, igrały na niej srebrne promienie księżycy i czarne cienie. Miałam wrażenie, że lada chwila coś się wydarzy. Powietrze było ciężkie, nabrzmiałe oczekiwaniem. Przypomniały mi się obrazki, które pokazywała nam siostra Ignatia: apostołowie czekali z utęsknieniem, aż zstąpi na nich Duch Święty. Nie ruszaliśmy się, jak dzieci w jasełkach, kiedy pastuszek zapomni powiedzieć „Pójdźmy do Betlejem”.

- Chodźmy już - zaproponowałam.

- Jeszcze nie, Jess. Kiedy wczoraj wyszłaś, byłem zaskoczony.

- Zazwyczaj tak nie postępuję... to znaczy, wracam na noc. Ja, my nie... - Nie wiem, czy zrozumiał. Chciałam mu powiedzieć, że nie spałam z Morganem.

Mówił dalej:

- Nie, nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. Byłem... zazdrosny, a to nie jest do mnie podobne. - Więc to się miało wydarzyć, było tak blisko, że prawie się zaczęło. - Nie spałem, czekałem, aż wrócisz. Żałowałem, że zgodziłem się zająć dziećmi.

Moje serce postanowiło wydostać się gardłem, a nogi zaczęły drżeć w kolanach, jak przeszła starego mostu. Drżałam tak bardzo, że wprawiłam w ruch bramę. Początkowo było to zabawne, ot, kłopoty z utrzymaniem równowagi, ale zaraz zrobiło się niebezpiecznie. Zeskoczyłam, zanim spadłam jak niewprawy jeździec na rodeo. Pieter stał na szczycie, zbity z tropu; pastuszek gotów wygłosić kwestię do pustej sceny. Przerzucił nogę przez bramę, ale nie trafił stopą na szczebel. Zamach pociągnął go w dół, ale druga noga wciąż tkwiła na szczeblu. Leciwał jak słup telegraficzny. Uderzył głową w ziemię. Słyszałam, jak trzasnęła łamana noga.

Ocknął się na chwilę w karetkce. Krwawił, ale uśmiechnął się do mnie, chociaż niełatwo o uśmiech, kiedy piszczel sterczy ci z tydki.

- Znowu płaczesz - wymamrotał.

- Przepraszam. To moja wina.

- Nie, nie, moja. Niewłaściwy czas.

- N a co?

- Proszę nic nie mówić - poprosił miły sanitariusz o rudych brwiach.

- Niewłaściwy czas. Przepraszam.

Ucisnął lekko moją dłoń i zamknął oczy.

Czy to moja wyobraźnia, czy naprawdę wydarzyło się coś więcej niż przykry wypadek? Nie byłam pewna, ale przez całą drogę do szpitala trzymałam Pietera za rękę i gładziłam po głowie. Jako przyjaciela. Na wszelki wypadek.

Rozdział szesnasty

Zdawało się, że przyroda chce nam wynagrodzić fakt, że czerwiec był jak listopad i przeciąga lato na wrzesień. Obserwowałam, jak motyle uwijają się wśród moich kwiatków i znowu rozmyślałam o Dolores. Wyobrażałam sobie, jak przynosi Martinowi whisky do wanny i siada na brzegu, jak ja to robiłam. Wielokrotnie przywoływałam tę scenę, ale dziś po raz pierwszy nie wbiegałam do ich łazienki z piłą mechaniczną w dłoni. Okazało się, że jestem w stanie myśleć o Dolores nie życząc jej wstydliwych dolegliwości. Przestałam rozkoszować się wizją jej twarzy między ścianą a zderzakiem mojego samochodu.

Mimo to byłam przerażona perspektywą spotkania z Martinem i z nią. Nie żeby to było w planie; domyślałam się, że w niedzielę Martin podrzuci dzieci i ucieknie, zrobi wszystko, żebyśmy się nie spotkały, ale wyobraźnia podsuwała mi najróżniejsze scenariusze, w których do owego spotkania jednak dochodzi. Zbiegi okoliczności, nieprawdopodobne przypadki. Zdecydują się zostać na weekend w pobliżu i spotkam ją w sklepie. W niedzielę wieczorem Martin złapie gumę, a z powodu awarii telefonów w całej Anglii nie będzie mógł wezwać pomocy drogowej, więc zanocują tutaj. Okaze się, że Dolores jest w ciąży i zacznie rodzić w drodze do nas, koniec końców urodzi bliźnięta na moim stole kuchennym.

Fabrykowałam najdziwniejsze sceny, w których Martin i Dolores odgrywali na moich oczach sceny ze wspólnego życia, a ja cierpiałam w milczeniu. Nie planowałam dla nas żadnej konfrontacji, żadnych zapasów w błocie. Wystarczająco straszną wydawała mi się groźba patrzenia na ich szczęście.

Ma się rozumieć, piątkowy dramat dosyć skutecznie odwrócił moją uwagę od perspektywy pierwszego spotkania z Kobietą, Która Ukradła Mojego Męża. Zanim Pietera pozszywano, zagipsowano i nafaszerowano proszkami, był piątkowy ranek, a nie czwartkowa noc. Kręciłam się nerwowo, kiedy go opatrywali. Nie mógł mówić, był półprzytomny, ale i tak zostałam, dopóki nie zasnął.

- Pani Van De Meer?

- Och, nie. - Gruba pielęgniarka odęła usta; widziała, jak trzymałam go za rękę.

- Więc nie jest pani spokrewniona z panem Van De Meer?

- Nie jestem jego gospodynią.

- Rozumiem. - Uniosła znacząco brew. - Musimy go tu zatrzymać na kilka dni. Ma wstrząs mózgu. Proszę przywieźć piżamę, maszynkę do golenia i inne drobiazgi, dobrze?

Siedziałam w holu i piłam ohydłą plastikową kawę, aż było na tyle późno, że mogłam bez wyrzutów sumienia zadzwonić do Mary, żeby po mnie przyjechała. Jak zawsze praktyczna, zaproponowała, że przywiezie stare piżamy Jamesa, w które on już się nie mieści.

- I jeszcze bardzo ładny szlafrok - dodała.

Zatrzymałyśmy się w hotelu. Chciałam im powiedzieć o wypadku i uprzedzić, że Pieter przez pewnie czas nie przyjdzie do pracy. Wbiegłam do recepcji i zatrzymałam się w pół kroku z szeroko otwartymi ustami na widok recepcjonistki w mojej sukience. Z tego zdziwienia mało brakowało, a nie zauważyłabym Morgana na kanapie.

- Jess! - Chyba mu ulżyło na mój widok. Pewnie myślał, że przyszedłam go przeprosić. Podszedł do mnie.

- Cześć, Morgan! Słuchaj, przykro mi, bardzo się spieszę! - Zwróciłam się do dziewczyny w mojej sukience i opowiedziałam jej pokrótce, co się stało. Morgan złapał mnie za łokieć i pociągnął na kanapę.

- Słuchaj, Morgan, ktoś na mnie czeka w samochodzie.

- Dobrze, ale powiedz, gdzie wczoraj byłaś?

- Nie przekazano ci mojej wiadomości?

- Owszem. Ale to żadne wytłumaczenie. - Wydawało mu się, że ma prawo się na mnie złościć. Chciało mi się śmiać.

Zbyt zmęczona, by się wstydzić, odparłam słodko:

- Domagasz się bardziej szczegółowego wyjaśnienia? Proszę bardzo. Nie pieprzę się z żonaty, Morgan. - To kłamstwo, gdybym nie dowiedziała się, że ma żonę, musiałabym go spławić mówiąc, że mi się po prostu nie podoba. Nie odwróciłam się, ale dałabym sobie rękę uciąć, że słyszałam szczękę walącą w podłogę. Mimo ponizających uwag pod własnym adresem, Morgan chyba nie przywykł do odmów.

Przespałam pół dnia, a potem pojechałam po dzieci. Mary pytała o Pietera. Czulałam się za niego odpowiedzialna, w końcu to mój lokator, tłumaczyłam. Taki samotny, z dala od domu. Odwiedzę go rano, do wieczora będzie nieprzytomny od środków przeciwbólowych. Wypytywała, jak doszło do wypadku. Gładko wyjaśniłam, że spadł z płotu na wieczornym spacerze. Nie dodałam, jak bardzo wieczorny był ów spacer.

Tak naprawdę nieważne, że jest moim lokatorem. Chciałam wiedzieć, co tak naprawdę zaszło między nami. Byłam ciekawa, czy mam prawo czuć coś więcej niż niepokój gospodyni. I oczywiście dręczyły mnie wyrzuty sumienia; to przeze mnie brama dygotała, przeze mnie spadł. Przeze mnie tam wlaził, zacznijmy od tego.

Dan i Frankie myśleli tylko o czekającym je spotkaniu z Dolores. Zanim poszli spać, byli pełni animuszu. Frankie, co dla niej typowe, widziała całą sprawę jako konfrontację, walkę dwóch kobiet o mężczyznę.

- Nawet na nianie spojrzę. Nie cierpię jej. Jak mogła zabrać mi tatusia?

Gdyby była starsza, obawiałabym się o życie Dolores. O ile się zorientowałam, Frankie wyobrażała sobie ich spotkanie jako krwawą jatkę.

Dan, z racji wieku i charakteru, widział problem w szerszej perspektywie.

- Nie chcę sprawić przykrości tatusiowi. Mówi, że ona jest wyjątkowa, ale gdyby nie ona, to by nas nie zostawił. Obawiam się, że nie będę w stanie być dla niej grzeczny.

Odwaliłam moją kwestię: wciskałam im, że będzie bardzo zdenerwowana, że bardzo chce ich poznać, że musi być miła, skoro tatuś ją wybrał. A potem zeszałam do salonu i wcale nie ziałam nienawiścią. Byłam jak zawieszona pomiędzy dwoma światami, nie miałam siły na złość. Pieter leży w szpitalu, Martin tuli do siebie Dolores przed kominkiem w domku Tima i szepcze w jej rude włosy: „Nie martw się, kochanie, to moje dzieci i pokochają cię tak jak ja”.

A co ja poczuję na widok Pietera? Co poczuję, kiedy się okaże, że moje dzieci przepadają za Dolores? Zasnęłam w salonie, na kanapie, wpatrzona w srebrny rąbek księżyca, z Suką na nogach.

Dzieci zerwały się o szóstej. W jednej chwili warczały na siebie, w następnej zerała je ciekawość. Wymyślałam im zajęcia: kazałam wyprowadzić Sukę, nakarmić kury, zapewniałam, że Pieterowi nic nie będzie, obiecałam, że zaniosę do szpitala rysunki, które dla niego zrobili.

Zdenerwowanie dodaje energii i wzmacnia produktywność. O ósmej trzydzięści uporaliśmy się z wszystkimi obowiązkami. Zdążyłam nawet przetrzeć podłogę w kuchni. Dzieci, spakowane, gotowe do drogi, kątem oka oglądały telewizję. Zmęczona, ogłupiała, siedziałam z nimi, dopóki kwadrans po dziewiątej nie ogarnęła mnie panika. A co, jeśli Martin przywiózł Dolores, jeśli zaraz tu wejdą? Sprawdziłam po raz kolejny, czy dzieci wszystko zabrały, pocałowałam je na do widzenia i uciekłam na górę. Zamknęłam się w łazience i przygotowałam sobie kąpiel. Ledwie zanurzyłam się w pianie, na dworze zabrzmiał klakson, a dzieci zaczęły dobijać się od łazienki. Wskoczyłam z wanny, żeby jeszcze raz je uściskać.

- Dasz sobie radę, mamo? - martwił się Dan. - Wiesz, że jesteś naszą jedyną wspaniałą mamą prawdą?

Nigdy się nie dowiem, przez co przechodzili, rozdarcie między ojcem a matką. Czasami wątpię w bezinteresowność miłości rodzicielskiej. Chyba nie zauważamy, skąd naprawdę pochodzi. Przecież dostaję więcej niż daję. Pożegnalne słowa Dana sprawiły, że rozkleiłam się całkowicie. Siedziałam w wannie, aż woda całkiem wystygła, a ja stałam się pomarszczona jak stare jabłko.

Rysunki dla Pietera leżały na stole w salonie. Mało brakowało, a byłabym o nich zapomniała mimo solennych obietnic. Były to głównie oczekujące krwią dramatyczne wersje jego wypadku i bardziej pokojowe wizerunki Pietera w ogrodzie. Patrząc na nie uświadomiłam sobie, jak wiele dzieci o nim wiedziały. Dostrzegły jego długość, szeroki uśmiech, okrągłą głowę. A oto jego dom na palach z wędką zwisającą z okna sypialni. Cichutko, nie wiadomo jak, zakradł się do ich serduszek. Chyba ma do tego szczególny talent.

Leżał teraz gdzie indziej, na końcu korytarza, w pokoju z wielkim oknem. Był błądy i cichy, chyba spał. Ustawiłam obrazki na nocnej szafce, koło kwiatów, które przyniosłam - lilie królewskie dla niego i dzwoneczki dla mnie. Usiadłam cichutko i patrzyłam na niego. Obserwowałam, jak kołdra unosi się i opada.

Oprócz pielęgniarek na nocnym dyżurze, tylko matki i kochanki patrzą na sen innych. Po kilku tygodniach ostrożnej przyjaźni obserwowanie, jak on śpi,

wydawało mi się rzeczą bardzo intymną. Doskonale się razem bawiliśmy, ale przez cały ten czas dotykaliśmy się tylko przypadkiem. Być może dla większości ludzi to coś najnormalniejszego pod słońcem, ja jednak impulsywnie całuję, ściskam, klepię. Fakt, że robiłam z nim tyle rzeczy: oglądałam telewizję, gotowałam, żartowałam, spacerowałam i rozmawiałam, nawet nie klepnąwszy go po ramieniu, musi coś znaczyć. Fakt, że staliśmy tak blisko siebie na tym cholernym ogrodzeniu, też musi coś znaczyć. Chciałam, żeby się obudził i wyjaśnił mi, co.

Ciemne włosy odrosły mu i srebrzyły się siwizną z j jednej strony. Sprawilo mi to radość. Więc może wcale nie jest taki młody. Madness to szkoła średnia, nie podstawowa, a może nawet był wtedy nauczycielem, nie uczniem? Czyli jest ode mnie tylko troszkę młodszy. Ale i tak nie ma zmarszczek. Kiedy tak leżał spokojnie, bez ruchu, śniady na tle białej poduszki, wydawał się boleśnie wręcz młody. Ktoś tak młody znajdzie sobie dziewczynę o sterczących sutkach i płaskim brzuchu. Dziewczynę bez przeszłości, z którą można zacząć i iść do końca. Po co mu rozwódka w średnim wieku, z dwójką dzieci i milionem problemów na głowie?

Co ja sobie wyobrażałam? Że mnie pragnie? Że jego sympatia to początek namiętności? Muszę dać sobie spokój, królowe terminów są śmieszne szukając utraconych skrzydeł. Pieterowi było mnie żal, i tyle. To miły facet, zastał mnie we łzach, koniec, kropka.

Prawie zapomniałam dodać, że to przeze mnie spadł, złamał nogę i rozwalił sobie głowę. Prawie, bo on też miał coś do powiedzenia.

Otworzył oczy.

- Jak się czujesz? - zapytałam.

- Obolały. - Uśmiechnął się. - Rysunki są bardzo ładne. - Miał lzy w oczach.

- W mojej rodzinie nie ma małych dzieci, które robiłyby mi takie prezenty. Powiedz im „dziękuję”.

- Dobrze. - Z trudem powstrzymywałam falę czułości, tklivość, która we mnie wezbrała wobec jego bliskości.

- Noga boli. Długo będzie chora. - Był zmęczony i nie całkiem przytomny, nic dziwnego, że jego angielski się pogorszył.

- Byłam w hotelu, powiedziałam, co się stało. Wiedzą że przez jakiś czas nie przyjdiesz do pracy.

- Dziękuję. - Znowu zamknął oczy.

- Pieter, bardzo mi przykro. To wszystko przeze mnie.

- Nie, Jess, nie. To był wypadek.

- Ale gdyby nie ja, gdybym nie zeskoczyła...

Westchnął. Otworzył oczy.

- Jess, wracam do Holandii.

Znowu to usłyszałam, ten dziwny dźwięk, jakby uchodziło ze mnie życie.

- Nie!

- Nie na zawsze, tylko na trochę.

- Mógłbyś tu zostać. - Wpadłam w panikę. Chyba uda mi się zostać w domu, by go pielęgnować? Namówię Judith, żebyśmy zrobili odcinek o moich kurach. - Nie musisz wyjeżdżać. Poślę ci na dole.

- Nie, Jess. Będzie lepiej, jeśli na trochę pojedę do domu.

- A co z pracą w hotelu?

- Mają moje plany, zresztą sadić będziemy jesienią. - Opuścił powieki. Zdawał się zapadać coraz głębiej w pościel. No tak, więc się myliłam. Wydarzył się zwykły wypadek, nic poza tym.

- Zadzwoń do brata, żeby po mnie przyjechał i zabrał od ciebie moje rzeczy.

- Daj znać, kiedy - mruknęłam. - Pewnie będę w pracy, ale zostawię otwarte drzwi.

- Wrócę - szepnęła nie otwierając oczu. Tak, pewnie, wróci, ale do Kath i Gerry'ego. Nic będzie się musiał obawiać szalonej rozwódki, rozpaczliwie pragnącej, by ktoś prawil jej komplementy. Przestań szukać tych cholernych skrzydeł, Jess, upomniałam się.

Nie płakałam, gdy sprzątałam jego pokój w sobotni wieczór. Nie było czego oplakiwać, oczywiście oprócz kolejnego zamku na piasku. Przez wszystkie lata z Martinem robiłam to samo - wmawiałam sobie, że mnie kocha; w porównaniu z tym romantyczna wizja Morgana i uczucie do Pietera to małe piwo.

Zmieniłam także pościel w moim pokoju, zamiast dwóch poduszek zostawiłam jedną. Śniadanie w łóżku w niedzielne ranki, chrapanie do woli, spanie w zielonej maseczce na twarzy, takie od dziś będą moje łózkowe przyjemności. Zabrałam Sukę na spacer, a potem oglądałam telewizję. Program w sobotnie wieczory jest tak ustalony, że nieudacznicy i fajtlapy, jak ja, które nie siedzą z przyjaciółmi w pubie, czują się jeszcze gorzej. O północy wykąpałam się i poszłam spać. Odkał zostawiłam Pietera na wysokim szpitalnym łóżku, nie czułam niczego.

Obudziłam się w niedzielę rano w tym samym stanie odrętwienia, jakbym była z dala od mojego życia. Tego dnia odbywał się coroczny turniej gry w kręgle w pubie. Impreza cieszy się olbrzymią frekwencją lepszą niż wiejska zabawa, gdzie rywalizacja jest ukryta i dyskretna. Przy kręglach nie trzeba się hamować, ma się wiele okazji, by zdobyć zaszczytny tytuł: najlepszej drużyny, najlepszego gracza, najlepszej zawodniczki...

Zazwyczaj ma to miejsce pod dachem, w wiecznie pachnącym wilgocią korytarzu, ale babie lato skłoniło organizatorów do urządzenia zawodów na dworze. Każdy uczestnik przynosi coś do jedzenia, a do tego urząda się grilla, więc w cenie biletu dostaje się dużo jedzenia i dobre piwo.

Już w południe stół uginał się pod różnymi ciastami i tortami, flakami i zapiekankami, a George, dziedzic, rezydował za stołem jak kowal w kuźni. Alex zapisywał drużyny na tablicy, kaligrafował nazwy kształtnym nauczycielskim piśmem. Nazwy były nader dziwaczne, dostrzegłam Wściekle Krowy, Złe Buhaje, Pijane Kury, Miejskie Byczki. Zawodnicy, którzy podchodzą do sprawy poważnie, zaprawiali się piwem. Stare farmerskie rodziny z wytęsknieniem wyczekują na turniej kręgli. Dzięki niemu regulują stare długi: o dziewczyny uwiedzione podczas wojny, o płoty przesuwane pod osłoną nocy, o byki, zapadające na ta-

jemnicze choroby tuż przed wystawami. Jest to bardzo ważne wydarzenie w życiu naszej społeczności. Zgodnie z tradycją trzeba się tam przynajmniej pokazać.

Jednocześnie ze mną przyjechali Kath i Gerry.

- Cholera jasna. Nie chce mi się w to wierzyć! Ona znowu upiekła kruche ciasteczka, wyobrazasz to sobie? Znowu będę musiał je wpietrzać, jak w zeszłym roku.

- Odwal się, Gerry. Wiesz, że umiem piec tylko dwa rodzaje ciasta.

- Tak? A jakie jest to drugie?

- Nie pamiętam! Ale zaraz cię zamorduję! - prychnęła Kath. - Mam nadzieję, że nie przejdziemy do drugiej rundy, muszę wrócić do pracy na drugą.

- A z kim gramy?

- Ty, ja, Gerry. Alex i Sarah nie, oni sędziują. Alf, Maud i Susan.

- Cholera, jeśli Alf jest w formie, zostaniemy tu do samego końca!

Jednym z warunków turnieju jest społeczne zróżnicowanie drużyn. W każdym zespole młodych, sprawnych ludzi, a za takich uchodzimy w oczach wioski, musi się znaleźć miejsce dla starca albo kogoś pijanego w sztok, albo dla kaleki o kulach. Kiedy jednak przychodzi co do czego, młodzi i sprawni, czyli na przykład ja, są do niczego w kręglach, a starszankowie, którzy robili to całe życie, grają jak szatany. Alf i Maud byli po osiemdziesiątce, drobni i chudziutki na pierwszy rzut oka, ale kiedy dostali kule w dłonie, zmieniali się w supersprawnych joginów.

- Alf, wygramy?

- Najpierw się napijemy.

Susan to emerytowana nauczycielka. Przez całe życie uczyła panienki z dobrzych domów hokeja i botaniki. Następnego dnia po przejściu na emeryturę rozpuściła włosy i zaczęła korzystać z uroków życia. Ubiera się ekstrawagancko, pali jak smok, gra różnie, ale może się okazać asem w rękawie.

Martin nigdy nie startował w turnieju. Albo go nie było, albo lada dzień miał wyjechać. Rozejrzałam się dookoła: Susan gasi niedopałek, celuje, rzuca. Młode kobiety z dziećmi plotkują na belach siana, dzieci włączają się wielką bandą potężni mężczyźni o czerwonych twarzach zlizują sos z dłoni. Ciekawe, czy dla Martina to wszystko miałyby jakiegokolwiek znaczenie, czy potrzebna mu była świadomość, że i on ma swoją rolę w tej wiejskiej komedii.

Pochyliłam się i rzuciłam, kula głucho uderzyła w barierkę. Znowu pudło. Kath i Gerry bardzo się ucieszyli - ona zaraz ucieknie do pracy, a on zje więcej kruchych ciasteczek. Jeśli chodzi o talenty Susan, Maud i Alfa, znajdzie się dla nich miejsce w innej drużynie, bowiem nadmiar piwa poczynił znaczne wyłomy w szeregach zawodników.

Kath oddaliła się dyskretnie. Ja gawędziłam z Gerrym i przeszkadzałam Sarah i Alexowi w sędziowaniu, ale nagle zapragnęłam natychmiastowego powrotu dzieci. Chciałam, żeby zastały mnie spokojną, w kuchni pełnej smakowitych zapachów. I chciałam wytrzeźwieć, a przynajmniej nie śmierdzieć jak browar.

Wracałam na piechotę, przez pola. Rano zabiorę samochód. Wszędzie było sucho, liście zieleniły się nadal, gałęzie uginały pod ciężarem jeżyn.

Kolejka do toalety była bardzo długa, nie chciało mi się czekać, ale po drodze uznałam, że spacer sprawi mi o wiele większą przyjemność, jeśli pozbędę się

pęcherza wielkości piłki futbolowej. Ukucnęłam między krzakami jeżyn. My, kobiety, załatwiamy się bardzo cichutko. Chłopcy pryskają albo jęczą z ulgi. Kobiety robią to po cichu, nisko nad ziemią. Nie zdziwiłam się więc na widok lisicy. Wyloniła się zza krzaka, popołudniowe słońce świeciło wprost na nią. Była chyba stara, pod brzuchem zwisały dwa rzędy sutków, ale futro nadal lśniło tryumfalnie; najbardziej załomy rudzielec w barze. Delikatnie wyjadała owoce z krzaka. Była tak blisko, że słyszałam, jak cicho mlaska. Nie ma to jak zobaczyć lisicę w trakcie siusiania, nic tak doskonale nie ćwiczy zwieraczy. Wstrzymujesz automatycznie.

Zwęszyła mnie jednak, mnie albo amoniak w moczu, i bez chwili wahania uciekła. Przemknęła przez pole jak rdzawa smuga.

Skończyłam susiać, wstałam. Pyszczyk lisicy, jej piękne futro i zużyte ciało utkwily mi w pamięci na dobre, przebiły się przez pustkę i czerń ostatniej doby. Przez całą pozostałą drogę do domu składałam się wyłącznie z tego wspomnienia. Nie miałam nic innego do powiedzenia, o niczym innym nie myślałam, więc kiedy doszłam do domu i przywitałam się z Suką byłam gotowa na nowe myśli.

„Mam, czego chciałam - zdawała się mówić lisica. - Mam, czego chciałam”. Usiadłam na dworze i nagle zrozumiałam, że to prawda. Życie tutaj, w tym miejscu, z dziećmi zupełnie mi wystarczy. Może nie rozkwitnę, ale przeżyję. Nie urosnę, ale i nie zwiędnę. Martin mi tego nie odbierze, choćby zrobił nie wiadomo co. Jest soplem lodu, nie piłą mechaniczną. Bałam się go tylko dlatego, że to on podejmował wszelkie decyzje: „Przyjeżdżam po dzieci. Nie przyjeżdżam po dzieci. Dzieci poznają Dolores, ty nie”. A co, jeśli ja podejmę jakieś decyzje? Nic nie przebiję tego, że się z nim rozwiodłam.

Posprzątałam w kuchni, wstawiłam ciasto do pieca, umyłam twarz i wyszłam na dwór, żeby poczekać, aż Martin i Dolores przywiozą dzieci.

Siedziałam spokojnie, obserwowałam, jak niebo zmienia barwy. Widać, że lato się kończy, kiedy na horyzoncie narastają chmury. Kiedy samochód skręcił w nasz podjazd, słońce oświetliło Martina całkowicie. Jechał powoli. Widziałam wyraźnie jego i Dolores w pomarańczowym świetle.

Była prawie taką jak ją sobie wyobrażałam. Może mniej ładna, za to sympatyczniejsza. Słodka, owalna twarz w aureoli rudych włosów. Twarz Martina obok, taka znana, taka gniewna, napięta. Obawiał się spotkania ze mną tak samo, jakja spotkania z nim. Powiedziała coś, może „nie martw się”. Uśmiechnął się i spojrzał na nią. Zanim się odwróciła, przejechała dłonią po jego włosach. Trwało to moment, najwyżej pięć sekund. Ale widziałam, jak na nią patrzy, z jaką czułością ona go dotyka. Martin odnalazł swoją drugą połówkę, swój wszechświat. Nie mogłam się dłużej temu sprzeciwić. Miłość, jakkolwiek by na to patrzeć, to rzadki cud i dyktuje własne warunki. Błędy popełniamy my, dokonując niewłaściwych wyborów.

Samochód zatrzymał się. Podeszłam do drzwiczek od strony kierowcy. Przerażenie na twarzach wszystkich pasażerów było wręcz komiczne. Brakowało tylko chmur z wykrzyknikami nad ich głowami.

Martin wysiadł, dzieci pędem rzuciły się w moją stronę. Dolores siedziała bez ruchu, jak figurka w samochodziku-zabawce. Ktoś powinien jej powiedzieć, żeby zamknęła usta, pomyślałam.

- Mamusiu, wszystko w porządku? Nie powinnaś rozmawiać z tatusem!
- Spokojnie, Dan. Chcę mu coś powiedzieć.
- Nie, mamusiu. Nie chcę, żebyście się kłócili. Nie bijcie się. - Frankie ciągnęła mnie do tyłu.

- Skarbie, spójrz na mnie. Nie jestem zła, nie płaczę. Wszystko będzie dobrze. Pożegnajcie się i do domu. W piecu czeka na was ciasto. - Z oddali popatrzyli, jak zbliżam się do Martina, i wbiegli do kuchni.

- To okropne, Jess. Nie uprzedziłaś mnie. Nie dałaś mi w żaden sposób do zrozumienia, że chcesz się ze mną spotkać. Ja nie mam na to najmniejszej ochoty. Powinnaś była mnie uprzedzić. - Plułam jadłem.

- Martin - zaczęłam cicho. - Jesteś ojcem moich dzieci. - Moim zdaniem musimy się postarać zostać przyjaciółmi. Może ty i Dolores wstąpicie na chwilę na herbatę?

Martin nie odpowiedział. Zaciśnął szczękę.

- Nie, to nie jest dobry pomysł.

Podeszłam o krok bliżej. Upomniałam się, żeby oddychać powoli. Spokojnie stwierdziłam:

- Dobrze, więc może innym razem. Ale i tak powiem to, co muszę ci powiedzieć. Pogodziłam się z tym, że odszedłeś. Że nie wrócisz. To już tylko kwestia tygodni, zanim będzie po wszystkim.

Powiedziałam to w końcu. Podeszłam jeszcze odrobinę bliżej, wspięłam się na palce, pocałowałam go w zimny policzek. Nie drgnął.

- Chciałam się pożegnać z Martinem, moim mężem - wyjaśniłam.

- Co to za uczuciowy cyrk... - syknął, ale urwał w pół słowa, opuścił głowę, wbił wzrok w czubki nowych butów. W końcu wyprostował się i powiedział bardzo, bardzo cicho, chyba żeby Dolores go nie usłyszała: - Żegnaj, Jess. - I przez króciutką chwilę gdzieś daleko, w głębi błękitnych oczu zobaczyłam mojego Martina.

A więc stało się. Koniec. Mogę przestać walczyć. Odczułam ulgę podobną do tej, jakiej doświadczają rodziny dawno zaginionych na wieść o odnalezieniu zwłok. Koniec. Mogą opłakiwać najbliższych i żyć dalej.

- Żegnaj, Martin. Wszystkiego najlepszego.

Odwrócił się na pięcie, wsiadł do samochodu. Spojrzałam na Dolores. Nie byłam w stanie się uśmiechnąć. Pomachałam jej. W odpowiedzi skinęła głową i w końcu zamknęła usta. Odjechali z rykiem silnika.

Dzieci chyba wszystko obserwowały, bo wybiegły z domu zaraz po ich odjeździe. Przytuliły się do mnie i tak staliśmy przez dłuższą chwilę. Nagle podbiegła do nas Suka, tańcząc z radości.

- Nauczyła się otwierać drzwi - stwierdził Dan.

- Zajęło jej to zaledwie trzy lata. Ależ jest głupia! - skrzywiła się Frankie.

- Chodźcie, potwory. Znosi się na deszcz. Niedługo pojedziemy do Pietera do szpitala.

Nie słyszałam, co mówią o Dolores, co im się w niej podobało, a co nie. Jechaliśmy do szpitala. Miałam wrażenie, że film zbliża się do końca. Intuicja podszeptęła mi, że czas się pożegnać z Martinem. Intuicja przekonała mnie, że romans z Morganem to kiepski pomysł. Intuicja szeptała, że Martin ma kogoś, na długo przed kasetą Queen czy kłapą Magicznej Różdżki. A teraz szeptała, że między mną i Pieterem nie wszystko zostało powiedziane. Chciałam, żeby o tym wiedział.

Kiedy przyjechaliśmy, czas odwiedzin dobiegał końca. Pielęgniarki krążyły po pokojach z minami strażników więziennych.

Pieter siedział na łóżku w białym podkoszulku. Na kołdrze poniewierały się dokumenty, notatki, ołówki, talerze i miseczki. Ucieszył się na widok dzieci, one jednak były oneśmielone szpitalną atmosferą.

- Wiecie co? Lećcie i sprawdźcie, czy fajny jest ten kącik zabaw, który mijaliśmy. Zaraz po was przyjdę.

- Cześć, Pieter. Do zobaczenia.

Milczał, dopóki nie wyszły.

- Nie powiedziałaś im, że wracam do Holandii?

- Nie. Jeszcze nie.

- Dziękuję, że mnie odwiedzasz. - Przyglądał mi się przez chwilę, ale zaraz odwrócił wzrok. Pewność, która mnie tu przygnała która kazała iść po samochód do pubu, przybladła, a na jej miejsce pojawiła się królowa termitów w ciemnej norze.

A potem usłyszałam w głowie głos Martina. Przypomniało mi się, co powiedział o Dolores, zanim odszedł: „Wiem, że nie będę miał drugiej szansy. Jeśli teraz nie zaryzykuję, za trzydzieści lat nie spojrzę w lustro z czystym sumieniem”.

To bolało. Bardzo. „A co ze mną?” - pytałam wtedy. Teraz go zrozumiałam. Szansa życiowa na horyzoncie. Naszykujcie sieci! Martin to zrobił. Po raz pierwszy w życiu postawił wszystko na jedną kartę, a miał bardzo dużo do stracenia. Ale dzięki temu nie bałam się tak bardzo, ryzykowałam mniej, że zabierze to, co mogłabym stracić.

Między mną a Pieterem coś jest, nie wiem tylko co. Jedno z nas musi się zdobyć na odwagę. Jak to zwykle mawiał Gerry o targowaniu się w antykwariatach: „Bądźmy szczerzy, Jess, najgorsze, co nas może spotkać, to że nam każą się odpieprzyć, nie?”.

Odstawiłam nie dopitą szpitalną herbatę na bok. Splotłam dłonie, żeby dodać sobie otuchy. Nie wiedziałam, co powiedzieć. „Co się stało?” - za mało konkretne. „Czy mnie kochasz?” - zbyt melodramatyczne.

- Pieter, co chciałeś mi powiedzieć, zanim spałeś?

- Nie spodoba ci się to. To niewłaściwy moment.

- Dlaczego?

- Bo... - westchnął. Przez wszystkie tygodnie w moim domu nie zrobił tego ani razu. - Bo wracam do Holandii.

- Ale wtedy tego nie wiedziałaś. Kath ciągle myśli, że w przyszłym tygodniu wrócisz do pracy.

Milczał. Chyba fascynował go wzorek na kołdrze.

Pielęgniarka wściekle zamachała dzwonkiem.

- Koniec wizyt. Za dwie minuty proszę opuścić oddział. Pieter się nie odzywał.
- Nie wyjeżdżaj tak od razu. Zamieszkaj u mnie. Tylko przez kilka dni. Podniósł na mnie wzrok. Nagle moje oczy okazały się równie fascynujące jak kołdra.
- Dzisiaj pożegnałam się z Martinem. Z jego twarzą. Nie chcę już, żeby wrócił. Pokój wypełnił ogłuszający łomot; obawiałam się, że to we mnie coś pęka, ale okazało się, że prowizoryczny gabinet Pietera osuwa się na podłogę, gdy wyjął ręce spod kołdry i nakrył nimi moje dłonie. Patrzył na mnie badawczo.
- Zadzwońię do brata. Jutro przyjadę do ciebie.
- Ostatnia miseczka spadła na ziemię.
- Ale syf.

Rozdział siedemnasty

Nie wiem, jakim cudem udało mi się skupić na ratlerkach pani Mapes. Były wszędzie, jak plaga myszy. Wydawało mi się, że wystarczy zamknąć jednego w szafie na kilka minut, a zaraz rozmnoży się samoczynnie. Biorąc pod uwagę, jak bardzo jestem roztargniona, cud, że na żadnego nie wlażłam. A może wlażłam, może za tydzień odkryję psie szczątki pod podeszwami butów.

Musieliśmy kręcić w domu, więc zanim Roba zadowolilo oświetlenie, wszyscy okazywaliśmy początki klaustrofobii - nikt nie wytrzymałby długo z taką ilością wylupiastych, wilgotnych oczu. Wszystkie dzieci pani Mapes, a było ich z dziesięcioro, nie poszły do szkoły z powodu naszej wizyty. Niewykluczone, że także jedno z nich przykleiło mi się do podeszwy. Po kilku godzinach niczym się nie różniły od psów, o ile można nazwać psem szczura na smyczy.

Potem nakręciliśmy kozę z cesarskim cięciem i sowę ze zwicniętym skrzydłem w lecznicy dla zwierząt. Weterynarz okazał się straszną gadułą. I dobrze, nie musiałam nawet wymyślać pytań... był jak nakręcana zabawka, puszczaż i leci na oślep. I dobrze, bo o trzeciej byłam tak zdenerwowana, że nie byłam w stanie skleić jednego poprawnego gramatycznie zdania.

- Ziemia do Jess, ziemia do Jess - zażartował Steve.
- Co? Przepraszam, zamyśliłam się.
- Pytałem, czy włączyłaś mikrofon?
- Tak. Nie. Nie wiem.
- Jess, chciałabym nakręcić to jeszcze raz.
- Słucham, Judith? Co?
- No, ten wywiad.
- Zapisalaś moje pytania? Nie mam pojęcia, co mówiłam.

Pieter czuł się na tyle dobrze, że karetka odwiozła go do domu. Nie podobała mi się myśl, że siedzi sam w pustym mieszkaniu, obolały, unieruchomiony przez gips, zły, że się zdecydował nie wracać do Holandii. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak leży bez sił na kanapie w salonie, zbyt słaby, by zapalić światło, a biedna Suka liże jego dłoń i skamle żałośnie.

- Jedziemy za szybko, mamó - zauważył Dan. Wracaliśmy od Sarah i Alexa, którzy odebrali dzieci ze szkoły.

- Przepraszam, martwię się o Pietera.

- Mówiłaś, że nic mu nie jest! - Frankie była gotowa wybuchnąć płaczem.

- Tak, tylko... och, nieważne.

- Szybciej, mamó!

Odpoczywał, ale nie cierpiał. Było na tyle ciemno, że zapalił światło. W kuchni było jasno i przytulnie. Pieter siedział na kanapie, w jednej dłoni trzymał kieliszek wina, drugą głaskał Sukę. Przypomniałam dzieciom, że jest osłabiony, inaczej z radości złamałyby mu drugą nogę.

- Wyglądasz dużo lepiej!

- Bo tak się czuję. - Znowu patrzył mi prosto w oczy; koniec z unikami i blądzeniem wzrokiem po ścianach. - Umiem już chodzić o kulach. Zrobiłem obiad. - Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam pluszaki; wszystkie pluszowe zwierzątka z domu siedziały na stole, a każdemu do łapki przypięto kwiat. Musiał się strasznie namęczyć znosząc je z piętra. Poczulałam w gardle gulę, lzy i coś jeszcze, coś na kształt nadziei.

- Chciałem udekorować dom...

- Pieter, to nasze miśki. - Dzieci oglądały pluszaki, jakby odbierały paradę kadetów wojskowych w Sandhurst. Pieter przyniósł wszystkie zabawki, ze wszystkich pokoi, moje, Martina, Dana, Frankie. Proszę, oto miś, którego dostałam od taty, kiedy zachorowałam na świnkę mając siedem lat; a to niedźwiadek, którego pięcioletni Martin kąpał tak często, aż wyłysiał. Tutaj różowy królik, ukochana zabawka Frankie, odkąd miała dziewięć miesięcy, a tu szmaciany tygrysek, z którym Dan się nie rozstawał między drugim a czwartym rokiem życia. A na samym końcu siedział mały czarny piesek bez ogonka, z frezją na głowie; kawałek życia Pietera, obce terytorium w znanym krajobrazie.

Może to pierwsze spojrzenie w przyszłość, stworzoną z kawałków przeszłości.

- Zaraz będzie kolacja.

- Jakim cudem?

- Poprosiłem pielęgniarkę... - Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Bez trudu wyobraziłam sobie, jak prosi pielęgniarkę, żeby skoczyła do supermarketu i kupiła gotowy obiad dla czterech osób. - Przywiozłem karetką. Zaraz będzie.

To było prawdziwe przyjęcie, kupił nawet szampana. Oparł nogę w gipsie o wolne krzesło i siedział z nami przy stole, pogodny, radosny, zabawny. Taki

sam jak zawsze, do tego stopnia, iż zaczęłam się obawiać, że nie ma nic więcej. Że znowu jest tylko moim lokatorem, uprzejmym i niekłopotliwym. Że będziemy rozmawiali o kwiatkach, zielonym groszku i żartowali, że Pieter ucieknie z Suką.

Wysłałam dzieci do łóżek po pierwszym ziewnięciu. Denerwowałam się coraz bardziej. Energicznie sprzątałam talerze ze stołu, krzątałam się, włączyłam radio, aż wreszcie nie miałam wyjścia, musiałam usiąść naprzeciwko niego.

- Wygodnie ci?

- Tak. - Nalał mi wina. - Muzyka jest za głośna. Możemy ściszyć?

Zerwałam się jak z procy i energicznie wałęnałam w przycisk „stop”.

- Jess. - Głęboko zaczerpnął tchu. - Chciałbym, żebyś o czymś wiedziała.

Serce zamarło mi w piersi. Ostatnio słyszałam te słowa także w kuchni; Martin powiedział mi wówczas o Dolores.

- O, nie! Chcesz mi powiedzieć, że masz w Holandii żonę i siedemnaścioro dzieci!

- N i e .

- Więc jesteś gejem.

- Nie, Jess. Posłuchaj. Pytałaś, co chciałem ci powiedzieć, zanim to się stało - stuknęła w gips. - Powiem ci, ale najpierw prezent. Tam, na szafce. Dla ciebie.

Nad stołem, wysoko na szafce, tam, gdzie nie zaglądałam nawet podczas najbardziej maniackich nocnych porządków, leżało zwykłe białe kartonowe pudełko z niebieską gwiazdką.

Nie lubię rozpakowywać prezentów, nie lubię ich oglądać. Czy jeśli zawartość mi się nie spodoba, zdołam zrobić dobrą minę do złej gry? Chyba trudno coś dla mnie znaleźć, bo bardzo rzadko podoba mi się to, co dostaję. A może tak jest ze wszystkimi - udajemy tylko zachwyty, żeby oszczędzić bliskim przykrości?

Podniosłam przykrywkę i z obawą zajrzałam do środka. W takim pudełku mogą się kryć najróżniejsze straszdyła: makabryczne figurki, ceramika w kolorze krowich placków, ozdobne świece, buteleczki z kolorowym piaskiem. Nie byłam pewna, czy na widok pastuszka z porcelany zrobię odpowiednio radosną minę.

Wyjęłam cebulkę. Białą pomarszczoną z korzonkami jak macki ośmiornicy. W pudełku było ich więcej, każda owinięta w bibułkę. Przyglądałam się im z zachwytem. Nikt nie poznał mnie na tyle, by dać mi coś, czego równie mocno pragnęłam

- To lilie - odezwał się. - Specjalnie je wybrałem. Po angielsku mają specjalne nazwy. Odkrycie, Gwiazda, Ogień, Koniec Podróży. To wiersz dla ciebie. O tym, ile dla mnie znaczysz. - Zobaczyłam lzy w zielonych oczach.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Normalni ludzie nie mówią takich rzeczy, tylko pytają: „Pewnie mały numer nie wchodzi w grę?”.

Udało mi się tylko wykrztusić „dziękuję” i wziąć go za rękę.

- Zacznijmy od początku. Jesteś Jess, która krzyczy na dzieci. Która chodzi boso po ogrodzie. Która mówi do telewizora „odwal się”. Która całuje przyjaciół. Która, na Boga, słucha z zainteresowaniem, jak opowiadam o przycinaniu drzewek. Jess, która się śmieje z moich dowcipów. To oczywiście jest w niej najlepsze. Kocham ją. Kocham taką Jess. Od pierwszego tygodnia. Pierwszego dnia.

W zielonych oczach lśniło życie.

- Kiedy zeskokczyłaś z bramy, myślałam, że nie chcesz tego słuchać. Że ciągle pragniesz, żeby twój mąż wrócił.

- Nie, już nie, naprawdę.

Tak szybko rzuciłam się ku niemu, że o mały włos, a potłukłabym marne resztki mojej zastawy. Trzymaliśmy się w objęciach i oddychali głośno. Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć wobec emocji, które wstrząsały nami z taką siłą że zabrakłoby skali Richtera. W jednej chwili chcieliśmy nadrobić wszystkie te tygodnie, gdy starannie się omijaliśmy. Byliśmy w szoku. To tak, jak do szklanki wody wrzucasz kryształki azotu i nagle widzisz autentyczną burzę w szklance wody.

- Jak się czujesz? - szepnęłam.

- Boję się. Co my robimy? Co mi dodałaś do herbaty?

- Mleko.

- Aha. A cukier?

- N i e .

- Czuję, że wróciłem do domu, w którym mnie nie było od miliona lat.

- Od dziesięciu milionów.

- Dobrze, od dziesięciu.

- Nie chcę cię puścić.

- Więc tego nie rób.

Przemieściliśmy się na górę, do mojego pokoju, przystając co trzy stopnie, żeby się całować z komiczną wręcz namiętnością. W sypialni rzuciliśmy się na łóżko.

Zazwyczaj kiedy się zakochasz, nie możesz się doczekać tej chwili. Wychodziecie na kolację i się złościecie, bo trzeba zjeść aż trzy dania. Idziecie do kina i trafia was szlag, że przez dwie godziny trzeba siedzieć po ciemku, udo przy udzie. Równie dobrze mogliby wyświetlić trzyzdaniowe streszczenie fabuły. Zapraszacie przyjaciół na kolację i modlicie się, żeby sobie poszli o wpół do dziesiątej. Albo, jeszcze lepiej, żeby w ogóle nie przyszli.

A Pieter i ja leżeliśmy w ubraniach. Obejmowaliśmy się i rozmawiali. Cokolwiek więcej przypominałoby eksperymentowanie z nowo odkrytą zdolnością psychokinezy. Pieter głaskał mnie po ramieniu i dygotałam ze szczęścia. Całowałam jego palce, a on mówił, że zwariuje.

Seks oznaczał ryzyko samospalenia.

Pieter rozpościerał przede mną cały świat. Tak plastycznie opowiadał o dzieciństwie w małym holenderskim miasteczku, że zaczęłam traktować jego wspomnienia jak własne. Wiem już wszystko o jego dwóch młodszych siostrach, o ich mężach i kochankach, o jego rodzicach, przyjaciółach i krewnych. Unosiłam się radośnie w oceanie jego historii, zachwycona każdym szczegółem. Jego opowiadania były idealne, miały początek, środek i zakończenie. Szkoda, że nie miałam takiego dzieciństwa. Moje dorastanie to *collage* chwil, a nierealistyczny obraz. Dlatego jestem tak pełna sprzeczności, dobrych i złych cech. Opowieści Pietera stworzyły go, napisały; jak garnek miodu Kubusia Puchatka, okazał się słodki do samego dna.

Nie wiadomo kiedy zasnęliśmy, a właściwie się zdrzemnęliśmy. Nie śniliśmy, ale otaczała nas feeria kolorów i światła. Zasnęliśmy, budziliśmy się, rozmawiali i znowu zasnęli. Nie miałam pojęcia, że noc może być taka długa. Najpierw, niebieskoczarza, przyciskała do okien jasne gwiazdy. Potem pojaśniała, księżyc rozjaśnił wszystko perłowym światłem. Wtedy po raz pierwszy się kochaliśmy, lekko zaspani, tak że nasza wrażliwość była odrobinę przytępiona i dzięki temu zdobyliśmy się na odwagę.

- Co będzie? - zapytał Pieter.
- Nie wiem.
- Przez ten gips nie mogę się ruszać.
- A le ja mogę.
- Kocham cię. Słowa to za mało.
- Muszą nam wystarczyć.

Moje zmysły wyostrzyły się niespodziewanie. Czułam każdy włos na mojej i jego skórze. Słyszałam każdą ptasią nutę w ogrodzie. Czułam zapach wszystkich roślin, każdej kropelki potu. Nawet pestki śliwki, które w zeszłym tygodniu nie wymiotłam spod łóżka.

Wkrótce nie wiedziałam, gdzie się kończy moja rozkosz, a zaczyna Pietera.

Podarliśmy prześcieradło i przewrócili nocny stolik. Gdyby dzieci nie były tak zmęczone, przybiegłyby sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku.

- Żyjemy?
- Chyba tak.

Potem się rozplakałam. Szlochałam, łkałam, targały mną spazmy. Pieter trzymał mnie w objęciach i wycierał łzy koszulą. Oczyścił mnie, usunął Martina z mojego ciała. Cała magia Martina, wszystkie jego ślady zniknęły ze mnie, odchodziły jedna po drugiej, jak króliki wyciągane z kapelusza magika, aż nie zostało nic.

- Więc dlatego tak cierpiałam - powiedziałam. - Musiałam stracić Martina, żeby dostać ciebie.
- To jak bóle porodowe.
- Właśnie.
- Dążyliśmy do tej chwili przez całe życie.

Oto Nowy Wszechświat, gdzie nie obowiązują mnie żadne zasady. Dla tego mężczyzny nie muszę się stroić, mogę siedzieć po turecku na łóżku, w powyciąganej koszulce i bawełnianych majtkach, i jeść serek truskawkowy z plastikowej kubeczka. I to właśnie robiłam, gdy za oknem wschodziło pomarańczowe słońce. Pieter oparł się o wezgielnie i zajrzał do kubeczka z serkiem. Zerwał przykrywkę i ciekawie zajrzał do środka.

- Jess, za sześć tygodni otrzymasz rozwód.
- Coś takiego.

Cisnął wieczko na podłogę, wziął łyżeczkę z tacy między nami, popatrzył na mnie uważnie.

- Wyjdiesz za mnie?

Wcale nie musiał tego mówić. To było jasne jak słońce, kolejny element Nowego Porządku Wszechświata.

- Pewnie. Spróbuj tego, morelowy. Pycha!

Siedzieliśmy okryci przypadkowymi kawałkami garderoby i sączyli bardzo słodką kawę, gdy Dan i Frankie wkroczyli do sypialni, jak zwykle.

Mamusia w łóżku z mężczyzną, który nie jest tatusiem - po takim widoku dzieci do końca życia nie uwolnią się od psychiatry. Dan i Frankie wladowali się do łóżka ziewając szeroko, a mnie się przypomniała łzawo-pijacka opowieść Chrisa, jak to pewnego dnia wszedł do sypialni, kiedy matka karmiła piersią jego braci bliźniaków. Moje dzieci przeżywają szok, a ja nawet nie staram się ich chronić.

Wydaje się jednak, że szok znieśli całkiem dobrze.

- Czy my też możemy zjeść w łóżku? - Frankie już gramoliła się na pościel.

- Tak. Grzanki?

- Tak. Z masłem i dżemem.

- I jeszcze sok pomarańczowy, dobrze? - upomniał się Dan.

- Dobrze, już idę.

- Dan, uważaj na mój gips - ostrzegł Pieter.

Kiedy wychodziłam, grali w karty. Może jednak nie muszę oszczędzać na terapię.

- Pieter - zaczął Dan po śniadaniu.

- Tak?

- Czy teraz zawsze będziesz spał w pokoju mamy?

Pieter popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

- Chyba tak, o ile nie macie nic przeciwko temu.

- Super. Czy mogę się przenieść do twojego pokoju?

Pieter spał, zmęczony i osłabiony lekarami. Pozmywałam po śniadaniu, ubrałam dzieci w mundurki i zawiozłam do szkoły. Nad nami kłębiło się szaroniebieskie niebo, liście wirowały na wietrze. Śpiewaliśmy z magnetofonem na całe gardło i liczli sroki.

- Dwie na radość! - krzyknęła Frankie.

- Nie, trzy na ślub! - poprawił Dan i oboje zanieśli się śmiechem.

Nowy Wszechświat zawiera w sobie i stary.

Ledwie zdążyłam wpaść do domu i znowu do pracy: oswojony jeleń na plebanii, papuga, która śpiewa „Marsyliankę” i chomik, który gustuje w stekach. Nic mi chyba nie grozi. Inna sprawa, że dzisiaj nie zauważyłabym, gdyby lew odgryzł mi stopę. Rob i Steve pomyślą, że mi całkiem odbiło.

„Wychodzę za mąż” - oznajmię. Ciekawe, jakie miny zrobią. „Zaraz na początku listopada”.

Zwolniłam na ostatnim wzgórzu, otworzyłam okno. W powietrzu pojawił się wilgotny zapach jesieni. Przedemną rozciągały się pastwiska pani E., na nich blond zady jej krów, dalej brama do posiadłości Jamesa i Mary, samotna jabłoń, na której uwiliły sobie gniazdo gołębnie, kurnik z głupimi kurami, mój dom, w nim śpiący mężczyzna, a w ogrodzie - zielone liście, pośród których w przyszłym roku zakwitną szafirki.